



Miss Polonia '87

czyli

kabaret

coraz starszych panów

str. 6

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 33 (1533) ROK XXX 15 SIERPNIA 1987 ROKU

CENA 25 ZŁ

- Sprawy dla dobrego prokuratora — str. 1 i 5
- Człowiek, który odgryzł psu ucho — str. 13
- Pisarze i artyści o „Dzieciach Arbatu” — str. 9
- Rubinowa krew ziemi — str. 12
- Łzy zwycięzcy i naiwność kibiców — str. 15



Foto: Grzegorz Galasiński



Sprzedał mieszkanie z żoną i dzieckiem
w środku.

Nie ma człowieka — nie ma sprawy

JOLANTA WRÓŃSKA

Jabłońska chciała by w końcu wiedzieć, kogo właściwie sadza się do kryminału. Tego, co ukradł zegarek, czy tego, który pozwolił sobie ukraść?

Jabłońska jest naiwna jak dziecko. Powołuje się na prawo i zdrowy rozsądek, domaga się nawet dobrej woli. Nie rozumie prostego faktu, że w świetle przepisów nie ma jej. Przestała istnieć. Nie egzystuje. Co za tym idzie, nie mieści się w kompetencjach żadnego urzędu. Przynajmniej ziemskiego. Mija się więc z celem irytujące nagabywanie władzy pytaniem, co ona — Jabłońska — ma ze sobą począć?

Matka Jabłońskiej powiada, że była kompletnie bezzilna wobec oszałamiającego pojęcia uczucia. Wiedziała, że to wszystko smarkactwo, bez pojęcia o życiu, ale co mogła. Dała, ile miała. Błogosławieństwo i parę dobrych rad.

No i stało się. Ona, osiemnastoletnia, za pozwoleniem wysokiego sądu, ślubowała miłość i wierność na dobre i złe jemu — 21-letniemu oblubieńcowi z szafy modnych ciuchów we własnym mieszkaniu. Bo stary Jabłoński kupił synowi dwa pokoje z kuchnią na Retkinie, ledwo ten uzyskał pełnoletniość. Stary Jabłoński wyprostował szczeniakiowi ścieżki w życiu, wedle swojego pojęcia, najlepiej jak umiał. Dał mieszkanie, kupił i wyposażył warsztat rzemieślniczy w branży, w której syn się edukował, dał w garść gotówkę i zostawił z tą dorosłością przypieczętą teraz małżeństwem.

Matka Jabłońskiej wie, że jak w życiu coś za łatwo się ma, nie dobrego z tego nie będzie. Nie życzyła młodemu złe, rychło urodzonego wnuka przyjęła z radością. Ale za nikogo życia nie przeżyje, nie ustrzeże od głupoty własnym doświadczeniem.

— Smarkacz — powiada — i tyle. Wszystko miał. I własny dach nad głową i zakład przynosił zyski, nawet najęci pracownicy wyciągali do czterdziestu tysięcy, dzieciak rósł zdrowo. I co z tym zrobili?

Stabilizacja rodzinna Jabłońskich szybko się skończyła. Małżonkowie pijali i bijali. Coraz częściej i mocniej. Szalał towarzysko z całkiem obcymi paniami gdzieś w Polsce. Pieniądze płynęły łatwym strumieniem. W firmie zaczęło się źle dziać, bo niby jak się miało działać dobrze bez pracy, której właściciel zdecydowanie oddawać się nie lubił.

Głupia Jabłońska przechodziła ostry kurs życia, wciąż naiwna i niczego nieświadoma. Myślała, że na tym właśnie polega małżeństwo. Że chłop pije i bije, że czasem od awantur ściany drżą, a sąsiedzi wołają milicję. Ze czasem we łzach zbiera się w węzelek parę drobniaków i ucieka z dzieckiem do mamy od tego okropnego dorosłego życia. A po mężowskich przysięgach wraca się do stadała zaczynając wszystko od nowa. Już poważnie, dorosła, odpowiedzialnie.

Głupia Jabłońska wstydziła się siniaków po mężowskich pięciach, jakże to wywiekać przed ludzkie oczy domowe brudy? Jakże się przyznać lekarzowi robiącemu kolejną obdukcję, czy w



Foto: Grzegorz Galasiński

komisariacie, gdzie rośnie stosik jej skarg, że pan i władca terrorem wymusza na niej wypełnianie „obowiązków małżeńskich”? Głupia Jabłońska, naiwna jak dziecko. Myślała, że prawo nie ma wstępu do małżeńskiej sypialni, że żaden paragraf nie ogranicza mężowskiego prawa do jej ciała, kupionego przed ołtarzem. Na własność.

Po blisko czterech latach Jabłońska miała ciężką nerwicę, dziecko uciekające pod stół na widok tatusia, trzy miesiące leczenia uszkodzonych mężowską pięścią błon bębenkowych i jeszcze z całego serca miała dość Jabłońskiego. Nie miała za to ani grosza przy duszy, bo i skąd, jeśli zawodu żadnego nie ma, pozostając na utrzymaniu męża. A wiadomo, że zamiana kategorii „przy mężu” na „przy socjalizmie” też niczego nie załatwi, bo za zasiłek wychowawczy nie zapłaci za przedszkole, nie wyżywi dziecka i siebie, nie opłaci mieszkania.

A Jabłoński balował, aż zadłużył warsztat, zwolnili się pracownicy.

Rosły nieuiszczone składki w Cechu i ZUS, przychodziły wezwania z Izby Skarbowej, żeby zapłacić zaległe podatki. Dopiero jak w drzwiach stanął komornik sekwestrując domowe wyposażenie, dowiedziała się Jabłońska, że ma długów na 400 tysięcy złotych, firma praktycznie przestała działać a ostatnie rezerwy rodziny pan domu aktualnie przepuszcza z różnymi panienkami w kurortach.

Rok 1987 zaczęła Jabłońska od kolejnej wizyty w komisariacie po kolejnym pobiciu. Milicja też miała już po dziurki w nosie tego całego Jabłońskiego wszczynając przeciw niemu dochodzenie pod nadzorem prokuratury rejonowej w Łodzi o fizyczne i moralne znęcanie się nad rodziną. Dzielnicy zaś, często wzywany do Jabłońskich, z całego serca radził wziąć rozwód. Jabłońska wreszcie posłuchała rady. Złożyła w sądzie wniosek o orzeczenie rozwodu z wyjątkowej winy męża swego Jabłońskiego.

Teraz mówi, że gdyby już wtedy miała blade pojęcie co się święci, może by wszystko rozegrała dużo cwaniej. Nie byłaby tak rozpaczliwie naiwna i prostoduszna. Ale Jabłońska ma ledwo 23 lata i dużo musi się jeszcze nauczyć o ludziach, żeby unieść się bronie. No i skąd mogła wiedzieć, że jej własne radykalne posunięcie, realna groźba rozwodu tylko przyspieszą katastrofę?

Na początku lutego 1987 r. w domu złożyły wizytę jakieś dwie panie. Męża nie było, a niczego nie pojmująca Jabłońska usłyszała, że damy życzą sobie obejrzeć wnętrze. Ogłupiała pani domu dowiedziała się, że mąż wie i zgadza się. Zgłosiwszy kilka uwag, co do rozkładu pomieszczeń, panie wyraziły satysfakcję i zainteresowanie transakcją, po czym poszły.

Zasypany niespokojnymi pytaniami i protestami żony Jabłoński miał jedną odpowiedź. Sprawili ciężkie lanie i zażądał natychmiastowej... wyprowadzki z jego mieszkania. Albowiem, jak zakomunikował, celem spłacenia narosłych długów i podatków właśnie sprzedał był mieszkanie. Zwyczajnie, wziął i sprzedał lokal razem z własną, wciąż jeszcze legalną żoną i wspólnym dzieckiem w środku. Nie widział potrzeby konsultowania tej decyzji ze ślubną. Bo i po co? Mieszkanie jest jego, zrobi z nim co i kiedy zechce i niech mu kto co zrobi.

W tym celu znalazł sobie fachowego pośrednika, niejakiego obywatela Greckiego. W gazetowym ogłoszeniu go znalazł. A ten już zdjął z głowy mitręgę z wyszukiwaniem kontrahenta i załatwianiem papierkowych formalności. Pośrednik znalazł klientkę w Ksawerowie, pobrał stosowną prowizję i uznał swą rolę za skończoną. Pozostała jedna sprawa. Należało coś zrobić z zawartością mieszkania, czyli żoną, dzieckiem i gratami.

Zaczął Jabłoński fachowo i metodycznie. Prął codziennie, poprawiał kopniakami, przymierzał się nożem do żony i straszyl:

— Albo się wyniesiesz w cholere, albo zabiję.
Jabłońska nie raz i nie dwa zgwałcona i zmaltretowana

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,

Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Andrzej

Karolczak, Roman Kubiak,
Jerzy Kwieciński, Bogda

Madej, Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,

Jolanta Wrońska,
Grafik: Janusz

Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz

Gafarski.
Korekta: Mariola Knaga,

Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują:

Tadeusz Błażewski,
Bohdan Gadomski, Jacek

Głębski, Witold
Kasperkiewicz, Andrzej

Kempa, Marek Koprowski,
Włodzimierz Krzemiński,

Marek Mamos, Zenon
J. Michalski, Ryszard

Nakonieczny, Adam
Ochocki, Jerzy Panasewicz,

Karol J. Strzyński, Maciej
Świerkocki, Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo
Prasowe RSW „Prasa”
Książka — Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa — Książka
— Ruch” Łódź, ul. Armii Czer-
wonej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
Instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach wojewód-
zkich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby

Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach —
Instytucji i zakładów pracy
zlokalizowane w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch” o-
płaca prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli.

2. Dla indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamieszka-
ne na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch” o-
płaca prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli.

3. Dla instytucji i zakładów pracy
zlokalizowanych w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch” o-
płaca prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli.

4. Dla instytucji i zakładów pracy
zlokalizowanych w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch” o-
płaca prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli.

5. Dla instytucji i zakładów pracy
zlokalizowanych w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch” o-
płaca prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli.

6. Dla instytucji i zakładów pracy
zlokalizowanych w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch” o-
płaca prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli.

7. Dla instytucji i zakładów pracy
zlokalizowanych w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch” o-
płaca prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli.

8. Dla instytucji i zakładów pracy
zlokalizowanych w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch” o-
płaca prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli.

9. Dla instytucji i zakładów pracy
zlokalizowanych w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch” o-
płaca prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli.

Przegląd prasy

Błażej Baraniak-Leszczynski
odnalazł w Łodzi człowieka,
który utrzymuje, że potrafi
przewidywać przyszłość. O jego
nadzwyczajnych zdolnościach
nie wiedzą nawet najbliżsi są-
siedzi. Jasnowidz łódzki nie
posiuguje się żadną kryształową
kulą, nie interesuje się pa-
rapsychologią czy psychotroni-
ką, nie szuka kontaktu z innymi
osobami o podobnych zdol-
nościach, nie prowadzi prak-
tyki, nie udziela wywiadów.
Ma zaufanie do własnej intu-
icji.

Co dotąd przewidział Antoni
Cz. Któregoś dnia 1977 roku
brał udział w uroczystościach
pogrzebowych zmarłego arcy-
biskupa poznańskiego. Uczest-
niczyli w nich m.in. kardynał
Karol Wojtyła. I wtedy pan
Antoni przez moment miał
wrażenie, że metropolita kra-
kowski jest w papieskiej bie-
li. Poinformował o tym w liście
zainteresowanego. Karol
Wojtyła odpisał 12 września
1977 roku: „Niebadane są wy-
roki Boga, ale Bóg nie robi z
nich tajemnicy. Kraków jest
również piękny jak Rzym, ale
Polaków zawsze tam wielu”.

Potem następowały pozdrowie-
nia, błogosławieństwa i zapo-
wiedzenie, że „biskup Krakowa,
nawet gdyby miał zostać biskupem
Rzymu, będzie wiernie
służył Bogu i ojczyźnie i... nie
zapomni o jasnowidzach tak
zyczących jak pan”.

Antoni Cz. zapewnił dzienni-
karkę, że Jan Paweł II dotrzy-
mał słowa i rzeczywiście nie
zapomni o łódzkim jasnowid-
zu. Opowiadając tę historię
pokazał list z nadrukami her-
bu biskupów Krakowa.

Symbolom kobiecości jest
Duch Dolny, jeden z aspek-
tów Tao, wyrażający płodność
i tworzenie życia. Duch Dolny,
jak matka, jest źródłem
wszelkich rzeczy ziemskich.
Tadeusz Zyszek objaśnia:

„Kobiecość to także tajem-
niczość, załotność, uśmienie.
Tak jak kochanka zniewała
możemy tak Duch Dolny
rozciągać swoją nieuchwytłą moc
nad wszelkimi istotami i rzecz-
kami”.

W dolinie utrudzony wdro-
wiec znajduje ożywcze źródło
wody, schronienie i zacisze.
Dolina jest archetypem seksu i
macierzyństwa.

O podobnych sprawach mówi
wygodnie katowickim „TAK
I NIE” (nr 31) poeta i prozaik
Marek Obarski, z którym roz-
mawia Andrzej Haegenbarth.

Jego zdaniem, artysta nie mo-
że tworzyć poza erotyką. Seks
jest dla niego stanem religij-
nym, czymś świętym. Niewie-
lu jednak pisarzy potrafił
przedstawić związek seksualny
w sposób biologiczny i tajem-
niczy. Popisują się delikatno-
ścią pióra, zamiast ukazywać
prawdziwą rzeczywistość seksu:

„Kobieta — czytamy — do-
wiedza rzeczywistości wy-
łączenie zmysłowe, poprzez swo-
ją płeć. Ta bujna rozdygotana
kobiecość wabi i odpycha na
przełomie, kusi i budzi niejas-
ny lęk, ale nade wszystko wy-
musza adorację, instynktowny
podryw, jak kwiat bagieny o
nieznanym blasku i trującym
zapachu. Kobiecość wysysa w
siebie świat, także mężczyznę,
tak jak grzązawisko. Tak jak
mężczyzna niesie światło ży-
cia, kobieta zasłania wzrok
biotycznym pierwiastkiem śmier-
ci... Eros i Tanatos to jakby
dwie ręce tego samego bóstwa,
które włada Jowem człowie-
czym. Myślę, że spełnienie e-
rotyczne jest w swej istocie
pokrewnie śmierci”.

Największy chyba lęk przed
kobietami odczuwał religijny
Żydzi. Takie wrażenie odno-
siłem po przeczytaniu najnow-
szej „LITERATURY NA ŚWIE-
CIE” (nr 4). Prawie dwie
trzecie numeru zajmują

„Te dwa bieguny — pisze
Jacek Kryg — to yin i yang,
to siła żeńska i męska, to z
jednej strony pasywność każ-
dego zjawiska, a z drugiej je-
go aktywność twórcza. Chiny
czyli twierdzą, że aby świat
był taki jaki jest, musi istnieć
i Ziemia i Niebo, zło i dobro,
brzydota i piękno, słabość i
siła, ciemność i jasność itd., a
sztuka życia to nie — jak w
kulturze Zachodu — opowia-
danie się jedynie po stronie
dobra czyli pierwiastka yang,
a eliminowanie niemiłego
wszystkiego co wiąże się z si-
łą yin, lecz zachowanie rów-
nowagi między tymi dwoma
biegunami kosmicznej energii.
(...) Prawda jest, że są to siły
różne, lecz nie na tyle, aby sie-
bie niszczyły. Przeciwnie nie
niszczą się wzajemnie awers i
rewers tej samej monety, plus
i minus prądu elektrycznego,
góra i dół jakiegokolwiek
przedmiotu, nieuzurpowanie
skal i płynność okalających je
obłoków. Nie może być mowy
o tym, aby jedno pokonało
drugie, gdyż śmierć jednego o-
znacza koniec drugiego. Relacja
między tymi dwoma siłami te-
go samego zjawiska da się
porównać bardziej ze zmagają-
cymi się w miłosnym uścisku
kochankami, aniżeli z walczą-
cymi wrogami”.

W dolinie utrudzony wdro-
wiec znajduje ożywcze źródło
wody, schronienie i zacisze.
Dolina jest archetypem seksu i
macierzyństwa.

O podobnych sprawach mówi
wygodnie katowickim „TAK
I NIE” (nr 31) poeta i prozaik
Marek Obarski, z którym roz-
mawia Andrzej Haegenbarth.

Jego zdaniem, artysta nie mo-
że tworzyć poza erotyką. Seks
jest dla niego stanem religij-
nym, czymś świętym. Niewie-
lu jednak pisarzy potrafił
przedstawić związek seksualny
w sposób biologiczny i tajem-
niczy. Popisują się delikatno-
ścią pióra, zamiast ukazywać
prawdziwą rzeczywistość seksu:

„Kobieta — czytamy — do-
wiedza rzeczywistości wy-
łączenie zmysłowe, poprzez swo-
ją płeć. Ta bujna rozdygotana
kobiecość wabi i odpycha na
przełomie, kusi i budzi niejas-
ny lęk, ale nade wszystko wy-
musza adorację, instynktowny
podryw, jak kwiat bagieny o
nieznanym blasku i trującym
zapachu. Kobiecość wysysa w
siebie świat, także mężczyznę,
tak jak grzązawisko. Tak jak
mężczyzna niesie światło ży-
cia, kobieta zasłania wzrok
biotycznym pierwiastkiem śmier-
ci... Eros i Tanatos to jakby
dwie ręce tego samego bóstwa,
które włada Jowem człowie-
czym. Myślę, że spełnienie e-
rotyczne jest w swej istocie
pokrewnie śmierci”.

Największy chyba lęk przed
kobietami odczuwał religijny
Żydzi. Takie wrażenie odno-
siłem po przeczytaniu najnow-
szej „LITERATURY NA ŚWIE-
CIE” (nr 4). Prawie dwie
trzecie numeru zajmują

„Te dwa bieguny — pisze
Jacek Kryg — to yin i yang,
to siła żeńska i męska, to z
jednej strony pasywność każ-
dego zjawiska, a z drugiej je-
go aktywność twórcza. Chiny
czyli twierdzą, że aby świat
był taki jaki jest, musi istnieć
i Ziemia i Niebo, zło i dobro,
brzydota i piękno, słabość i
siła, ciemność i jasność itd., a
sztuka życia to nie — jak w
kulturze Zachodu — opowia-
danie się jedynie po stronie
dobra czyli pierwiastka yang,
a eliminowanie niemiłego
wszystkiego co wiąże się z si-
łą yin, lecz zachowanie rów-
nowagi między tymi dwoma
biegunami kosmicznej energii.
(...) Prawda jest, że są to siły
różne, lecz nie na tyle, aby sie-
bie niszczyły. Przeciwnie nie
niszczą się wzajemnie awers i
rewers tej samej monety, plus
i minus prądu elektrycznego,
góra i dół jakiegokolwiek
przedmiotu, nieuzurpowanie
skal i płynność okalających je
obłoków. Nie może być mowy
o tym, aby jedno pokonało
drugie, gdyż śmierć jednego o-
znacza koniec drugiego. Relacja
między tymi dwoma siłami te-
go samego zjawiska da się
porównać bardziej ze zmagają-
cymi się w miłosnym uścisku
kochankami, aniżeli z walczą-
cymi wrogami”.

W dolinie utrudzony wdro-
wiec znajduje ożywcze źródło
wody, schronienie i zacisze.
Dolina jest archetypem seksu i
macierzyństwa.

O podobnych sprawach mówi
wygodnie katowickim „TAK
I NIE” (nr 31) poeta i prozaik
Marek Obarski, z którym roz-
mawia Andrzej Haegenbarth.

Jego zdaniem, artysta nie mo-
że tworzyć poza erotyką. Seks
jest dla niego stanem religij-
nym, czymś świętym. Niewie-
lu jednak pisarzy potrafił
przedstawić związek seksualny
w sposób biologiczny i tajem-
niczy. Popisują się delikatno-
ścią pióra, zamiast ukazywać
prawdziwą rzeczywistość seksu:

„Kobieta — czytamy — do-
wiedza rzeczywistości wy-
łączenie zmysłowe, poprzez swo-
ją płeć. Ta bujna rozdygotana
kobiecość wabi i odpycha na
przełomie, kusi i budzi niejas-
ny lęk, ale nade wszystko wy-
musza adorację, instynktowny
podryw, jak kwiat bagieny o
nieznanym blasku i trującym
zapachu. Kobiecość wysysa w
siebie świat, także mężczyznę,
tak jak grzązawisko. Tak jak
mężczyzna niesie światło ży-
cia, kobieta zasłania wzrok
biotycznym pierwiastkiem śmier-
ci... Eros i Tanatos to jakby
dwie ręce tego samego bóstwa,
które włada Jowem człowie-
czym. Myślę, że spełnienie e-
rotyczne jest w swej istocie
pokrewnie śmierci”.

Największy chyba lęk przed
kobietami odczuwał religijny
Żydzi. Takie wrażenie odno-
siłem po przeczytaniu najnow-
szej „LITERATURY NA ŚWIE-
CIE” (nr 4). Prawie dwie
trzecie numeru zajmują

„Te dwa bieguny — pisze
Jacek Kryg — to yin i yang,
to siła żeńska i męska, to z
jednej strony pasywność każ-
dego zjawiska, a z drugiej je-
go aktywność twórcza. Chiny
czyli twierdzą, że aby świat
był taki jaki jest, musi istnieć
i Ziemia i Niebo, zło i dobro,
brzydota i piękno, słabość i
siła, ciemność i jasność itd., a
sztuka życia to nie — jak w
kulturze Zachodu — opowia-
danie się jedynie po stronie
dobra czyli pierwiastka yang,
a eliminowanie niemiłego
wszystkiego co wiąże się z si-
łą yin, lecz zachowanie rów-
nowagi między tymi dwoma
biegunami kosmicznej energii.
(...) Prawda jest, że są to siły
różne, lecz nie na tyle, aby sie-
bie niszczyły. Przeciwnie nie
niszczą się wzajemnie awers i
rewers tej samej monety, plus
i minus prądu elektrycznego,
góra i dół jakiegokolwiek
przedmiotu, nieuzurpowanie
skal i płynność okalających je
obłoków. Nie może być mowy
o tym, aby jedno pokonało
drugie, gdyż śmierć jednego o-
znacza koniec drugiego. Relacja
między tymi dwoma siłami te-
go samego zjawiska da się
porównać bardziej ze zmagają-
cymi się w miłosnym uścisku
kochankami, aniżeli z walczą-
cymi wrogami”.

W dolinie utrudzony wdro-
wiec znajduje ożywcze źródło
wody, schronienie i zacisze.
Dolina jest archetypem seksu i
macierzyństwa.

O podobnych sprawach mówi
wygodnie katowickim „TAK
I NIE” (nr 31) poeta i prozaik
Marek Obarski, z którym roz-
mawia Andrzej Haegenbarth.

Jego zdaniem, artysta nie mo-
że tworzyć poza erotyką. Seks
jest dla niego stanem religij-
nym, czymś świętym. Niewie-
lu jednak pisarzy potrafił
przedstawić związek seksualny
w sposób biologiczny i tajem-
niczy. Popisują się delikatno-
ścią pióra, zamiast ukazywać
prawdziwą rzeczywistość seksu:

„Kobieta — czytamy — do-
wiedza rzeczywistości wy-
łączenie zmysłowe, poprzez swo-
ją płeć. Ta bujna rozdygotana
kobiecość wabi i odpycha na
przełomie, kusi i budzi niejas-
ny lęk, ale nade wszystko wy-
musza adorację, instynktowny
podryw, jak kwiat bagieny o
nieznanym blasku i trującym
zapachu. Kobiecość wysysa w
siebie świat, także mężczyznę,
tak jak grzązawisko. Tak jak
mężczyzna niesie światło ży-
cia, kobieta zasłania wzrok
biotycznym pierwiastkiem śmier-
ci... Eros i Tanatos to jakby
dwie ręce tego samego bóstwa,
które włada Jowem człowie-
czym. Myślę, że spełnienie e-
rotyczne jest w swej istocie
pokrewnie śmierci”.

Największy chyba lęk przed
kobietami odczuwał religijny
Żydzi. Takie wrażenie odno-
siłem po przeczytaniu najnow-
szej „LITERATURY NA ŚWIE-
CIE” (nr 4). Prawie dwie
trzecie numeru zajmują

„Te dwa bieguny — pisze
Jacek Kryg — to yin i yang,
to siła żeńska i męska, to z
jednej strony pasywność każ-
dego zjawiska, a z drugiej je-
go aktywność twórcza. Chiny
czyli twierdzą, że aby świat
był taki jaki jest, musi istnieć
i Ziemia i Niebo, zło i dobro,
brzydota i piękno, słabość i
siła, ciemność i jasność itd., a
sztuka życia to nie — jak w
kulturze Zachodu — opowia-
danie się jedynie po stronie
dobra czyli pierwiastka yang,
a eliminowanie niemiłego
wszystkiego co wiąże się z si-
łą yin, lecz zachowanie rów-
nowagi między tymi dwoma
biegunami kosmicznej energii.
(...) Prawda jest, że są to siły
różne, lecz nie na tyle, aby sie-
bie niszczyły. Przeciwnie nie
niszczą się wzajemnie awers i
rewers tej samej monety, plus
i minus prądu elektrycznego,
góra i dół jakiegokolwiek
przedmiotu, nieuzurpowanie
skal i płynność okalających je
obłoków. Nie może być mowy
o tym, aby jedno pokonało
drugie, gdyż śmierć jednego o-
znacza koniec drugiego. Relacja
między tymi dwoma siłami te-
go samego zjawiska da się
porównać bardziej ze zmagają-
cymi się w miłosnym uścisku
kochankami, aniżeli z walczą-
cymi wrogami”.

W dolinie utrudzony wdro-
wiec znajduje ożywcze źródło
wody, schronienie i zacisze.
Dolina jest archetypem seksu i
macierzyństwa.

O podobnych sprawach mówi
wygodnie katowickim „TAK
I NIE” (nr 31) poeta i prozaik
Marek Obarski, z którym roz-
mawia Andrzej Haegenbarth.

Jego zdaniem, artysta nie mo-
że tworzyć poza erotyką. Seks
jest dla niego stanem religij-
nym, czymś świętym. Niewie-
lu jednak pisarzy potrafił
przedstawić związek seksualny
w sposób biologiczny i tajem-
niczy. Popisują się delikatno-
ścią pióra, zamiast ukazywać
prawdziwą rzeczywistość seksu:

„Kobieta — czytamy — do-
wiedza rzeczywistości wy-
łączenie zmysłowe, poprzez swo-
ją płeć. Ta bujna rozdygotana
kobiecość wabi i odpycha na
przełomie, kusi i budzi niejas-
ny lęk, ale nade wszystko wy-
musza adorację, instynktowny
podryw, jak kwiat bagieny o
nieznanym blasku i trującym
zapachu. Kobiecość wysysa w
siebie świat, także mężczyznę,
tak jak grzązawisko. Tak jak
mężczyzna niesie światło ży-
cia, kobieta zasłania wzrok
biotycznym pierwiastkiem śmier-
ci... Eros i Tanatos to jakby
dwie ręce tego samego bóstwa,
które włada Jowem człowie-
czym. Myślę, że spełnienie e-
rotyczne jest w swej istocie
pokrewnie śmierci”.

Największy chyba lęk przed
kobietami odczuwał religijny
Żydzi. Takie wrażenie odno-
siłem po przeczytaniu najnow-
szej „LITERATURY NA ŚWIE-
CIE” (nr 4). Prawie dwie
trzecie numeru zajmują

„Te dwa bieguny — pisze
Jacek Kryg — to yin i yang,
to siła żeńska i męska, to z
jednej strony pasywność każ-
dego zjawiska, a z drugiej je-
go aktywność twórcza. Chiny
czyli twierdzą, że aby świat
był taki jaki jest, musi istnieć
i Ziemia i Niebo, zło i dobro,
brzydota i piękno, słabość i
siła, ciemność i jasność itd., a
sztuka życia to nie — jak w
kulturze Zachodu — opowia-
danie się jedynie po stronie
dobra czyli pierwiastka yang,
a eliminowanie niemiłego
wszystkiego co wiąże się z si-
łą yin, lecz zachowanie rów-
nowagi między tymi dwoma
biegunami kosmicznej energii.
(...) Prawda jest, że są to siły
różne, lecz nie na tyle, aby sie-
bie niszczyły. Przeciwnie nie
niszczą się wzajemnie awers i
rewers tej samej monety, plus
i minus prądu elektrycznego,
góra i dół jakiegokolwiek
przedmiotu, nieuzurpowanie
skal i płynność okalających je
obłoków. Nie może być mowy
o tym, aby jedno pokonało
drugie, gdyż śmierć jednego o-
znacza koniec drugiego. Relacja
między tymi dwoma siłami te-
go samego zjawiska da się
porównać bardziej ze zmagają-
cymi się w miłosnym uścisku
kochankami, aniżeli z walczą-
cymi wrogami”.

W dolinie utrudzony wdro-
wiec znajduje ożywcze źródło
wody, schronienie i zacisze.
Dolina jest archetypem seksu i
macierzyństwa.

O podobnych sprawach mówi
wygodnie katowickim „TAK
I NIE” (nr 31) poeta i prozaik
Marek Obarski, z którym roz-
mawia Andrzej Haegenbarth.

Jego zdaniem, artysta nie mo-
że tworzyć poza erotyką. Seks
jest dla niego stanem religij-
nym, czymś świętym. Niewie-
lu jednak pisarzy potrafił
przedstawić związek seksualny
w sposób biologiczny i tajem-
niczy. Popisują się delikatno-
ścią pióra, zamiast ukazywać
prawdziwą rzeczywistość seksu:

„Kobieta — czytamy — do-
wiedza rzeczywistości wy-
łączenie zmysłowe, poprzez swo-
ją płeć. Ta bujna rozdygotana
kobiecość wabi i odpycha na
przełomie, kusi i budzi niejas-
ny lęk, ale nade wszystko wy-
musza adorację, instynktowny
podryw, jak kwiat bagieny o
nieznanym blasku i trującym
zapachu. Kobiecość wysysa w
siebie świat, także mężczyznę,
tak jak grzązawisko. Tak jak
mężczyzna niesie światło ży-
cia, kobieta zasłania wzrok
biotycznym pierwiastkiem śmier-
ci... Eros i Tanatos to jakby
dwie ręce tego samego bóstwa,
które włada Jowem człowie-
czym. Myślę, że spełnienie e-
rotyczne jest w swej istocie
pokrewnie śmierci”.

Największy chyba lęk przed
kobietami odczuwał religijny
Żydzi. Takie wrażenie odno-
siłem po przeczytaniu najnow-
szej „LITERATURY NA ŚWIE-
CIE” (nr 4). Prawie dwie
trzecie numeru zajmują

„Te dwa bieguny — pisze
Jacek Kryg — to yin i yang,
to siła żeńska i męska, to z
jednej strony pasywność każ-
dego zjawiska, a z drugiej je-
go aktywność twórcza. Chiny
czyli twierdzą, że aby świat
był taki jaki jest, musi istnieć
i Ziemia i Niebo, zło i dobro,
brzydota i piękno, słabość i
siła, ciemność i jasność itd., a
sztuka życia to nie — jak w
kulturze Zachodu — opowia-
danie się jedynie po stronie
dobra czyli pierwiastka yang,
a eliminowanie niemiłego
wszystkiego co wiąże się z si-
łą yin, lecz zachowanie rów-
nowagi między tymi dwoma
biegunami kosmicznej energii.
(...) Prawda jest, że są to siły
różne, lecz nie na tyle, aby sie-
bie niszczyły. Przeciwnie nie
niszczą się wzajemnie awers i
rewers tej samej monety, plus
i minus prądu elektrycznego,
góra i dół jakiegokolwiek
przedmiotu, nieuzurpowanie
skal i płynność okalających je
obłoków. Nie może być mowy
o tym, aby jedno pokonało
drugie, gdyż śmierć jednego o-
znacza koniec drugiego. Relacja
między tymi dwoma siłami te-
go samego zjawiska da się
porównać bardziej ze zmagają-
cymi się w miłosnym uścisku
kochankami, aniżeli z walczą-
cymi wrogami”.

W dolinie utrudzony wdro-
wiec znajduje ożywcze źródło
wody, schronienie i zacisze.
Dolina jest archetypem seksu i
macierzyństwa.

O podobnych sprawach mówi
wygodnie katowickim „TAK
I NIE” (nr 31) poeta i prozaik
Marek Obarski, z którym roz-
mawia Andrzej Haegenbarth.

Jego zdaniem, artysta nie mo-
że tworzyć poza erotyką. Seks
jest dla niego stanem religij-
nym, czymś świętym. Niewie-
lu jednak pisarzy potrafił
przedstawić związek seksualny
w sposób biologiczny i tajem-
niczy. Popisują się delikatno-
ścią pióra, zamiast ukazywać
prawdziwą rzeczywistość seksu:

czas i chwile, które Ojciec u-
stałil swoją władzą”.

Czytelnikom nastawionym na
długie życie i zainteresowanym
„sztuką” opisaną w poprzed-
nich „Odgłosach” przez Mi-
rosława Sarbińskiego, polecam
ostatni miesięcznik „PISMO
LITERACKO-ARTYSTYCZNE”
(nr 5). Jacek Kryg i Tadeusz
Zyszek wyjaśniają filozofię i
psychologię taoizmu. Chłirczy-
cy od wieków głoszą, że
wszystkie byty i procesy po-
siadają

„Te dwa bieguny — pisze
Jacek Kryg — to yin i yang,
to siła żeńska i męska, to z
jednej strony pasywność każ-
dego zjawiska, a z drugiej je-
go aktywność twórcza. Chiny
czyli twierdzą, że aby świat
był taki jaki jest, musi istnieć
i Ziemia i Niebo, zło i dobro,
brzydota i piękno, słabość i
siła, ciemność i jasność itd., a
sztuka życia to nie — jak w
kulturze Zachodu — opowia-
danie się jedynie po stronie
dobra czyli pierwiastka yang,
a eliminowanie niemiłego
wszystkiego co wiąże się z si-
łą yin, lecz zachowanie rów-
nowagi między tymi dwoma
biegunami kosmicznej energii.
(...) Prawda jest, że są to siły
różne, lecz nie na tyle, aby sie-
bie niszczyły. Przeciwnie nie
niszczą się wzajemnie awers i
rewers tej samej monety, plus
i minus prądu elektrycznego,
góra i dół jakiegokolwiek
przedmiotu, nieuzurpowanie
skal i płynność okalających je
obłoków. Nie może być mowy
o tym, aby jedno pokonało
drugie, gdyż śmierć jednego o-
znacza koniec drugiego. Relacja
między tymi dwoma siłami te-
go samego zjawiska da się
porównać bardziej ze zmagają-
cymi się w miłosnym uścisku
kochankami, aniżeli z walczą-
cymi wrogami”.

W dolinie utrudzony wdro-
wiec znajduje ożywcze źródło
wody, schronienie i zacisze.
Dolina jest archetypem seksu i
macierzyństwa.

O podobnych sprawach mówi
wygodnie katowickim „TAK
I NIE” (nr 31) poeta i prozaik
Marek Obarski, z którym roz-
mawia Andrzej Haegenbarth.

Jego zdaniem, artysta nie mo-
że tworzyć poza erotyką. Seks
jest dla niego stanem religij-
nym, czymś świętym. Niewie-

Jak tu związać zerwaną nić historii?

LUCIUSZ WŁODKOWSKI

1

Spotkaliśmy się — jak już to opisałem w poprzednim artykule — w tym tygodniu: Janina Dworaczńska, Lucja Granosik, Jerzy Kaluźka, Zbigniew Kociemski, Wanda Kolba, Maksymilian Salaciński, Ireneusz Ubyś oraz Edmund Lewandowski i wyżej podpisany — wszyscy byli członkowie i działacze ZMS — aby porozmawiać o dziejach i dorobku tej organizacji. Wydało się nam to konieczne, ponieważ tak się jakoś złożyło — z różnych przyczyn zresztą — że w rozwoju ruchu młodzieżowego w Polsce Ludowej nieustannie rwie się ciągłość. A przecież ciągłość historyczna jest niezbędna dla prawidłowego rozwoju społeczeństwa.

W 1944 roku, gdy rodziła się Polska Ludowa, reaktywowano organizację młodzieżową, nawiązując do ich tradycji przedwojennych i ich chlubnej działalności w czasie okupacji. Reaktywowano Związek Harcerstwa Polskiego, Organizację Młodzieży Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych, Związek Młodzieży Wilejskiej „Wilci”. Działali i rozszerzali swoje działania powstały w 1943 roku Związek Walki Młodych. W 1945 roku powstał Związek Młodzieży Demokratycznej, a w ZWMP powstała — nawiązując do tradycji Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej „Życie” — autonomiczna organizacja młodzieży studenckiej Akademicki Związek Walki Młodych „Życie”.

Organizacje te w 1948 roku połączyły się we Wrocławiu w Związek Młodzieży Polskiej. Do 1950 roku działał jeszcze samodzielnie ZHP, aby następnie połączyć się z ZMP tworząc Organizację Harcerską. W tym roku stracił autonomię Związek Akademickiej Młodzieży Polskiej. O losach ZMP pisałem wcześniej. W 1957 roku powstał ZMS, ZMW i do poprzednich form organizacyjnych powróciło harcerstwo. W 1973 roku powołano Federację Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej, a w 1976 roku powstał Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, z którego jednak po roku 1980 odłączyła się młodzież wiejska reaktywując ZMW i młodzież studencką, powołując ponownie Zrzeszenie Studentów Polskich.

Z tego krótkiego zarysu historii organizacji młodzieżowych można wyłonić dwie przeciwstawne tendencje: odrębną zmierzającą do jednoczenia organizacji młodzieżowych i odrębną poszukującą różnorodności form działania w zależności od tradycji i specyfiki, na przykład nieustanne dążenie młodzieży wiejskiej do posiadania własnej organizacji i nieustanne dążenie władz politycznych do likwidacji tej odrębności. Nic z tego dobrego nie wychodzi, gdyż na ogół powstaje pustka a życie polityczne nawet i w tej dziedzinie pustki nie znosi i zapewnia ją najczęściej zupełnie ktoś inny, powołując swoje „organizacje młodzieżowe”. Powszechnie przecież wiadomo, że takowe istnieją i dobrze działają.

Jak więc przywrócić ciągłość historyczną w ruchu młodzieżowym? Jak — mówiąc metaforycznie — związać zerwaną nić historii? Co uczynić aby nie było luk międzygeneracyjnych? Uznaliśmy, że warto na początek przypomnieć, jaki był ten ZMS, co uczynił, co z tego posiada wartości trwałe?

2.

Trudno jest mówić o przeszłości nie odnosząc się do teraźniejszości. Dla nas, którzy byliśmy w samym środku tego ruchu, wydawał się on najważniejszy i wszechogarniający.

Mielśmy wiele inicjatyw — mówił Jerzy Kaluźka — młodzież się do nas gromiła.

Dziś patrzymy na działalność ZSMP z boku. Odnosimy takie wrażenie, jakby ta organizacja była mniej widoczna, jakby przeżywała głęboki kryzys, z którego nie bardzo potrafi wyjść. Może to wnioski zbyt przeszkrawione, ale chyba nie pozbawione podstaw.

Pamiętacie tylko — mówiła Wanda Kolba — że dziś inaczej patrzymy na młodzież, że idealizujemy to, co robiliśmy. To naturalne. Spróbujmy więc spojrzeć na przeszłość i teraźniejszość obiektywnie. Inne były warunki wówczas. To przecież już minęło 30 lat od powstania ZMS myśmy wtedy młodzieży mogli i pokazy-

wali więcej niż była ona sama w stanie zobaczyć i osiągnąć. Myśmy jej otwierali świat, uczyli na ten świat patrzeć. Dawali jej możliwość być samodzielną, o sobie decydować. Myśmy ją wyróżniali choćby przez strój organizacyjny. Dziś jest to inna młodzież, ma inne potrzeby, bo i inne są warunki. Trudno więc porównywać.

— Ale to, co osiągnęliśmy — powiedział Maksymilian Salaciński — zostało zmarnowane. Przerwany został ciąg wychowawczy młodego pokolenia. Wyprowadzono ZMS ze szkół, ale ZHP, który zajął wolne miejsce, dysponował innymi formami pracy i nie mógł zastąpić ZMS. Gdy młody człowiek kończył szkołę i szedł na uczelnię czy do pracy, to tam znajdował ZMS. On nie przychodził znikąd, ale od swoich trafiał do swoich. ZMS czuł się z niego odpowiedzialny. Rzuciliśmy hasło: „Kowalski nie jest sam” i pomagaliśmy młodemu zaadaptować się w nowych warunkach. To zostało przerwane.

— Bo zmieniła się koncepcja co do roli i miejsca młodzieży w życiu politycznym — stwierdził Ireneusz Ubyś. — Za naszych czasów młodzież miała się opowiadać za partią w czynach i ZMS tak robił. Później okazało się, że młodzież jest potrzebna do opowiadania się za partią w słowach, jako dekoracja do manifestacji jednolitej moralno-politycznej nacji. I młodzież klaskała i skandowała. Skutki tego każdy widzi jakie są. Ale pomówmy może o tym, co zrobiliśmy.

3.

— A może byśmy spróbowali zebrać zalety i wady ZMS — zaproponował Edmund Lewandowski. — Zrobiliśmy już coś takiego w 1974 roku, sformułowaliśmy i uzasadniliśmy tezę o postępującym kryzysie w polskim ruchu młodzieżowym i wystąpiliśmy z tym na Łódzkiej Konferencji ZMS. Stało się to końcem mojej działalności w tej organizacji, w której działałem od 1961 roku. Zaczęło od cech dodatnich. Otóż za najważniejsze uważałem, że ZMS posiadał dużo ideowego aktywu, uczył myślenia politycznego i działał na rzecz środowiska, miasta, kraju.

— Ano właśnie — wtrącił Maksymilian Salaciński — nie próbowaliśmy zastępować związków zawodowych, choć spraw bytowych nie zaniedbywaliśmy, ale główną płaszczyzną działania była polityka i kultura. To, co zawsze jest decydujące. Ale z czasem nastąpił w ruchu młodzieżowym odwrót od tych dziedzin działania właśnie w kierunku zainteresowania się sprawami bytowymi młodzieży. Dziś, gdy czytamy, że ZSMP podejmuje się budowy domu, to śmiać mi się chce. W Pabianicach stoi taki dom wybudowany przez członków ZMS, którzy w nim mieszkają do dziś.

— Nie zafundaliśmy się na dostrzeganie zła, krytykaliśmy i postulowaliśmy — kontynuował Edmund Lewandowski — uczyniliśmy się kochać i nienawidzić, byliśmy tolerancyjni w stosunku do tych, którzy nie kryli swoich postaw religijnych, ale podejmowaliśmy problemy religioznawcze, wymagaliśmy, aby aktywy wyznawał światopogląd materialistyczny, byliśmy popularyzatorami dobrej pracy i dobrej nauki. No i kształtowały się wśród nas silne więzy koleżeńskie i przyjaźni.

— I to wielokrotnie przetrwało do dziś — uzupełnia Wanda Kolba. — Hełkro! zwracam się do kogoś z ZMS z prośbą o pomoc, nigdy się nie zawiodę.

— Mnie już parę razy zrobiono zarzut, że wychowałem młode ZMS — wtrącała Janina Dworaczńska. — A dlaczego? Bo byłem bezkompromisowa, gdy miałam rację, umiałam jej po prostu bronić. I uważałem to za dobrą naukę, jaką wyniosłem z ZMS. Ale pamiętając, że myśmy się wówczas nie dzielili na robotników, inteligentów, że byliśmy po prostu młodzieżą zrzeszoną w ZMS, która chciała się czegoś nauczyć, dać coś z siebie innym, coś zrobić dobrego dla nas wszystkich. Dziś — niestety — bardzo modne są podziały, często mi się wypomina, że jestem urzędnikiem i nikt — nawet w partii — nie potrafi się tym podziałom przeciwstawić.

— To prawda — powiedział Ireneusz Ubyś — że byliśmy uparci i konsekwentni, na przykład w obronie członka ZMS, gdy wiedzieliśmy, że mamy rację. Nie ustępowaliśmy.

— Ale — kontynuował Edmund Lewandowski — miał ZMS i poważne słabości. Tu znów na czoło wysunąłbym doktrynerstwo, powierzchowną i uproszczoną znajomość marksizmu, zbyt nie nadsadowanie form działania partyjnego, podejmowanie obszernych uchwał, których później nie realizowano, sporo działalności pozarządowej, dużo formalizmu, a czasem nawet fałszowanie sprawozdań i niechęć do rzeczowego analizowania własnych błędów i braków.

— Czas jednak — na to Jerzy Kaluźka — zacięra błędy, pomniejsza je, odsuwa w dal, na czoło wysuwając, to co było pozytywne. O tym zawsze się chętniej mówi. Co nie znaczy, że tych błędów nie widzieliśmy. Widzieliśmy, i o nich pamiętamy. Przypomnijmy jednak przede wszystkim dorobek ZMS w województwie łódzkim.

4.

Ma rację niewątpliwie Ireneusz Ubyś, że zaletą ZMS, skupiającego młodzież były inicjatywy tej organizacji, jej działacze. Młodzież pragnie — jest to jej cecha — przodować, wyróżniać się wśród innych, potwierdzić się niejako w działaniu i ZMS stwarzał jej takie możliwości. ZMS w województwie łódzkim — tym sprzed 1975 roku — przodował lub wyróżniał się w kilku dziedzinach.

Był ZMS organizatorem współzawodnictwa „Młodzież Pięciolatek”, które podsumowywano na złotych młodzieży. Odbyły się także trzy zloty: w 1961 w Tomaszowie Mazowieckim z udziałem premiera Józefa Cyrankiewicza, w 1962 w Pabianicach z udziałem marszałka Polski Mariana Spychalskiego i w 1963 roku w Zgierz z udziałem premiera Józefa Cyrankiewicza.

Ze współzawodnictwem pracy wiązały się Brygady Pracy Socjalistycznej.

Jedną tylko niedzielę — przypomniał Ireneusz Ubyś — Brygady Pracy Socjalistycznej z Łęczyckich Zakładów Górniczych 125 tysięcy złotych przekazały na budowę szkół Tysiąclecia, bo i zbieraniem pieniędzy na ten fundusz zajmował się ZMS.

— Skoro już mowa o niedzielach — dodał Zbigniew Kociemski — to były niedziele dyktorskie, kiedy młodzież przejmowała kierowanie zakładami pracy. Było to bardzo pozytywne. W Wieruszowie przewodniczącą Zarządu Powiatowego ZMS była Henryka Sokółowska, delegowana z tamtejszej „Wólczanki”. W taką dyktorską niedzielę kierowała wieruszowska „Wólczanka”, dając znaczną produkcję.

Z dorobku organizacji ZMS w województwie łódzkim warto jeszcze przypomnieć koła racjonalistów i polityków, Ochotnicze Hufce Pracy, różnego rodzaju zloty, obozy akcyjne letnie przede wszystkim w Sławie Śląskiej, ale były też zimowiska dla młodzieży szkolnej w Kowarach czy koło Wałbrzycha i inne, no i kluby, z których najsłynniejszy był „Plastus” w Zdunskiej Woli.

— A patronaty — przypomniał Ireneusz Ubyś. — To przecież OHP budowały Cementownie „Warta” w Działoszynie. I to nam się udało. Później chcieliśmy objąć patronatem budowę fabryki konstrukcji stalowych w Skierkowie i to nam nie wyszło. Ale Działoszyn nam się udało!

Ile było klubów ZMS? Jerzy Kaluźka pamięta — a przecież się tym zajmował — 18. Z okazji 150-lecia Zdunskiej Woli w „Plastusiu” zorganizowano wystawę korzeniolastyki Jerzego Kozłowskiego. Zachował się katalog tej wystawy. Nosi on datę: grudzień 1975. W katalogu tym przypominają się nieco historie „Plastusa”. Oto kilka fragmentów z tej historii:

— 2 września 1960 r. w piwnicach kamienicy przy ul. Dąbrowskiego 1 w Zdunskiej Woli nastąpiła uroczysta inauguracja Klubu „Plastus”, któremu od początku istnienia patronuje miejska organizacja Związku Młodzieży Socjalistycznej.

— Klub gościł pisarzy i poetów, jak choćby Melchiora Wańkowicza, Małgorzatę Hillar, Wiesława Jażdżyńskiego, Eugeniusza Iwanickiego.

— „Wokół Klubu skupiło się wielu działaczy społecznych i młodzieżowych, którzy inspirowali ciekawe formy pracy. Należy tu wymienić takie nazwiska zasłużonych dla działalności Klubu „Plastus”, jak Kazimierz Ogiński — pier-

wszy kierownik Klubu, Jerzy Kaluźka — sekretarz zespołu do spraw klubów młodzieżowych w ZW ZMS w Łodzi, Piotr Goszczyński — redaktor „Głosu Robotniczego”, Henryk Leśniewicz — przewodniczący ZW ZMS w Sieradzu, Zdzisław Kochański — kierownik Klubu, Stanisław Dawidziuk — przewodniczący Rady Klubu, Wojciech Gnackowski — działacz kulturalny”.

— „Od września 1975 r. kierownictwo Klubu objął Ireneusz Maniecki”.

Interesującym dorobkiem legitymował się również Klub przy PZPB im. Bojowników Rewolucji 1905 roku w Pabianicach — „Przy kominku”, który prowadził wówczas młode małżeństwo: Jadwiga i Bogusław Zareba.

Organizowano Dni Młodości, różne przeglądy, jak choćby przegląd piosenek młodzieżowej w Zdunskiej Woli, zespołów muzycznych w Skierkowie.

Wszystkiego zresztą się nie spamięta i nie opisać.

5.

— Jeśli już mówimy o potrzebie ciągłości historycznej — powiedziała Lucja Granosik — to tak się składa, że jesteśmy akurat w tym wieku, iż powinniśmy pomagać młodym, tak jak nam wówczas pomagali inni. Bez tej pomocy często byśmy więcej błędów niż błędziliśmy. Warto więc pamiętać i o tych działaczach partyjnych w komitetach powiatowych, którzy nam wtedy pomagali. Warto pamiętać o nauczycielach, którzy byli opiekunami ZMS w szkołach. No i dziś, to my powinniśmy zająć ich miejsce i pomóc młodym. Spłacić w jakiejś części dług wdzięczności zaciągnięty niegdyś, ale jakoś na tę pomoc nie ma zapotrzebowania.

— Ta pomoc wówczas — dodał Ireneusz Ubyś — była bardzo potrzebna i ważna. Ona powodowała, że my musieliśmy być nieustannie czynni i szukać coraz to nowych inicjatyw. Już mówiliśmy, ale przypomnę, nami opiekował się z ramienia Wydziału Organizacyjnego KW PZPR w Łodzi Józef Stępień, co nie znaczy, że inni się nie interesowali sprawami ZMS.

— Ja bym się z tym nie zgodził — zapowiedział Zbigniew Kociemski — że dziś młodzież nie oczekuje pomocy i jej nie potrzebuje. Zwrócili się do mnie młodzi z Urzędu Dzielnicy, co mają robić. Akurat był remont. Powiedziałem — weźcie i posprzątajcie Skrzyżnię. Takie prozaiczne zajęcia. Ale jednak się zebrało i wzięło do roboty. Okazało się, że zarobili milion złotych. Podzieliли pieniądze, pozakładali książeczki docelowego oszczędzania, ci którzy już mieli mieszkania, polecał na zagraniczne wycieczki i to się przyjęło. Wtedy pomoc, pomysły, inicjatywa, inspiracja są młodym potrzebne, ale nie można tego robić nachalnie, na siłę.

6.

Wszystkiego się nie spamięta i nie spisać. Stałem się możliwie wiernie oddać przebieg naszej rozmowy, choć nie będę udawał, że jej nie przekonstruowałem i nie ubarwiłem nieco. Ale takie już prawa rządzą pisaniem. Mam nadzieję, że ta relacja pomoże zrozumieć, iż w trudnej sztuce kształtowania świadomości i wychowywania nie można coraz wszystkiego zaczynać od początku, nie można rwać nici historii. Dedykuję więc tę relację byłym członkom ZMS ku pamięci, aby to, co zrobiliśmy nie zaginęło w mrokach, młodym — nie tyle, by brali przykład, ale aby wiedzieli, że nie wzięli się znikąd, że inni byli przed nimi, że choć porwana, to przecież ciągłość istnieje, musi istnieć i aby już jej więcej nie rwać — bo nie historii jest cienia, łatwo da się porwać ale związać jej później niekiedy już nie sposób.

PS. Wypowiedzi uczestników spotkania nie były autoryzowane.

L.W.



Delegacja ZMS z województwa łódzkiego na III Zjeździe Związku Młodzieży Socjalistycznej w Warszawie. Zjazd obradował od 17 do 19 grudnia 1964 roku w Pałacu Kultury i Nauki.



Konferencja Powiatowa ZMS w Łęczy. Przemawia Józef Stępień z KW PZPR w Łodzi.

Lata pięćdziesiąte — początek drugiej połowy wieku. Jeszcze na obrzeżach cywilizacji przemysłowej panował stary porządek. Jeszcze rozległe obszary Afryki i Azji praw wszelakich pozbawione świadczyły na rzecz owych metropolii. Jeszcze lat kilka brakowało do owego przełomu dekad, gdy na obszarze Czarnego Łądu dokonała się swoista eksplozja niepodległościowa, a Organizacja Narodów Zjednoczonych uroczyście uchwaliła potępienie kolonializmu.

Jeszcze trwał stary porządek. Ale już, w żelaznym do niedawna systemie kolonialnym, wystąpiły pierwsze rysy i pęknięcia. Ruch narodowowyzwoleńczy narastał na sile i jako efekt tych walk pojawiały się zaczęły pierwsze niepodległe państwa, dotąd od metropolii całkowicie lub częściowo uzależnione. Jednym z pierwszych, który odważnie i skutecznie podniósł rękę na uświęcone przez stulecia prawa, bezprawie stanowiące stał się Egipt.

NIM STAŁ SIĘ NIEZALEŻNYM

Egipt w okresie międzywojennym znajdował się w bardzo skomplikowanej społecznie i gospodarczo sytuacji. Po niepowodzeniu powstania w 1919 roku wielka burżuazja w pełni swą rękę na uświęcone przez stulecia prawa, bezprawie stanowiące stał się Egipt.

To już historia.

Nad Kanalem Sueskim w połowie XX wieku

ZENON JANUSZ MICHALSKI

wa — nie posiadała zbyt wielkich wpływów. Nie burżuazja stanowiła zresztą klasę decydującą, jeżeli zważywszy, że cała produkcja przemysłowa dawała zaledwie 10 proc. dochodu narodowego. Decydowała wielka własność ziemska, a feudalowie w monarchii i Brytyjczyki widzieli gwarancję swej własności. Chłop egipski pracujący prymitywnymi narzędziami na przeludnionej wsi czekał na reformę rolną. Reformy rolnej — jako najpilniejszego zadania domagała się cała gospodarka egipska. Potrzebna była jednak siła zdolna do podniesienia hasła rewolucji. Siła taka zrodziła się w armii.

Gamal Abdel Naser urodził się w 1918 roku w rodzinie urzędniczej. Po ukończeniu szkoły średniej wstąpił na Wydział Prawa Uniwersytetu Kairskiego i tu, jako młody, siedemnastoletni student brał udział w działalności wymierzonej przeciwko okupacji brytyjskiej. W późniejszym okresie w swoich pamiętnikach, zatytułowanych „Filozofia Rewolucji” Naser nazwał ten okres „dniem przebudzenia się”.

W 1937 roku wstąpił do Akademii Wojskowej w Kairze i ukończył ją w stopniu podporucznika po dwu latach. W tym to roku 1939 założony został Związek Wolnych Oficerów. Rozpoczęto działalność na rzecz zlikwidowania brytyjskiej okupacji w Egipcie. Rok 1948, kiedy to postanowieniem Zgromadzenia Ogólnego ONZ podzielono Palestynę na państwo Izrael i Palestynę arabską, oraz przegrana przez Arabów wojna z Izraelem, wzmogły ruch narodowowyzwoleńczy w Egipcie. Kiedy ruch ten zaczął nabierać form organizacyjnych — tworzono komitety oporu ludowego — sprawa zaniepokoiła i Brytyjczyków i dwór królewski, obawiający się radykalizacji mas ludowych.

W styczniu 1952 roku wojska brytyjskie obsadzały szereg punktów strategicznych, a 25 stycznia dokonano masakry oddziału egipskiej policji pomocniczej, w Ismailii. Następnego dnia nastąpił pożar Kairu. Spłonęły należące do Europejczyków luksusowe hotele i domy towarowe, były ofiary w ludziach. Wojsko egipskie i policja nie interweniowały.

W tych warunkach Związek Wolnych Oficerów postanowił podjąć decydujące działania. W „Słowie Wolnych Oficerów” — organie Komitetu Wykonawczego, na którego czele stał podpułkownik Gamal Abdel Naser pisano:

„Wolni Oficerowie będą walczyć aż do całkowitego wyzwolenia Egiptu z imperializmu”.

W nocy z 22 na 23 lipca 1952 roku rozpoczęła się w Egipcie rewolucja narodowa. Członkowie Związku Wolnych Oficerów podporządkowali sobie garnizony w całym kraju. 26 lipca 1952 r. zmuszono do abdykacji króla Faruka.

18 czerwca 1953 roku proklamowano republikę w Egipcie, pierwszym prezydentem został generał Nagib, najwyższy stopniem oficer z tych, którzy poparli rewolucję narodową.

Przed Wolnymi Oficerami stało teraz zadanie najważniejsze, dla którego podejmowali całą walkę — usunięcie Brytyjczyków z Egiptu. 27 lipca 1954 roku podpisano porozumienie między Egiptem i Wielką Brytanią przewidujące całkowitą ewakuację wojsk brytyjskich z Egiptu w ciągu 20 miesięcy. W listopadzie 1954 roku Nagiba próbującego oprzeć się na siłach lewicy zmuszono do ustąpienia, a na czele państwa stanął Gamal Abdel Naser.

REWOLUCYJNY AKT NACJONALIZACJI

24 lipca 1956 roku przemawiając do tłumów wypełniających kairski plac Wyzwolenia prezydent Naser stwierdził:

— *Towarzystwo Kanalu Sueskiego jest towarzystwem egipskim, które winno być oddane pod jurysdykcję i ustawodawstwo egipskie...*

Kanal Sueski służyć będzie interesom Egiptu, a nie wykorzystu... Urzeczywistniły wiele naszych aspiracji i przebudujemy kraj, ponieważ nikt już nie będzie się mieszał w nasze sprawy. Jesteśmy dziś wolni i niezależni...

26 lipca rząd egipski podjął decyzję w sprawie nacjonalizacji. Spowodowało to gwałtowne protesty wśród państw zachodnich, a szczególnie Wielkiej Brytanii, która posiadała 333 504 akcje z ogólnej liczby 800 000, a statki brytyjskie stanowiły ponad jedną trzecią przepływających przez Kanał Sueski. W Londynie uznano, iż nacjonalizacja stanowi dla Wielkiej Brytanii szansę powrotu — przy pomocy siły oczywiście — do Egiptu i obalenia Nasera. Był tylko problem, jak do tego doprowadzić, okazało się bowiem, że i Wielka Brytania i Francja nie są przygotowane do przeprowadzenia akcji zbrojnej.

Wątpliwość co do celowości wzięcia udziału w konflikcie sueskim miały Stany Zjednoczone, obawiając się, że interwencja Wielkiej Brytanii i Francji może doprowadzić do wzrostu ruchów narodowowyzwoleńczych, szczególnie w krajach arabskich. Sekretarz Stanu John F. Dulles stwierdzał, że „jest nie do zniesienia, by Kanał podlegał dominacji jednego, tylko kraju” podkreślał jednocześnie, że „siła jest ostatecznym środkiem, który będzie stosowany wówczas gdy zawiodą inne metody”.

Kraje zachodnie zastosowały wobec Egiptu restrykcje gospodarcze licząc, że ta forma nacisku zmusi rząd egipski do ustępstw. Nato-

proponując jako „nie do pomyślenia” Na wniosek ZSRR zwołano także posiedzenie Rady Bezpieczeństwa dla rozpatrzenia możliwości użycia siły przeciw agresorom.

W tej sytuacji, 6 listopada 1956 r., a więc w drugim dniu desantu, premierzy Wielkiej Brytanii i Francji wydali rozkaz zaprzestania działań wojennych. Mieli świadomość, że na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych znaleźli się w całkowitej izolacji. Agresję potępiły nawet Stany Zjednoczone.

W czasie gdy Brytyjczycy i Francuzi realizowali „Operację Muszkietier” trwała specjalna nadzwyczajna sesja Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Jej podstawowe osiągnięcie stanowiło powołanie pod dowództwem Narodów Zjednoczonych „doraźnej międzynarodowej siły celem zabezpieczenia i nadzorowania zakończenia walki zgodnie ze wszystkimi zaleceniami”.

12 listopada rozpoczęła się nadzwyczajna sesja Zgromadzenia Ogólnego ONZ. W atmosferze pełnego potępienia agresorów uchwalono środki na finansowanie oddziałów międzynarodowych UNEF. 3 grudnia 1956 r. rządy Wielkiej Brytanii i Francji oświadczyły, że przystępują do bezzwłocznej ewakuacji swych wojsk, a 22 grudnia ostatni żołnierze francuscy i brytyjscy opuścili Egipt. Pozostała jeszcze kwestia wycofania się wojsk izraelskich. 17 stycznia 1957 roku Zgromadzenie Ogólne 72 głosami przeciwko 2, przy dwóch wstrzymujących się przyjęło rezolucję domagającą się ewakuacji izraelskiej w ciągu pięciu dni. Izrael zwlekał

wysuwając warunki, od których spełnienia zależniała ewakuacja. Dopiero zgłoszony 22 lutego 1959 r. projekt rezolucji w Zgromadzeniu Ogólnym, potępiający Izrael i wzywający wszystkie państwa do nieudzielania mu jakiegokolwiek pomocy spowodowały, iż 1 marca minister spraw zagranicznych Izraela Golda Meir oświadczyła o gotowości wycofania wojsk. W nocy z 6 na 7 marca do strefy Gazy wkroczyły oddziały UNEF, a 14 marca rozpoczął urzędowanie mianowany przez rząd egipski gubernator.

DO ZAINTERESOWANYCH TEMATEM

Leży przede mną książka — „Konflikt sueski w stosunkach międzynarodowych 1956—1957”. Jej autor — dr Hassan Ali Jamsheer, adiunkt w Międzyuczelnianym Instytucie Nauk Politycznych Uniwersytetu Łódzkiego — rozważa, jak pisze w słowie wstępnym, „źródła konfliktu i jego rozwój” (szczególnie od rewolucji 1952 r.), upaństwowienie Towarzystwa Kanalu Sueskiego i stanowisko społeczności międzynarodowej wobec tego wydarzenia, następnie wobec konfliktu arabsko-izraelskiego, tróstronną agresję na Egipt oraz batalię, jaka rozegrała się na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych”. Autor mający możliwość bezpośredniego sięgnięcia także do źródeł arabskich prezentuje, przynajmniej to trzeba, głębokie zobiektywizowane spojrzenie na omawiany problem. I żałować tylko należałoby, iż książka wydana, bardzo zresztą starannie, przez Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, ukazała się zaledwie w nakładzie 600 egzemplarzy.

Nie ukrywam, że, pisząc swój artykuł, w niemalym stopniu z tej właśnie korzystałem książką, a tym którzy zdecydowali się po nią sięgnąć, na jeden walor zwrócić chciałbym szczególną uwagę.

Autor unika uproszczeń. O konflikcie sueskim pisano na ogół dotąd posługując się krótkimi ocenami. Albo próbowano agresorów tłumaczyć (nie u nas oczywiście), albo przedstawiano atmosferę powszechnego ich potępienia. Hassan Ali Jamsheer różnicuje motywy przeciwstawiania się agresji. Jeden reprezentowany przez kraje socjalistyczne i rodzący się Trzeci Świat — potępiający bezwarunkowo agresorów i drugi — potępiający agresję jako nierozważny krok swych partnerów, mogący im zaszkodzić. Kanadzie i wielu innym nie o Egipt — ofiarę agresji chodziło, a o prestiż Wielkiej Brytanii i Francji, a także o własne interesy. Interwencja sił zbrojnych Narodów Zjednoczonych — zauważa autor — zakończyła agresję, ale przebieg w jakimś stopniu ograniczyła suwerenność Egiptu. Skoro nie udało się wojskom brytyjskim i francuskim wystąpić pod flagą ONZ (powtórzyłaby się afera koreańska), to dobry był i program minimum.

W tym i wielu innych przypadkach autor udowadnia, że nieobca mu jest niełatwa sztuka politycznego myślenia, a znajomość przedmiotu rozważań doprowadził do perfekcji.

„Konflikt Sueski” — książka, którą warto i należy przeczytać.

Nasi w Etiopii

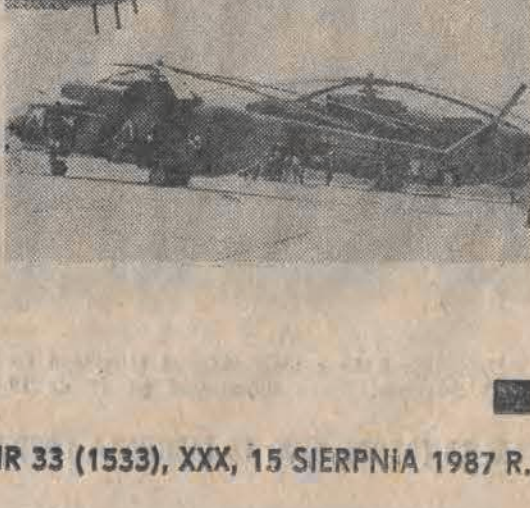
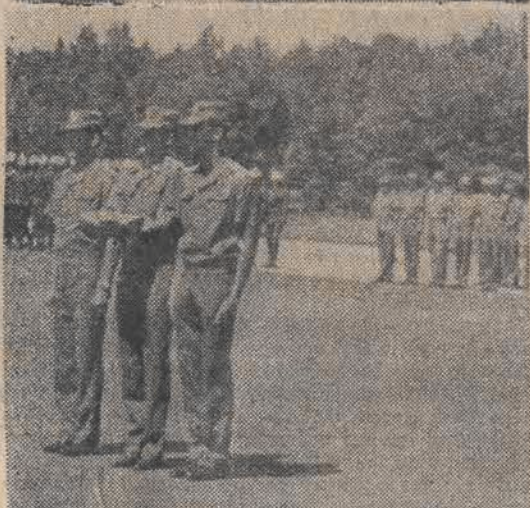
PIOTR JASKOW

W ramach międzynarodowej akcji pod kryptonimem „Nadzieja”, w lutym 1985 roku uformowano Polską Lotniczą Eskadrę Pomocy dla Etiopii (PLEPE).

Od tego czasu polscy lotnicy wspólnie z lotnikami innych państw, nieśli pomoc głodującej ludności Etiopii dotkniętej klęską wieloletniej suszy i powodzi.

Latając śmigłowcami transportowymi Mi-8, polscy lotnicy musieli się nierzadko wykazywać szczególnym kunsztem pilotażu. Bywało bowiem, że trzeba było wykonywać loty na odległość maksymalnego zasięgu śmigłowców (200 km). Dzięki swoim wyczynom sławni są dzisiaj niemal na całym świecie. Organizacja Narodów Zjednoczonych wystosowała do nich specjalne podziękowanie, zyskał sobie stałą wdzięczność ludność Etiopii. Na „Dachu Afryki”, jak zwane jest niebo nad Etiopią, przelatali 6200 godzin.

Przedstawiany przez nas fotoreportaż stanowi krótką relację z powrotu do kraju IV. Ostatniej zmiany polskich lotników, którzy skończyli swą wielomiesięczną, niezwykle trudną służbę w Etiopii.



wana uciekała do mamy, ale wciąż jeszcze naiwnie wierzyła w swoje atrybuty legalnej żony. Głupia ta Jabłońska, o głupia do rozpędu. Obiecywał Jabłoński złote góry, żeby się tylko wyprawiały. Ze kupił jej i dziecku kawalerkę, że zaopatrzy w jakieś grosz po rozwodzie i w ogóle krzywdy nie zrobi. A póki co robił, bo klientka z Ksawerową cisnęła, żeby sfinalizować transakcję, Izba Skarbowa groziła więzieniem za niepłacone podatki, dług trzeba było oddać. Więc lał Jabłoński Jabłońska, aż grzmiało i na zmianę przymuszał, żeby poszła sobie po dobroci.

Niczego się Jabłońska nie nauczyła przez te cztery lata małżeństwa z Jabłońskim.

Na prawie się nie znała, przekonana, że nikt normalny nie pozwoli sprzedać małżonkowi bez jej zgody, nikt nie wyrzucił sprzedającego z mieszkania na ulicę, bez zawodu, środków do życia. Z tego strachu przed biciem i żeby nie zabił, jak obiecywał, wierzyła Jabłońska w tę obiecaną kawalerkę, na jaką, bez żadnego pisma, bez namacalnego dowodu, jakby nie znała Jabłońskiego. Nawet, kiedy kazał jej podpisać jakiś karteluszek, okładający kulakami, żeby jej się przypadkiem piórno nie omsknęło, też podpisała i dalej naiwna jak dziecko wierzyła, że Jabłoński nie jej nie robi.

Zrobił. Ponaglany ze wszystkich stron, wziął się na sposób, żeby przyspieszyć sprzedaż mieszkania. Najprzód wziął od klientki zaliczkę — 400 tysięcy, że niby posłaca ciążące należności podatkowe, a resztę zainkasuje po wprowadzeniu kupującej do sprzedanego mieszkania. Następnie przepił dokładnie całą forę niczego, nie załatwiając. Kiedy zniecierpliwiona kontrahentka zagroziła prokuratorem żądając albo zwrotu pieniędzy, albo mieszkania, poszedł Jabłoński do biura meldunkowego, wziął druczek potrzebny do wymeldowania obywatela, groźbą morderstwa zmuszając żonę, by podpisała papierkę in blanco. Następnie ze znajomą panią upodobniającą z grubszą do własnej żony udał się do biura meldunkowego przy Urzędzie Dzielnicowym Łódź-Poleśne, gdzie dokonano formalnego wymeldowania żony ze wspólnego dotąd zajmowanego mieszkania. Wydał o wszystkie szczegóły. Podwędził żonie dowód osobisty, zdobył beczenny wpis o wymeldowaniu i mógł już z czystym sumieniem sam się wymeldować, opróżniając w ten sposób mieszkanie dla pani z Ksawerową.

Zameldował swą kontrahentkę już 16 kwietnia. Ledwo w dwa miesiące z kawalerką, od kiedy żona wniosła o rozwód, a milicja wszczęła dochodzenie o znęcanie się nad rodziną, miał w ręku Jabłoński następne 900 tysięcy złotych otrzymane za mieszkanie i żonę z głowy. Teraz wystarczyło po prostu sprzedać większość gratów, ciuchy żony i dziecka zgarnąć do piwnicy i zbyć.

Minał prawie miesiąc, nim Jabłońska odkryła we własnym domu, że oświadczenie, że nikt nie mieszka już tam, gdzie mieszkała. Nazajutrz, 7 maja 1987 r. pobiegła z matką do biura meldunkowego, zażądała wglądu w dokumenty, gdzie znalazła wypełniony druk wymeldowania oraz dokument potwierdzający, że jej mieszkanie legalnie zamieszkuje obecnie niejaka pani F., do tej pory obywatelka Ksawerowa. Awantura w urzędzie, jak spowodowała Jabłońska skończyła się na jej kategorycznym zaprzeczeniu, jakoby podpis na blankiecie wymeldowania był jej własnym podpisem, oraz oskarżeniem urzędników o karygodne niedbalstwo w załatwianiu sprawy, niesprawdzenie tożsamości osoby podającej się za Jabłońską.

Szkol Jabłońskiej łatwo zrozumieć. Ale trudno zgolić wyjaśnić źródło konkursowej naiwności.

Biedna Jabłońska, ochłoniawszy nieco, przypomniała sobie ów fatalny czysty blankiet, który podpisała pod groźbą noża. Toteż

czem duch pogałała do urzędu, gdzie, o naiwności, przyznała się uczciwie, że wczoraj w nerwach zaprzeczała, ale, że jednak podpisała jest jej własny, tyle że wymuszony, bezprawny i w ogóle sprawę należy najdokładniej zbadać, odkręcić i nie pozwolić na ten numer bezkarnemu małżonkowi.

Oj, Jabłońska, jeszcze dużo musisz się dowiedzieć o ludziach. Wpierw dowiedź się, że małż miał święte prawo sprzedać mieszkanie nie uzgadniając zamiaru z nikim. Mieszkanie, darzącodregoty taty, było niepodzielną własnością Jabłońskiego, a jako takie nie wchodziło do ustawowej wspólności małżeńskiej. Nie było żadnej intercyzy ślubnej, mocą której małż czynił żonę współwłaścicielką swego mieszkania, ani też, prawda, nie zastrzegł wyrażnie swej odrębności majątkowej. Ale brak takowego zastrzeżenia, nie zmienił faktu. Właścicielem mieszkania był Jabłoński, a nie oboje Jabłońscy. Gdyby mieszkanie zostało kupione przez tatusa już w trakcie trwania małżeństwa, to co innego.

Faktem jest, że forma, w jakiej wyzbył się mieszkania Jabłoński, a przy okazji i rodziny, mogłaby zainteresować różne organy pilnujące praworządności, ale — jakoś nie zainteresowała. Formalnie przecież wszystko było w porządku. Właściciel sprzedał, bo miał prawo, żona sama się podpisała na blankiecie wymeldowania, więc o co chodzi?

Powiadomiona o sprawie prokuratura rejonowa, owszem, przyjęła wniosek Jabłońskiej o zbadanie wszystkich okoliczności, ale się nie wkopila się tak zaraz od razu ścigać Jabłońskiego. Wszak kanikuła się zbliżała.

Nie ma człowieka — nie ma sprawy

Zadanie zamrożenia sprawy w biurze meldunkowym, rozmowy liczne i nerwowe z naczelnikiem wzbudziły już, mała wrogość. Pilnuj się Jabłońska, żebyś czasem nie wyśladowała w pudle, za składanie fałszywych zeznań. Raz nie przyznajesz się do podpisu, to znowu odwołujesz wszystko. Gdybyś tak przytomnie, a nie uczucie zaparła się i nie przyznawała do podpisu, urząd musiałby ci w trybie administracyjnym zbadać sprawę, ale tak? Zaskoczyła ci uczucie Jabłońska, nie tobie przysięgła, jedna. Urząd jest w porządku.

8 maja 1987 r. pani prokurator sugeruje wszczęcie postępowania cywilnego o odzyskanie co najmniej połowy pieniędzy pochodzących ze sprzedaży mieszkania, że bowiem już stanowią wspólną majątkową Jabłońskich. Dobrze byłoby też wystąpić o alimenty na dziecko. Obiecuje rychło rozpocząć sprawę o wymuszenie podpisu wymeldunkowego, co pozwoli przyjąć się dokładnie wszystkim machinacjom Jabłońskiego.

Milicja odmawia interwencji, bo nie ma prawnych podstaw. Formalnie Jabłońskiej przecież nie ma. Została wymeldowana spod dotychczasowego adresu, Jabłońskiego też tam już nie ma, a nowa mieszkanica legalnie zapłaciła, zameldowała się i nie jej zrobić nie można.

Czas płynie. Jabłońska przemieszkuje z dzieckiem po znajomych. Krąży po wszystkich możliwych urzędach, instytucjach, instancjach. Wszędzie budzi jedynie zniecierpliwienie swoją bezdenną naiwnością. Wszyscy są w porządku. Nikt nie może jej

pomóc. Ani prezydent miasta, ani komitet, ani PRON, IRCH, ani sam pan Bóg nie pomoże Jabłońskiej. Bo jej nie ma. Nie ma stałego ani tymczasowego miejsca zamieszkania i zameldowania w Łodzi. Z tego powodu nie posiada też kartek żywnościowych ani możliwości podjęcia jakiejkolwiek pracy. Nie ma alimentów, środków do życia i żadnej nadziei.

29 czerwca 1987 r. Sąd Rejonowy w Łodzi orzeka rozwód małżeństwa Jabłońskich z wyłączonej i niekwestionowanej winy Jabłońskiego. Sąd ani słowem nie próbuje się dowiedzieć o kwestie mieszkania, nie interesuje się także zabezpieczeniem środków na życie, których nie ma utrzymywana dotąd przez męża żona.

13 lipca odbywa się jeszcze jedna sądowa sprawa. Na rzecz dziecka sąd orzeka alimenty w wysokości 8 tysięcy złotych. Oroczenie zapada na podstawie ustnego oświadczenia o uzyskiwanych dochodach Jabłońskiego. Tatus z całkowitą dezynwolturą oświadcza, że zapomni (kolejny raz) dostarczyć jakiś dokument potwierdzający dochody jego prywatnego zakładu rozemielniczego, a sąd na tym spokojnie poprzestaje. Co nieco podzieliłwie traktuje, co prawda, oświadczenie Jabłońskiego, jakoby ten chwilowo nie zarabował, bo na pół roku zawiesił działalność, czego też nie potrafił dowiedzieć żadnym dokumentem. Nadto szanowny tatus napomka, iż sprzedawcy mieszkania, aktualnie wynajmując lokal za 10 tysięcy miesięcznie, ale niestety nie może podać adresu, bo zapomnił oraz że wysokość jego miesięcznych dochodów wynosi od początku świata 12 tysięcy miesięcznie, skutkiem czego wnosi, by sąd raczył nie obciążać go nadmierną kwotą alimentów. Sąd nie interesuje, co Jabłoński zrobił z pieniędzmi uzyskanymi ze sprzedaży mieszkania ani nie przyjmuje do wiadomości wyjaśnień Jabłońskiej ujawniającej kulisy rodzinnych wydarzeń.

24 lipca 1987 r. odbywa się pierwsza rozprawa w sądzie skierowana przez prokuraturę o znęcanie się Jabłońskiego nad rodziną. To znaczy ma się odbyć, bo pozwany się nie stawia. Nikt nie wspomina słowem o losach wniosku o ściganie Jabłońskiego z racji wymuszenia podpisu od żony, kradzieży dowodu osobistego, wyrzucenia jej na ulicę i paru jeszcze innych wyczynów.

Żaden urząd nie poczuwa się do obowiązku zainteresowania się Jabłońskim i jego postępkami.

Zaden urząd nie może obowiązywać sprawą Jabłońskiej, która nie występuje w przyrodzie. Za to każdy urząd, także ten, który obiecywał znaleźć jakiś dach nad głową, był tylko rozwód się uprawomocnił, ma serdecznie dość Jabłońskiej.

Widzisz Jabłońska tak to już jest. Nikt nie zapyta Jabłońskiego jak on to wszystko załatwił, ale każdy z ulgą zamknął za sobą drzwi, żebyś nie zawracala głowy, przecież masz mamusię, która powinna cię kochać, wziąć pod swój dach, zameldować i zdjąć wreszcie z głowy ważnym facetom casus Jabłońskiej. Bo okazało się, że zdaniem władzy, marnuśka Jabłońskiej, jeśli chce zaślubić na miano prawdziwej Polki, powinna przysiąc bezdomną córkę. To, że akurat mamusia nie ma takiego obowiązku, nawet gdyby posłała wielką wille, której tęsknią nie ma, to już nikogo nie obchodzi. A mamusia zwyczajnie nie może pomóc swemu dziecku. Bo ma dwa pokoje z kuchnią i dwójke młodszych dzieci na utrzymaniu swoim i może. I w ogóle, niby dlaczego miałaby przyjąć córkę z wnukiem uwalniając urzędy od ich obowiązków?

Widzisz Jabłońska, nie ma cię! Nie egzystujesz, więc nikt nie musi. Ale za to ty dowiedziałaś się czegoś o życiu. Ze kara spotyka tego, który pozwolił sobie ukraść zegarek.

JOLANTA WRÓNSKA

Nazwiska głównych bohaterów ze względów zrozumiałych zostały zmienione.

Cichy przegrywa

RYSZARD BINKOWSKI

Przed wojną zaraz za wiaduktem kolejowym, no Lewej stronie ulicy Łęczyckiej w Zgierz, był numer 77. Dwie kosy, mówił Władysław Cichy, który dziś akurat tyle ma lat. Ale przez pół wieku ludzkie dzieje, przed wiaduktem powstało nawet ładne miniosiedle domków jednorodzinnych, oddzielone od chodnika kawałkiem płaczących, toteż pierwsza parcela za wiaduktem nosi dziś numer 109. Nie ma tu już chodników, bo za przystankiem tramwaju linii 46 kursującego do Ozorkowa kończy się miasto Zgierz i zaczynała Proboszczewice, które od przyszłego roku mają ponownie należeć do Zgierza.

W 1962 r. zameldował się tutaj Władysław Cichy, przybył ze wsi Budzynek w powiecie oddębeckim. Nie po to, żeby podziwiać toczące się po wysokim nasypie pociągi. Cichy utrzymywał wprawdzie władzę ludową, ale przed wojną prowadził sklep w Polsce Ludowej, toteż gdy w Łódzkiej Ludowej został kierownikiem sklepu podległego GS w Dalkowie, no paru latach wykrył tego zła przelazła i zwolniono, bo za Stalina wyrzucali przedwojennych sklepowych jako element zniechęcający. Władysław Cichy zajął się więc rolnictwem u rodziców. Nie było lekko, bo gospodarstwo liczyło 17 ha, był więc Cichy kulakiem. Przetrwał najgorsze, potem zaś sprzedał gospodarstwo z zamiarem kupna małej działki w Zgierzu. Chciał na niej zbudować dom dla siebie i synów i zająć się ulubionymi koniami. To znaczy nie tyle samymi koniami, co przewoźnictwem. No i to mu się udało, bo przez szereg lat Cichy w Zgierzu furmanił.

27 marca 1983 roku przed notariuszem Janem Kacoryńskim ze Zgierza sporządzono akt no-

tarialny, na mocy którego Władysław Cichy nabył od Góralczyków, Wników Kapić, ostatnich właścicieli, działkę o powierzchni 4420 m kw., położoną przy ulicy Łęczyckiej 109 (dawniej 77).

Władysław Cichy budował, furmanił, ale nie zaglądał do starych dokumentów i nie wiedział, że z tego powodu będzie musiał zainteresować historię, i to aż z czasów I wojny światowej. Bo działka, która nabył tworzyła niegdyś całość liczącą 6600 m kw., z której wydzielono mniejszą część, chociaż różnica nie została wyrażona w uwidoczniona ani w akcie notarialnym, ani w planie części działki. Ta mniejsza część znalazła się przy ul. Bazylijskiej 86 (dawniej 52) i według obliczeń powinna mieć 2160 m kw. Działka sobie leżała, leżała, aż w końcu komuś się przypomniało, że jej właścicielami byli ponoć Niemcy, małżonkowie Alfonsa i Anna Zollowie. W związku z tym dopiero 29 listopada 1961 roku sąd powiatowy w Zgierzu wydał postanowienie o przejęciu tej działki na własność Skarbu Państwa jako majątku niemieckiego i opuszczonego.

Gdyby Władysław Cichy sięgnął do starych dokumentów, dowiedziałby się, że według aktu nr 183 sporządzonego przed notariuszem Borowskim 8 października 1918 r., Wawrzyniec i Anna Kowalscy nabyli na własność od Zyrzyda Wiewórka za 700 marek ziemię o powierzchni 6600 m kw. Leżąca przy szosie łęczyckiej, 26 sierpnia 1926 r. Magistrat Zgierza wydał Kowalskiemu zezwolenie na budowę. Dom używany był od 22 sierpnia 1919 r. Wcześniej, bo 8 marca, Magistrat zaświadczył o powstaniu nieruchomości przy ul. Łęczyckiej, oznaczonej numerem policyjnym 77.

A więc z pewnością nie budował tego domu Zollowie. Jest to o tyle istotne, że w aktach nie ma nigdzie mowy o Niemcach, jako współwłaścicieli działki. Bo w pierwszym wypisie repertorium nr 2279 stół, z 1 kwietnia 1930 r. Kowalscy przed notariuszem ze Zgierza, Zygmuntem Kuleszą, sprzedali za 6 tys. zł. Antoniemu Kapić i Antoninie Kapić (swe) całą swą nieruchomość, a więc dom i plac 4420 m kw. Co się stało z resztą działki, nikt nie wie.

Tymczasem 9 lutego 1969 r. Skarb Państwa przekazał ten właśnie plac, według obliczeń geodety 2160 m kw., na wieczyste użytkowanie obywatelowi Mieczysławowi Soltysiakowi, mieszającemu obywatela Baryłaka, byłego przewodniczącego MRN w Zgierzu.

A Cichy budował, furmanił, orał i kosił. Granice wyznaczały dwa płeki po wiśniach, więc je usunął, żeby nie tępić kosi. Góralecy pokazywał mu przy kupnie, gdzie granica, ale nie była ona dokładnie oznaczona, więc mógł ją przekroczyć. Ale Cichy wcale nie jest tego taki pewny.

I wtedy do roboty zabrał się biegły geodeta, inż. S. Kapiński, aby uświadomić Władysławowi Cichemu, że posiada więcej ziemi niż kupił. No i okazało się, że z nieruchomości Skarbu Państwa, przekazanej ob. Soltysiakowi, przetrzeźn o powierzchni 615 m kw. przylączona została do nieruchomości Cichego. Biegły stwierdził, że działka Cichego bez części spornej wynosi obecnie 4629 m kw., więcej niż podano w akcie notarialnym, ale to odchylenie jest dopuszczalne, gdyż wówczas powierzchnia nie była określana zbyt dokładnie. Natomiast działka Soltysiaka

bez tych 615 m kw. wynosiła tylko 1545 m kw.

Wszystko zostało wyrównane, wymierzone i obliczone, ale Cichy nie mógł się z tym pogodzić. No bo przez 11 lat użytkował ziemię bez zakłóceń, a tu nagle takie numery. Przyznał mu się, że w starym akcie notarialnym pisało słownie, że jego działka liczy cztery tysiące dwadzieścia metrów kwadratowych (4020), a więc użytkował dodatkowo o 609 m kw. dużo. Albo on wyciął taki kawałek z nasypu kolejowego i przystawił do swojego pola, albo Soltysiak ma za dużo.

Ponieważ kompetentne czynniki wojewódzkie ustaliły, że nieruchomości zabudowana wraz z działką o powierzchni 2160 m kw. przy ul. Bazylijskiej 86 ob. Soltysiaka nabył zgodnie z obowiązującymi przepisami prawnymi, a część tej nieruchomości o pow. 615 m kw. użytkował bez tytułu prawnego Władysław Cichy i nie wyraził zgody na dobrowolne oddanie obecnemu wieczystemu użytkownikowi, sprawa musiała trafić do sądu powiatowego w Zgierzu.

Nie obeszło się bez potknięcia. Wskazanie przez Skarb Państwa we wniosku o stwierdzenie zasiedzenia Wilhelmowi Betehera, którego nieruchomości przy Bazylijskiej 19 została także przyłączona na rzecz Państwa, było zwykłą omyłką, chodziło bowiem o Alfonsa Zollę, ale mniejsza z tym. Faktem jest, że Cichy odwołał się. Sąd wojewódzki w Łodzi uchylał wyrok Sądu Powiatowego w Zgierzu i przekazywał do ponownego rozpoznania, i tak dookoła Wojtek. Na jednej z rozpraw w Zgierzu, gdy Cichy domagał się wysłuchania przez sąd dodatkowych świadków, sąd ich ponoć nie dopuścił i zagroził Cichemu milicją i więzieniem. Na koniec wreszcie Sąd Powiatowy w Zgierzu wydał wyrok o eksmisji Cichego ze spornej działki, pokrycie przez niego kosztów procesowych w wysokości 2000 zł i odroczenie bieglego w kwocie 2275 zł.

Władysław Cichy dowiedział się przy tym, że nie można nabyć na własność terenu państwowego na drodze zasiedzenia. Cichy nie zastosował się do prawomocnego wyroku, ponieważ nie był pewny, czy część

działki, która, jak mu zarzucano, użytkował bezprawnie, należała do terenu państwowego.

Rzecz bowiem w tym, że w wykazie nieruchomości budynkowych miasta Zgierz za lata 1939—41 figurują Alfons i Anna Zoll, którzy przy ul. Bazylijskiej 52 zajmowali powierzchnię 2100 m kw. zabudowaną parterowym domem murowanym. Te właśnie nieruchomości Skarb Państwa przekazał ob. Soltysiakowi. Ale sek w tym, że nikt dotąd nie znalazł nigdzie aktu notarialnego potwierdzającego, że Zollowie byli prawnymi właścicielami nieruchomości. Gdyby się bowiem okazało, że właścicielami byli Polacy, a władze niemieckie podczas okupacji osiedliły tam Zollow, to Skarb Państwa nie mógłby przejąć nieruchomości jako pominiętej i opuszczonej i nie byłoby to wtedy teren państwowy.

5 kwietnia 1973 r. o godz. 11.00 komornik Sądu Powiatowego w Zgierzu, Józef Pogonowski, zastosował środki przymusu i wyeksmisował Cichego z działki, mierząc ją i utrwalając znakami trwałymi, tj. betonem, no czym oddał przedstawieli PMRN — Wydział Gospodarki Komunalnej, ob. Michałowi Matusiakowi. Następnie komornik uprzedził Cichego o odpowiedzialności sądowej za przeszkadzanie, użytkowanie oraz spokojne posiadanie działki gruntu przez PMRN w Zgierzu. A faktycznie to chodziło o spokój dla M. Soltysiaka, do którego ogrodzonej działki przyłączono owe sporne 615 m kw. Dziś na tym kawałku zieleni się owies, przerosnięty tu i ówdzie onichka.

Na protokole eksmisji brakuje podpisu Matusiaka, biegłego geodety oraz Wacławy Cichej. Władysław Cichy nie załamał się, ale jego pierwsza żona nie wytrzymała i zmarła z tego wszystkiego. Wdowiec wydzierzał trochę ziemi i uzyskał kartę praw i obywatelskiego gospodarstwa specjalistycznego — kierunek specjalizacji produkcja prosiat i warchlaków. Zawarł wieloletnią umowę z gminą Spółdzielnią i no. w 1976 r. dostarczył prawie 70 tuczników mięsno-słoninowych, w latach 70-tych odstawił ton żywcza za setki tysięcy zio-

tych, o czym świadcza kwity dostawy zwierząt rzeźnych.

W 1977 r. przeszedł na rentę jako inwalida II grupy. Pełna świń stodoła, w której dziś trzyma siano i kraję, trochę opustoszała. Potem Cichy ożenił się po raz drugi. Ale jako rentista nie przestał być gospodarzem. Odchowuje co roku dwa byki dla państwa, na podwórzu pełno kur i balonowy wóz. A że mało do koni nie przemienia z wiekiem, więc w stałej czyści: zadbana klacze, która niewiele się napracuje.

Cichy postawił dwa piętrowe domy, wywianoł synów i mógłby spokojnie żyć, ale ten odebrał kawałek ziemi nadal nie daje mu spać. Mówi, że trawy nie byłoby z tego za dużo, ale on potrafiłby wyhodować dodatkową dwa byki.

Czasem więc Cichy wstąpi do eleganckiego, czarnego baru „Samanta”, zażyje małą dawkę leku na troski i zastanawia się, czy jest pieniaczem, czy wodzi się z władzą po sądach, czy też jest za Cichy, bo zawsze przegrywa. A przecież Cichy nie był taki Cichy i swój wkład w Polskę Ludową dał. Należał do ZSL, ma zbawidowska legitymację „kombatanta”, medal za udział w wojnie obronnej 1939 r., medal za udział w obronie władzy ludowej. A jego druga żona, Helena, od 40 lat należy do PZPR. Zmarnowała zdrowie w fabryce, ostatnio wyszła ze szpitala i prawie nie widzi na jedno oko. Nikt jej nie odwiedza.

Cichy roznamietuje swoją przegrana, nie wie, czy słusznie zabrano mu ten cenny kawałek ziemi, kombinuje więc że mógłby mu to wyjaśnić tylko jakiś porządny prokurator, no, ten prokurator, co pisuje do gazet, dr Jacek Rządowski.

Władysław Cichy nie załamał się, ale jego pierwsza żona nie wytrzymała i zmarła z tego wszystkiego. Wdowiec wydzierzał trochę ziemi i uzyskał kartę praw i obywatelskiego gospodarstwa specjalistycznego — kierunek specjalizacji produkcja prosiat i warchlaków. Zawarł wieloletnią umowę z gminą Spółdzielnią i no. w 1976 r. dostarczył prawie 70 tuczników mięsno-słoninowych, w latach 70-tych odstawił ton żywcza za setki tysięcy zio-

Z głębokim rozczarowaniem przyjąłem nieobecność organów ścigania na dorocznej sopockiej imprezie gangstersko-charytatywnej odbywającej się pod niewinnym kryptonimem „Miss Polonia”. Szkoda — bo bezkarnie grasujących klientów jest jakby coraz więcej. Należnej, dorastającej młodzieży pici żeńskiej sposobie się do przyszłorocznych eliminacji, godzi się wyśnić, iż w odległych czasach, kiedy wskrzeszono szlachetną ideę wybierania najpiękniejszej Polki roku, miała to być pyszna zabawa dla dziewcząt i kibiców, nie zaś urodzajna działka dla hochsztafterów. Ale minęły ledwie cztery lata i tylko telewizja nie polapała się o co naprawdę chodzi, dalej uparcie pokazując pląsające po estradzie panienki, jakby one były najważniejsze. W ciągu tych pracowitych lat pięciokrotnie zmieniały się dziewczyny (zawsze na świeże), ceny biletów wstępu dla anonimowych mas oraz ogólny areal łysin na głowach etatowych wyborców i dogonnych działaczy. Przy okazji paru facetów zdążyło wykarcić sobie i szwagrow albo zwiedzić lepszą połowę świata, głównie pod pretekstem opieki nad reprezentantkami kraju udającymi się na międzynarodowe zawody piękności.

Już samo wkroczenie do Opery Leśnej wywołuje szczere wzruszenie, gdyż panująca tam familiarna atmosfera w niczym nie ustępuje klimatowi zakładowego ośrodka wczasowego. Pierwszą figurą jest koniecznie człowiek-orkiestra, szef Biura Miss Polonia, sekretarz jury i autor scenariusza w jednej osobie — Jerzy Chmielewski (duże brawa za światowe maniery pozwalające traktować publiczność w przerwie między żuciem gumy). Jak co roku jest obecny redaktor Janusz Świerczyński z „Dziennika Telewizyjnego”, znakomicie łączący wychwalanie kobiecych wdzięków z podawaniem wieści o katastrofalnych suszach w Etiopii. Jak co roku harcuje śpiewający balecik męski o nazwie „Vox”, któremu jak co roku skocznie przygrywa kapela objazdowa „Alex Band”. Jest oczywiście artysta estradowy Rostewicz Andrzej — tym razem na scenie, gdzie wyjątkowo wpuścili go najemni bramkarze, zresztą ci sami co przed rokiem, aby z pamięci potrafili rozpoznać stałe grono dostojnych gości i broń Boże nie ślekowali kogoś ważnego, jak na minionych wyborach. Odmeldował się także inny artysta trzech pokoleń Gassowski Wojciech, którego majówkowy przebrój „Zielona wzgórzka nad Soliną” wycisnął z oczu licznych emerytowanych wielbicieli. Jurorom jak zwykle przewodniczył wiceprezydent Sopotu, ojciec miasta w zamierzonych czasach zwanego „Perłą Bałtyku”, natomiast wśród wybitnych specjalistów do spraw oceniania urody i kształtów niewieściech znalazł się nawet dyrektor „Budimexu”, firmy która w wolnych chwilach zajmuje się mieszaniem betonu i układaniem cegieł pod fundamenty naszego przodującego budownictwa. W tej sytuacji kolejne spotkanie „Dinozaurów” musiało wypaść nader imponująco i tak też wypadło.

W rozgorączkowanym tłumie zginęli gdzieś bardzo skromni fundatorzy głównych nagród, pewnie dlatego, że przy krajowych playboyach wyglądali jak nie przystające, portierzy. Pewnego Niemca federalnego odzianego w wytarte dżinsy i popielinową kapotę omalże nie zapędzono do zbierania śmieci, taki był pokaz męskiej mody. Sponsorzy, którzy specjalnie przybyli z zagranicy oraz z Węgier, uzyskali prawo przepytывania finalistek na okoliczność znajomości geografii i innych dyscyplin naukowych. Japończyk na przykład przyczepił się do polityki i koniecznie chciał wiedzieć, kto obecnie rządzi w Tokio, jakby nie stać go było na kupienie gazety. Szczególny podziw wzbudził jednak uroczy jegomość podający się za wysłannika Polskiego Związku Hodowców Golebi, który osobiście przytargał pod pachą szklane naczynie niewiadomego przeznaczenia ufundowane przez kolegów gołębiarzy, dzięki czemu mógł śmiało dołączyć do plejady sponsorów od Toyoty, Panasonic, Omegi i Pewexu. Firmy owe sypnęły takim gradem fantów dewizowych, że wyścigiem po japoński samochód, magnetowidy i kolorowe telewizory, żywo zainteresowało się „Studio Sport!”, reprezentowane przez czołowego sprawodawcę bokserkiego, redaktora Włodzimierza Szaranowicza.

Wyraźny postęp w konkurencji wyczynowej „Miss Polonia” uwiadcza się głównie poprzez fakt, iż ostro rywalizują już nie tylko zawodniczki, ale także swity im towarzyszące, po sportowemu zwane ekipami serwisowymi. Momentami walka ta przypomina wolną amerykanke, a perfekcyjnie opanowanym elementem jest umiejętność wysmażania pikantnych donosów na co bardziej urodziwe konkurentki. Dlatego sopockie kryterium leśne coraz bardziej zyskuje na atrakcyjności i dawno już powaliło na łopatki imprezy mniej widowiskowe i bardziej męczące — choćby Wyścig Pokoju. Taki dajmy na to kolarz szosowy Uwe Ampler, żeby na mecie zgarnąć kiepskie toczydło marki Polonez, musi najpierw jak ten głupi pedałowac pod górę coś koło dwóch tysięcy kilometrów w deszczu i od nikogo nie dostanie buzi. Ale to już jego sprawa i rodziców — w końcu nie musiał zostać cyklistą. Z kronikarskiego obowiązku dodam jeszcze, że tegoroczne zawody indywidualnie wygrała Monika Nowosadko (Kołobrzeg), natomiast drużynowo reprezentacja Łodzi przed Warszawą.

Co zaś tyczy się tak zwanych ekip towarzyszących, wystarczy zerknąć na parking u stóp Opery Leśnej, tudzież na podobne miejsca przed hotelami, gdzie zazwyczaj oczekują służbowe sa-

Miss Polonia '87 czyli kabaret coraz starszych panów

ROMAN KUBIAK

mochoy z kierowcami należące do ważnych urzędów szczebla rozmaitego oraz do instytucji i organizacji statutowo odległych od czynnego popierania damskiej urody (numery rejestracyjne do wyglądu). Ja rozumiem, że honor miasta i gminy nakazuje być blisko swych reprezentantów, szczególnie jeśli akurat są nimi słuchane stolki, ślubną kobietę i dorastające dziewczynki, wiekąc się w drugi koniec kraju — doprawdy nie pójmuje. Przecież w tłumie zazdrosnych adoratorów łatwo może znaleźć się jakiś paskudny donosiciel albo purytanin, który bezczelnie zażąda potem rychłego wprowadzenia drugiego etapu oddawania służbowych samochodów.

Z nowych twarzy — a właściwie twarzyczek, oprócz piętnastki finalistek, pojawiła się czekoladowa buzia królująca nam Miss Swiata, Panna Giselle Laronde przyleciała do nas z Trynidadu. Przybyła po to, by włożyć koronę na główkę Miss Polski. Zaprośiliśmy ją sobie do kraju wraz z opiekunką, bo taki mamy gest. Jako naród znany z gościnności wynajęliśmy dla niej zielonego Mercedesa z obstawą męską i tłumaczką, obwieźliśmy po kraju od Krakowa po Sopot, zwiedziliśmy nasze pierwszorzędne hotele i restauracje oraz wręczyliśmy prezenty. Panna Giselle ze wzruszeniem wyznała, iż podobne honory nie spotykała jej nawet w Senegalu i Gabonie, gdzie także ją zaproszono. Za to w podziękowanie rozdawała kolorowe obrazki. Paniencę z Trynidadu bardzo smakowała polska kuchnia. Na balu w hotelu „Gdynia” podobno podano słogonową, medalion i płonące lody, w „Maximie” — nie wiadomo, jedliśmy i piiliśmy ustami naszych przedstawicieli.



z Biura Miss Polonia, którzy ani na krok nie odstępowali dostojnego gościa. Od kelnera i wykidajcy mającego za zadanie wyrzucić na zbyty pysk osobników spoza dworu królowej, udało się jednak wydusić informację, że panna Laronde nie dbała o linię. Nasi przedstawiciele również. Było fajnie.

Tutaj należy zaznaczyć, iż sopockie wybory wraz z imprezami towarzyszącymi, zamykają się deficytem kasowym — co publicznie wyjawiał szef Bałtyckiej Agencji Artystycznej, etatowego twórcy manka. Taka wiadomość nie powinna nikogo dziwić — najwyżej Izbę Skarbową. W końcu dopłacamy do węgla, mleka i stali, czemu więc nie fundować rozrywki paru spragnionym jej facetom. Przyjemnie być sponsorem takiej kławej zabawy. Najwięcej dopłacają dziennikarze, bowiem organizatorzy zawinszowali sobie 5,5 tysiąca złotych za akredytację, zupełnie jakby estradowcy reklamowali prasę, a nie na odwrót. Za tę sumę dostał nam się bilet wstępu na widowisko, jedna noc w hotelu, plastikowa reklamówka z bibelotami i zakaz węszenia po kuchni wyborczej oraz zakulisowej knajpie pod karą pięści. A przecież szeregownicy oglądacz kupuje sobie bilet za jedyne 1800 złotych i ma dokładnie takie same prawa. Oglądacz wcisnęło się ze trzy tysiące, z czego połowa legalnie. Dlatego zamiast cieszyć się radością naszych dobroczyńców, złośliwie zaczęliśmy liczyć i nijk nie chciała nam wyjść plajta. No bo przecież dziewczyny udzielają się społecznie, odziewa je — wprawdzie skąpo — lecz gratisowo, kilku naraz ofiarnych krawców, a pulę nagród fundują kapitaliści. Sądząc po poziomie produkcji estradowej, artystom rozrywkowym nie wypłacono więcej, niż średnią gażę cyrkowca. I nagle — deficyt!

Bardzo możliwe, że sprawcą deficytu było również wojsko, które do amfiteatru zrzuciło desant w sile kompanii fizylierów i batalionu piechoty morskiej. Co prawda żołnierze przykładnie zopatrzyli się w bilety wstępu i wykupili nakład barwnych fotosów panienek, ale jak już wiadomo, do biletów dopłaca społeczność. Poza tym (ta informacja z wiadomych względów jest poufna) obecność wojska na wyborach miss rażąco osłabia zdolność obronną Układu Warszawskiego, ponieważ szeregownicy obowiązkowo meidują się na widowni uzbrojeni w patrolowe tormenty.

Zaraz po szczęśliwym finale odezwały się nieśmiałe głosy, a później wręcz okrzyki, jakoby w kampanii wyborczej popełniono grube szwindle, czyli koronowano nie tę główkę, którą dyktowały względy estetyczne, tylko całkiem inną. Jurorka Zofia Nasierowska twierdziła, że panowie organizatorzy naciskali, by nie głosować na numer 8, bo ten numer niebawem czmychnie za granicę, ani tym bardziej na numer 12, bo ma zbyt słaby charakter. Jurorka Emilia Krakowska poskarżyła się, że panowie organizatorzy wykiwali panie jurorki, ponieważ cichcem ogłosili własny werdykt, bez konsultacji społecznych. Tymczasem żadnych machlojek nie było, po prostu wybory przebiegały zgodnie z pianem organizatorów, czyli normalnie. Czas wreszcie zrozumieć, że interes pod tytułem „Miss Polonia”, to są regularne gonitwy koni wysłigowych, a nie obrady kółka różańcowego. Rzecz jasna: nie warto inwestować w panienkę, którą ani chybi zwieje za granicę i tam niewątpliwie poszuka sobie innego opiekuna oraz towarzysza światoznaczących wypraw, albo w taką, którą cechuje słaby charakter, więc może szybko zapomnieć o swych dobroczyńcach — a do tego posiada prawo jazdy.

Na przyszłoroczne wybory Dinozaury gorąco zapraszają do Sopotu świeżą partię dziewcząt. Życzą im równie miłej zabawy, dziwnie przekonani, że moje życzenia się spełnią.



Foto: Grzegorz Gałasiński

W reportażu „Olbrzym bez skrzydeł” wolałem w 1970 r. „Łódź to pod każdym względem miasto pechowe. Wodę ma w Pilicy, dworce kolejowych w Koluszkach, a lotnisko na Okęciu w Warszawie. Międzynarodowe pociągi na ekspresowych liniach Łódź omijają. W mieście rozstąpiły się wprawdzie aż dwa dworce, Fabryczny i Kaliski, lecz oba nie są warte jednego peronu w Kutnie bądź Koluszkach. I nie już chyba nie zwojuje się na tym polu. Bo nikt ani myśli pakować miliardy w rozbudowę kolejowych szlaków. Przyszłość komunikacji upatruje się wszędzie w autostradach i lotniskach. W pierwszych latach po wojnie lotnisko było. A także. Samoloty lądowały na Lubli-

nie inwestycje. Nic samo z nieba nie spada. Ministerstwa techniczne z własnego popędu przynosić coś komukolwiek na średnim półnisku. Trzeba walczyć. Bywa, że do upadłego. W grę wchodzi budowa całkiem nowego lotniska. Jego odległość od Łodzi w żadnym razie nie może przekraczać 30 kilometrów. Lokalizacyjne warianty wyłoniły się różne. Pod uwagę brano rejon Pabianic, Grotnik, Lutomierska, także Lipin między Nowosolną i Brzezinią. Po wstępnych eliminacjach na placu boju pozostał jeden tylko konkurent do pasażerskiego lotniska. Są nim ziemie pod Aleksandrowem w okolicy wiosek Sanie i Błotne. Według najnowszej wersji lotnisko pod Aleksandrowem odprawi pierwszych pasażerów już pod koniec 1977 r. Zatem Ale-

Wien Łódź przyobleczano metro. Zapewniono, że lotnisko też będzie. A jakże, w pierwszej górze kolejności. Ponoć coś tam wokół metra się dłubie, a co wydłubie, czas pokaże. O lotnisku natomiast milczenie jest grobowe. Około dwa lata stoją dziś w Łodzi dwa światy. Jest świat blichtru, mercedezów, podmiejskich wili w granicach i jest świat przerażających ruder, walących się oścyn, spadających balkonów i rozsypujących się czynszówek. Jest świat dolarowych wycieczek na dźwięki do Bangkoku i jest świat kobiet krztuszących się w bawełnianym pyłu. Jest świat aroganckich playboyów i jest świat emerytów, przepędzanych z mieszkań rosnącymi wciąż czynszami i poganianych do grobu bezlitosną inflacją.

my domy, a oni atomy...” Za Gomulki coś drgnęło z jedną atoli nogą na hamulcach i drugą: „Naś na to nie stać, towarzyście”. Z kopyta, choć w dużej części za obce pieniądze, ruszyło dopiero za Gierka. Tak właśnie, a nie inaczej, za Gierka. W latach siedemdziesiątych, w jednym przeto dziesięcioleciu, wyrosły całe dzielnice wielkości Piotrkowa Tryb. Ze wspomną Teofilów i Dąbrowę. Zadymilo kilkanaście nowych kolosów produkcyjnych, wyposażonych w sprzęt najnowszej generacji. Poprzebijano przez zatłoczone centrum trasy szybkiego ruchu. Ze wspomną aleję Mickiewicza. I Manhattan stanął, ten łódzki. Jaki jest, taki jest, ale stanął i stoi. Powiedziałabym, że jeśli Gomulka ze straszliwie długim



Mówi: Irena Brzezińska

Rolnicza, soltys jednego z największych w mieście sołectw Złotna, członek ZSL. Mąż Jerzy — inż. włókiennik, syn Marek — filolog, wnuczka Zuzanna. Nie cierpi na nadwagę, wiek stosowny do wykonywanej pracy. Biuro ruchome — trzy torby z dokumentami i statygowany fiacik do penetracji uliczek, gdzie diabeł mówi dobranoc. Pozostałe wymiary zawiera numer telefonu, który założono jej przed rokiem, bo władze Polesia nie zdążyły z wysłaniem posłańców. Kocha ludzi, drzewa i zwierzęta, które też się kochają i zawsze jest kilkanaście kotów i psy, w sam raz na prezenty dla przyjaciół.

- W mieście potrzebny jest soltys?
- Dopóki jest ziemia, musi być soltys i zastępować radę osiedlową, aby rolnik nie młócił czasu w odległych urzędach. Sołectwo największe obszarowo i najuboższe w infrastrukturę trudno więc ograniczyć się tylko do zebrania podatku.
- Z wysokiego stolika nie widział jakoś rolnika w mieście?
- Nie ma nic gorszego jak peryferie, gdzie ziemia i ludzie czasem bardziej zapomniani niż w zapadłej gminie. I dlatego trzeba pomóc choćby takim starym i niezaradnym, których miasto wywłaszczyło z 6 do 1 ha i przez lata wywalo do placenia podatków z 6 ha, chociaż na polu od dawna stały bloki. Nie same odgórne decyzje, lecz rzetelna ich realizacja w terenie łagodzi konflikty i wzbudza zaufanie do administracji i chłopskiej partii.
- Pani to się udaje?
- Do tego dążę. Kobieta jest uparta, pieniędzy za to nie bierze, ale gębę zawsze może otworzyć. Ale ja nie jestem samotną bohaterką. Pomaga mi nie tylko dwóch podsołtysów, ale i wielu ludowców z władz terenowych i organów samorządowych. Nasze koło ZSL liczy 50 członków. Składki opłacone w 92 proc. co jest ewenementem.
- I pewnie sami dobrzy rolnicy?
- Różni, proszę pana, zależy, co kto uprawia. Jest i taki, który z 1,15 ha sprzedaje państwu płody za 900 tys. zł. Truskawki... Ale obok tego zboże, mleko, żywiec, warzywa. W 1983 roku nasi rolnicy oddawali prawie 600 tys. litrów mleka.
- Zważywszy na warunki i ciągle zagrożenie ze strony przemysłu i budownictwa, to chyba dużo.
- Warunki faktycznie są ciężkie, żeby więc ludzie się nie załamali, soltys musi przynajmniej podtrzymywać nadzieję. I rozwiązywać różne problemy nawet wówczas, gdy jest starością na weselu. Soltys przyciąga młodych do ZSL, namawia do troski o gospodarstwo, pomaga w nabywaniu maszyn i narzędzi. I cieszy się, gdy ludzie zwłaszcza młodzi wracają z miasta na rodzinne gospodarstwa i nie zdają już państwu ziemi...
- A skąd u pani ta miłość do ziemi?
- Z dziada-pradziada. Mama wprawdzie wywodziła się z Durków, bałuckich kamieniczników, ale tato z rodziny typowo rolniczej. Pradziad kupił taką „resztówkę”, że gdy jego syn dzielił sześciorgo dzieci, wychodziło po osiem hektarów. Mój mąż pochodził z szacownej rodziny rzemieślniczej, ale od dziecka związany był ze wsią.
- Na Podchorążych zostały tylko dwa hektary?
- Nie! W 1946 roku był to kawałek nie ogrodzonej łąki i mama kupiła to z myślą, że pobuduje się jedna z córek. Wy-pało na mnie...
- Dlaczego?
- Bo wtedy też było trudno zdobyć mieszkanie, a mama postarała się także o cegłę i wapno. Mąż sadił drzewka, krzewy i wznosiłszy w pocie czoła nasz dom. Zdrowie nie pozwalało mi pracować w wyuczonym zawodzie zajęłam się więc sadownictwem i uprawą czarnej i czerwonej porzeczki.
- Teraz z kolei przeszkadza złe pogodę.
- Zimą prawie wszędzie przemarzły drzewa i krzewy. Ale zdrowie też już nie to... Po złamaniu nogi przez dwa lata chodziłam o kulach.
- Ale pracy społecznej pani się nie wyrzeknie?
- Nie potrafię. Jestem przewodniczącą rady sołectkiej, prezesem koła ZSL, przewodniczącą komitetu Pomocy Szkole nr 169, sekretarzem Rady Społeczno-Gospodarczej przy RN Miasta Łódź, członkiem Rady Łódzkiej PRON, wiceprezesem DK ZSL i członkiem Plenum WK ZSL.
- Dzięki temu łatwo się naraził administracji.
- W pracy społecznej nie da się tego uniknąć. Ale z władzami Polesia i z WK ZSL pracuję mi się dobrze. Szczególnie pomaga mi prezes WK Jerzy Chojnacki, który w trudnych, gorących sytuacjach spełnia często rolę straży pożarnej. Podobnie zresztą jak naczelnik Polesia Henryk Baliński.
- Pytano już, czemu pani to wszystko robi?
- Tak. Odrzekłam, że są to moje niewyżyte skłonności macierzyńskie, ponieważ miałam tylko jedno dziecko. Bo z tych procentów pobieranych od ściąganych podatków, to nigdy bym nie wyżyła. Ja te pieniądze przekazuję ludziom potrzebującym pomocy i na cele społeczne, np. na Centrum Zdrowia Matki Polki lub dla Koła Gospodyń Wiejskich, do którego należę. A gdy pieniądze brakuje, to uprawiam w czynie społecznym np. 30 arów ziemniaków, aby pokryć koszty wspólnej wycieczki.
- Ma pani czas na gotowanie?
- Tak. Lubię gotować i urządzać przyjęcia. Wiem też, że herbata powinna być jak kobieta — mocna, słodka i gorąca.
- A mąż?
- Mąż jest specjalistą od nalewek, gościnności i gawędziarstwa. Twierdzi, że moje potrawy mu smakują. Najbardziej konfitura z mirabelki, którą chciał kiedyś ścisnąć siekiera. Tera sama wymarła.
- Credo życiowe soltys Brzezińskiej.
- W pracy społecznej nie można się cieszyć tylko ludzkim uznaniem i wyłącznie o nie zabiegać. Trzeba natomiast szanować rolnika i okazywać mu wdzięczność za jego pracę i wysiłek. Powinien być dumny, że jest ze wsi, z której wszyscyśmy wyszli. Zawód rolnika ponad wszystkim...
- Doczekamy tego w sołectwie Złotna?
- Byłoby tylko starczyło sił i zdrowia. I żeby władze pamiętały, że na peryferiach Łodzi żyją ludzie, którzy pragną dawać świętą i zdrową żywność i zachować zielone płuca dla miasta.
- Dziękuję za rozmowę.

Czy Łódź potrzebuje lotnisko?

Blotny zółw zamiast łódki w herbie

JAN BABIŃSKI

ku. Ruch był duży. Zadowolone nie powszechne. Potem lotnisko Łódź zabrano. Miasto nie ma lotniczego portu, choć ma setkę przemysłowych wytwórni, cały wianek wyższych uczelni, pokaźną ilość instytucji i parę central handlu zagranicznego, robiących miliardowe obroty z całym bez mała światem.

Jak wytłumaczyć importerom tłumnie odwiedzającym „Textilimper” czy „Skórimper”, że samoloty nad Łodzią tylko przelatują z sydereczym na ogół hukiem?

Słyszycie na odpowiedzi. Zobaczymy, zbadamy, pomyślimy... i pachnie to już z daleka przynajmniej wszystko niemożnością załatwienia czegośkolwiek.

Wybrałem się na Lublin. Lotnisko wciąż robi nader, dobre wrażenie. Hangary są nowoczesne. Inne zabudowania niczym nie rażą. Personel to stare wygi. Z lewą wspominają czasy, kiedy Łódź utrzymywały podniebne więzi z Wrocławiem, Szczecinem, Krakowem... Dlaczegoż więc lotnisko, nieźle wszak urządzone, jest teraz zamknięte? Zła wola czynników? Czyjaś słabość charakteru i nadmierna ustępliwość? Niechęć do przedsięwzięcia cokolwiek?

Tak pisałem w 1970 r. Do kwestii lotniska wróciłem w komentarzu „Czysta sprawa” pod koniec 1972 r., kiedy mocno w siodło usadowiła się nowa ekipa rządowa.

„Długoletnia wojna o lotnisko zakończyła się pomyślnie. Lotnisko będzie. Ci na świecie, ludzie młodzi i energiczni, wykazali dostatecznie dużo charakteru i potrafili wykićć się o jakże potrzebną miastu

ksandrow. Ma to być lotnisko drugiej klasy. Przeto nie spoczną na nim caravelle, boeingi, illy, jumbo-jety i te inne latające słonie. Będzie to lotnisko krajowe. Połączy Łódź z całym krajem. Przypuszcza się, że w 1985 r. skorzysta z tego lotniska jakieś cztery miliona pasażerów.

Przechyliło się w stronę Łódzi.

Otóż wielkie, uprzemysłowione miasto jest pod koniec dwudziestego wieku nie do pomyślenia bez lotniska. Stałoby się nieodwołalnie i w sposób raczej egzotyczny zafasowane nawet w stosunku do Trzeciego Świata. Na nigdzie, nawet w Afryce, nie znajdzie się dziś miliona nowego miasta bez lotniczego portu. Tylko, że właśnie słychać o nowych komisjach. Czuję zimne poty. Czyżby miał się powtórzyć zgrany już raczej manewr grania na zwłokę? Chcesz rzecz odwieść do świętego nigdy, powołaj komisję. Chcesz ważny problem utopić w bezpłodnej gadaninie? Zrób to zgrabnie. Komisyjnie!

Tak pisałem piętnaście lat temu, w zgodzie z moim dziennikarskim sumieniem i w zgodzie z ustalonym wtenczas planem rozwoju Łódzi.

Brzmi to dziś jak bajka.

Był czas, te pierwsze powojenne lata, kiedy Łódź swą wielką wielomiliardową akumulacją, nie przestając obok Śląska zasilać odbudowy stolicy, wykarmiła potężne prócz tego inwestycje jak kraj długi i szeroki. Wszędzie coś rośnie i coś się zmieniało. Jedną Łódź nie zmieniała się w niczym. Stała jak wkopana na bocznym inwestycyjnym torze. A obok, przed jej nosem, przelatywały ekspresowe pociągi.

Te dwa światy stoją naprzeciw siebie.

Łódź, niegdyś „Ziemia Obiecana”, „little America”, „polish Manchester” z roku na rok traci rangę i znaczenie. Zjeżdża w dół i podupada. W przemyśle dreptanie w miejscu. Skąd wydębić dewizy na unowocześnienie maszynowego parku? Z jakiego zaczerpnąć źródła na zakup węgla i bawełny? W budownictwie stagnacja właściwie pogłębiająca się zastój. Stawia się coraz mniej mieszkań po coraz wyższych kosztach, w coraz dłuższych cyklach.

W zółwim tempie się buduje. Jeszcze wolniej się remontuje.

Na obliczu Łódzi, jak w zwierciadle właśnie, odbijają się wszystkie nasze gospodarcze wloty i upadki.

Stoją jeszcze w mieście drewniane chałupinki tkaczy ręcznych. Stoją fabryczne giganty „wymurowane z czerwonej cegły na kształt twierdzy średnio-wiecznych. Stoją farańskie pałace królów bawelny. Stoją wielopiętrowe masywne kamienice z przełomu wieków. Murawie w nich schody, apartamenty tak zaś wysokie, że sale tańca by z tego porobił na dwa zgola pietra. Stoją cherlawe domki jednorodzinne z lat międzywojennych i okazałe obok budynki z wszystkimi mi wygodami i taką armaturą w łazienkach, że człek galy wywala.

Kontrasy, kontrasty, już Reymont je opisywał.

Za Bierutą, jak to się powiada, nie budowano nad Łódźką omalże niczego. W gabinetowym zaciszu gmachu centralnego słyszało się wtenczas wymowne: „Jakże, towarzysze,

wieźm w kieszeni stanowią też, Gierka był tego antytezą. Dziś jest synteza. Jest coś z Gomulki, jest coś z Gierka i jest coś z „Solidarności”. Z Gomulki jest „polska droga”, z Gierka jest ponowna próba wychylenia się na Zachód, z „Solidarności” jest samorząd, fabryczne sejmiki i te inne rzeczy. Kupa, mości panowie, ani za bardzo w lewo, ani za bardzo w prawo, koniecznośći srodekczkiem. To najwygodniej i najbezpieczniej zarazem.

Wciąż co z lotniskiem?

Czort jęwo znał, milczenie jak w grobie faraona. Łódź rozłożona w sercu Europy, drugie co do wielkości miasto w kraju, portu lotniczego jest pozbawiona. Lotnisko ma Rzeszów, Koszalin ma, ale Łódź siedzi w wielu central handlu zagranicznego, ostatnio także Międzynarodowych Targów „Interfashion”, połączeń lotniczych nie ma. Ma starczyć koleje do Koluszek. A dla papieskich gości we fiolecie i purpurze w sam raz — helikopter.

Współczesna Łódź Manchesterem już nie jest. Do Manchesteru samoloty odlatają z Warszawy. A do Łódzi figa. Łódź nie jest już „little America”, nie jest małą Ameryką. Nawet małe miasta, ot takie jak Piotrków Tryb., od dawna korzystają w Ameryce z własnych lotnisk, świetnie na ogół wyposażonych. Zmienilo się. Niestety, na gorsze. Niebo nad Łodzią wciąż jest przerażająco puste. Wiek cały przewalał się ślad tym grodem bez żadnego echa.

Ten olbrzym nadal jest bez skrzydeł. Miał je, a i owszem, starzy łódzianie pamiętają, że miał. Ale mu je odrabali ci facci z wieźm w kieszeni. Był to czas, kiedy w samym srodekczku Łódzi, w otoczeniu ogromnych ubiegłowiecznych kamienic, ustawiono karzełka i nazwano go „Balaton”. Dziennikarz zaś, który to wymyślił, wyleciał z posady. „Balaton” jest po dziś dzień uderzającym symbolem „sierniężnego socjalizmu”, równości, no tak, lecz równości w ubóstwie.

I tak oto, w sensie komunikacyjnym Łódź siedzi jak zółw w skorupie. Ma jak w ubiegłym wieku dworce kolejowe w Kutnie i Koluszkach, a lotnisko ma na Okęciu w Warszawie. Niemrawy, potworne wielkości zółw. Nawet nie wodny. Wodę ma Łódź w Pilicy przecież. Więc może by godło tego miasta, łódź, co niegdyś wartko po Łódce płynęła, zamienić na błotnego zółwia? To by dość ładnie wyglądało. I oryginalnie.



Foto: Grzegorz Galasinski

Donos

ten donos jest efektem najwyższej konieczności
 Ważne Osoby
 — oto światło przesiewa się
 przez subiektywne pryzmaty
 — dominującą barwą przestał być kolor nadziei
 — ucięte ręce
 — ciągle pełne odłasków
 — pozaszywane usta
 — kryją szeskorbucone zęby
 — w połowie stoku
 — przecina się asekuracje taterników
 — wynaleziono półprzewodniki głosu
 — jakieś typy
 — kradną przewody i kontakty
 — prostotę umysłów
 — kamieniono w skomplikowany bełkot słów
 — przeciwną mądrości uczyniono wielkość
 — sławę
 — konsumuje się bez apetytu w rymszokach
 — na Parnasie jedynie ci którzy dotarli

— siła osobowości
 — ma wertykalne wektory głowa w dół
 — snobistyczne kruki wydobywają oczy gołębi
 — nad tym wszystkim ta sama burza aplauzu

nie sposób już tego słuchać
 — proszę zachować moje imię
 — w jak najciszej tajemnicy
 — fakt że napisałem ten donos
 — determinuje rodzaj przepisanego mi śmiertel
 — głowy przecięć już nie mam



nie odsuwał już się apetyt
 — teraz bierzcie i jedzcie
 — teraz pijcie do czkania
 — zostawiam adres
 — berdyżów
 — nie!
 — jakiś kocioł bez trwania
 — nie!
 — jakaś pusta ulica
 — jakiś po bokach klony
 — płac pigalle albo łomta
 — bruk z przedśmionków stęsknionych

tu czy tam
 kogo co to
 jedna ta sama rzeka
 i heraklit zgarbiony
 wierzy w odmianę
 czeka
 potem usta pochyła
 ślaczko szepcze ku mnie
 — tu wśród ludzi jest nłjak
 tylko tramwaj brzmiał dumnie

sznur od złota w objęciu
 słob — siekiera pod skórą
 wzrok za drogą w horyzont
 droga znów pod górę
 — już czas

Róża u kozucha

nie pomagały naszej miłości
 — nurkujące z wyciem sztukasy
 — alarmowe syreny i głód jednego ziemniaka
 — nawet rozstania

przeszkadzali naszej miłości
 — ludzie i zwierzęta
 — dzieci, szczeniata i osły wypchane trocinami
 — nawet mróz

zaszłości nam naszej miłości
 — matki, szwagrowie i bracia
 — motorniczowie wielkich czerwonych tramwajów
 — nawet bóg

dlatego ta nasza miłość
 — jest tylko zmyślonym dodatkiem
 — do trudu wspólnego borykania się z Niczym
 — by być kimś

nocą

wzięła moja dłoń
 i nauczyła mnie ciała
 — wzięła moje biodra
 i nauczyła mnie rytmu
 — otwiera mi usta
 — do krzyku

mogłem z nią
 — począć ją samą —
 — moją Muzykę

W Njehorń, małej lużyckiej wiosce nieda-
 leko Budziszyna, stoi zatopiony w dzikim o-
 grodzie duży stary dom. Obok niego dobudo-
 wano niedawno niewielkie atelier. Kilkanaście
 kilometrów dalej przy ruchliwej trasie F6
 przejeżdżają samochody. Tutaj czas stanął w
 miejscu. Dookoła cisza i spokój. Mało kto wie,
 że ten stary dom to przytulna samotnia zna-
 nego lużyckiego pisarza i malarza Marcina No-
 waka-Njehorńskiego. Dostojny jubilat skoń-
 czył w czerwcu 87 lat.

Skorzystałem skwapliwie z jego zaproszenia
 i wybrałem się pewnego dnia do Njehorń, by
 poznać osobiście nestora lużyckiej kultury.
 Przy herbatce i domowych ciasteczkach wspo-
 minaliśmy burzliwe życie twórcy.

— Jak to się stało, że po studiach na Aka-
 demii Sztuk Pięknych w Lipsku, Dreźnie i
 Pradze, trafił pan do Warszawy?

— To jest długa historia. Pierwszą wystawę
 zorganizowałem mając 19 lat. Otrzymała się ona
 w Zgorzelcu. Za czasów niemieckich była tam
 „Rummelschalle”. Obecnie mieści się w niej

Wszystko, co piszę i maluję biorę z życia

Rozmowa z MARCINEM NOWAKIEM-
 NJEHORŃSKIM — pisarzem i malar-
 zem z Łużyc.

Dom Kultury. Obrazy moje cieszyły się du-
 żym zainteresowaniem, a ponieważ był to jed-
 nocześnie kiermasz, więc sprzedawałem wszyst-
 ko. Stąd miałem pieniądze na naukę. W Lip-
 sku studiowałem rok i pieniądze się skończyły.
 Dawniej nie było tak łatwo jak teraz ze sty-
 pendiami. Na studia trzeba było zarobić. Wró-
 ciłem więc do domu i wziąłem się za pracę.
 Po roku kontynuowałem studia na Akademii
 Sztuk Pięknych w Dreźnie. Ponieważ malowa-
 łem tylko motywy serbołużyckie, działacze Do-
 mowiny postanowili, że powinienem studiować
 w słowiańskim kraju i wysłali mnie do Pra-
 gi. W Czechosłowacji byłem cztery lata. Pew-
 nego razu oglądałem tam ciekawą wystawę
 znanego polskiego grafika Władysława Skocz-
 yłasa. Tak się zakochałem w jego twórczości,
 że napisałem list do Warszawy, iż chciałbym
 u niego studiować. Odpowiedział mi bardzo
 serdecznie zaczynając od słów: „Szczególnie
 miło mi, że pan przyjechał do Warszawy”. Było to
 jednoznaczne zaproszenie do Polski.

Dwa owocne lata spędziłem na studiach w
 Warszawie. Po powrocie zaś na Łużycę roz-
 począłem pracę dziennikarską.

— Skąd się wziął u pana pseudonim „Bo-
 bak”?

— To z czasów faszyzmu. Byłem wtedy dwa
 razy aresztowany. Zakazano druku moich ksią-
 żek i wystawiania obrazów. Trzeba więc było
 pracować pod kryptonimem.

Bobak to taka mała baśniowa istota, czarne
 straszysko, którego ludzie się boją, zwłaszcza
 dzieci. Straszysko na przykład dziecko, że je-
 żeli nie będzie grzeczne, to przyjdzie Bobak.

— Jak pan przeżył trudne lata konspiracyj-
 nej pracy?

— Pierwszy raz aresztowano mnie zaraz po
 dojściu Hitlera do władzy. Siedziałem trzy
 miesiące w budziszynskim więzieniu. Potem
 byłem bez pracy. Pomogli mi Polacy i zosta-
 łem współpracownikiem Związku Polaków w
 Niemczech. Zaprzyjaźniłem się wtedy z Edmun-
 dem Osmańczykiem, redaktorem pisma „Młody
 Polak w Niemczech”. Pisałem dla niej wiele
 materiałów, głównie o Łużyczanach, robiłem
 oprawy graficzne pisma. Drugie aresztowanie
 nastąpiło jesienią 1939 roku. Po trzech mie-
 siącach wróciłem szczęśliwie do domu, a za
 rok wcielono mnie do niemieckiego wojska.

W czasie wojny wiele przeżywałem w Polsce.

— Spotykał się pan z Polakami?

— Tak. Pamiętam pobyt na zapleczu frontu
 w Kraśniku, gdzie miałem bardzo dobre sto-
 sunki z Polakami. Byłem też około pół roku
 w Warszawie.

— Gdzie nauczyli się pan języka polskiego?

— Sam, z książek. Uważałem, że Serbołu-
 życzanin musi znać inne języki słowiańskie.
 Zaczęłem od czeskiego, potem był polski, ser-
 bochorwacki i rosyjski.

— Przeglądałem pańskie książki. Jest ich
 wiele dotyczących narodów słowiańskich. Weź-
 my na przykład „W carstwie Dusana Syne-
 ho” — Macedonia, „Boiharskie podlego” —
 Bułgaria, „Ruskie byliny” — Związek Radziec-
 ki. Dobrze pan zna te kraje?

— Trochę znam. Byłem w Bułgarii, Jugo-
 sławii, Czechosłowacji i trzynastą raz w
 Związku Radzieckim. Znam Syberię, Karelie,
 Środknią Azję, Bajkał i Kaukaz. Książka „Pod
 Pamirom a za Kawkazom” to reporterskie
 wspomnienia z Gruzji.

— Ma pan wielu znajomych wśród Polaków.
 Przyjaźnił się pan między innymi z Marcinem
 Szancerem, a i wojenne losy rzuciły pana nie
 raz na nasze ziemie. Czy był pan w Polsce
 również po wojnie?

— Tak, kilka razy między innymi w War-
 szawie, Krakowie, Zakopanem, Gdańsku, Szczeci-
 nie i na Mazurach.

— Jak pan wspomina ostatni pobyt?

— Bardzo dobrze. To było w 1975 na Ma-
 zurach. Pojeździe pasjonowało mnie już przed
 wojną. Miałem w latach dwudziestych wysta-
 wę grafiki w Olsztynie. Poznałem wtedy Se-
 weryna Pieniężnego, znanego polskiego dźma-
 lacza narodowego na Mazurach.

— Pan był pierwszym redaktorem „Nowej
 Doby”, obecnego lużyckiego dziennika?

— Tak. W 1947 rozpocząłem pracę jako
 pierwszy redaktor naczelny „Nowej Doby”.
 Przed wojną mieliśmy „Serbskie Nowiny”, po-
 dobne pismo, w którym uczyłem się redakcyj-
 nego rzemiosła. Po trzech latach kierowania
 dziennikiem przeszedłem do „Rozhladu”, ser-
 bołużyckiego czasopisma kulturalnego.

— Też na stanowisko naczelnego?

— Tak. To długie dzieje, w sumie dwadzie-
 ścia lat trudnej dziennikarskiej pracy.

— Czy zadowolony jest pan z polskich wy-
 dań swoich utworów?

— Oczywiście. Najbardziej chyba z opowieści
 o czarowniku Krabacie. Lużycki tytuł brzmi
 „Mistr Krabat”. W 1986 roku natomiast uka-
 zał się po polsku „Gusłowski Konik” („Cza-
 rodziejski konik”), bajka dla dzieci i doro-
 słych.

— Co jest dla pana ważniejsze: malarstwo,
 czy pisanie?

— Pytano mnie o to już nie raz. Nie lubię
 tego pytania. Nie mogę powiedzieć, co jest
 ważniejsze. Po prostu, kiedy potrzebuję i chcę
 malować — maluję. Kiedy muszę pisać, sia-
 dam i piszę. Inną formą, chociaż nie raz tej
 samej treści, jest tekst, a inną obraz. Lubie
 malować, lubię też i pisać.

— Pierwsza wystawa miała miejsce w 1913
 roku. A kiedy wziął pan po raz pierwszy pęd-
 zel do ręki?

— Bardzo dawno. Jako mały chłopak rysowa-
 łem czym się dało. Potem w szkole próbo-
 wałem ołówkiem. I tak się zaczęło.

— Do szkoły uczęszczał pan tutaj w Njehorń?

— Nie, w sąsiedniej wiosce. A tutaj mie-
 szkała moja rodzina. Ten stary dom obok, to
 po ojca. Atelier dobudowałem przeszło trzy-
 dziesięć lat temu za pierwszą państwową na-
 grodę, którą otrzymałem w 1951 roku.

— Nad czym pan ostatnio pracuje?

— Rysuję dla naszego lużyckiego pisma mło-
 dzieżowego „Plomjo”. Robię właśnie taką sę-
 rię rysunków o krasnoludkach. Pracuję też
 nad trzecim tomem moich wspomnień. Wiele
 z nich dotyczy okresu studiów w Warszawie
 i nie tylko. Z przyjemnością wspominałem, jak
 w roku 1926 otrzymałem zaproszenie od Związ-
 ku Harcerstwa Polskiego. Byliśmy na obozie
 na Polesiu w dobrach Karola Radziwiłła.

Wspaniale przeżywa.

— Skąd się biorą pomysły do rysunków i
 opowiadań?

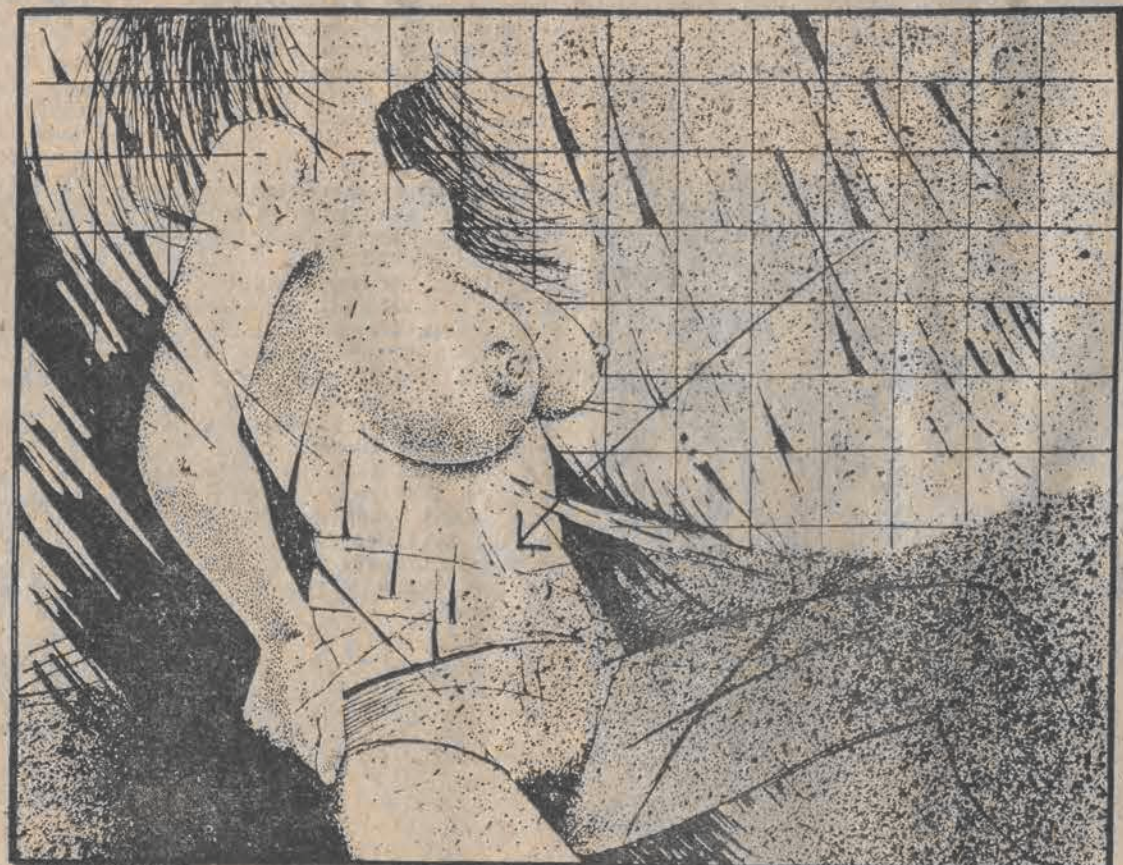
— Z życia. I z legend serbołużyckich. Wszy-
 stko, co piszę i maluję dotyczy motywów na-
 rodowych.

— Czy będziemy mogli czytać pańskie wspo-
 mnienia w Polsce?

— Tak, tłumaczenie jest już zaczęte. Roci
 to mój polski przyjaciel Stanisław Marciniak.
 Tytuł polski „Życie pisane i malowane”.

— Zycze panu długiej i owocnej pracy
 twórczej i oczywiście prawdziwych zdrowych
 stu lat. Dziękuję serdecznie za rozmowę.

Rozmawiał:
 ANDRZEJ SZNAJDER



Rys. Janusz Szymbalski-Glane

Kronika kulturalna

DUŻY sukces na międzynarodowym
 przeglądzie folklorystycznym w Kauhavia
 (Finlandia) odniósł łódzki Zespół Pieśni i
 Tańca „Anilana”.
 Łodzianie wrócili bowiem ze „Złotą Finką”
 — główną nagrodą przeglądu.
 Oprócz występów w Kauhavia, dali również
 14 koncertów w innych miastach fińskich.

8 SIERPNIA 1867 r. zmarł w Łodzi, w
 przeddzień występów w roli szekspirowskiego
 Otella, światowej sławy aktor murzyńskiego
 pochodzenia — Ira Aldrige.
 Dla upamiętnienia tego wydarzenia i
 oddania hołdu wielkiemu artyście,
 Towarzystwo Przyjaciół Łodzi i Towarzystwo
 Kultury Teatralnej zorganizowały 8 bm.
 spotkanie przy grobie artysty na
 Cmentarzu Ewangelickim. Złożono wianki
 kwiatów na jego mogile.

ANDRZEJ WAJDA zamierza przeznaczyć
 nagrodę Kyoto na urządzenie ekspozycji
 wspaniałej kolekcji sztuki japońskiej, jaką
 osiemdziesiąt lat temu przekazał Krakowowi
 Feliks Jasieński. „Otoż myślę — powiedział
 wybitny reżyser — o stworzeniu ośrodka,
 który połączyłby te zbiory w permanentną
 manifestację japońskich osiągnięć
 technicznych.”

WYDAWNICTWO „Wiedza Powszechna”
 wystąpiło z inicjatywą zorganizowania
 Krajowych Targów Książki. Mogłyby one
 wywrzeć pozytywny wpływ na intensyfikację
 sprzedaży książek — przy postępującej
 stabilizacji rynku księgarskiego.

NOWY, podwójny numer „Poezji” (4-5)
 przynosi wybór twórczości poetów
 emigracyjnych w opracowaniu Jerzego
 Niemcewskiego.

W ZBIORACH Muzeum Nauki i Techniki
 w Warszawie znajduje się egzemplarz
 „Enigmy” — niemieckiej maszyny służącej
 do szyfrowania. Maszyna ta jest nieco innym
 modelem niż odnaleziony ostatnio egzemplarz
 w Bielsku-Białej, o czym donosiła
 szczegółowo prasa. Pochodzi z końca lat
 trzydziestych i zachowała się w bardzo
 dobrym stanie technicznym.

W stoisku, w którym ekspozycyjna jest
 maszyna, podane są jej szczegóły techniczne
 oraz opis rozwikłania tajemnicy „Enigmy”
 przez trzech polskich matematyków.

BARDZO pomyślnie dla polskich filmowców
 zakończył się tegoroczny Międzynarodowy
 Festiwal Filmowy w Moskwie.
 Film Feliksa Falka „Bohater roku”, wraz
 z „Gońcem” Karena Szachnazarowa (ZSRR),
 uzyskał nagrodę specjalną jury. Przypadła
 mu również nagroda międzynarodowej krytyki
 filmowej „FIPRESCI”. Jedną z trzech nagród
 w kategorii filmów dla dzieci przyznana
 została Waldemarowi Dzikiemu za reżyserię
 „Cudownego dziecka”.

W OSTATNICH dniach zbiory muzealne
 Towarzystwa im. Fryderyka Chopina w
 Warszawie wzbogaciły się o nowe, cenne
 pamiątki.
 Uwieńczeniem trwających ponad rok starań
 jest zakupienie w Bazylei oryginału pisanego
 w Nohant listu Chopina do jego uczennicy
 Marie de Rozières.

UCZESTNICY Światowego Kongresu
 Esperanta, który obradował w Warszawie,
 wzięli udział w manifestacji pokojowej w
 Treblince. W obozie tym zginęła córka i
 inni najbliżsi członkowie rodziny twórcy
 esperanta — Ludwika Zamenhafa.
 Esperantysty z całego świata przebywali
 również w Białymstoku, miejscu urodzin
 L. Zamenhafa, gdzie odbyły się uroczystości
 wmurowania aktu erekcyjnego pod nagrodę
 powstała Światowe Centrum Esperanta.

WIDAWANY w Moskwie miesięcznik
 „Literatura radziecka” opublikował niezwykle
 cenne dla badaczy, nieznane listy i dokumenty
 z życia Brunona Schulza.
 Materiały te odnaleziono w archiwach
 lwowskich (18 listów i 30 innych
 dokumentów). Pamiątki te odnalazł po
 dwudziestu latach poszukiwań Iwan Łosiński.
 Są one związane z pracą Schulza jako
 nauczyciela rysunku w gimnazjum w
 Drohobyczu. Dotychczas przypuszczano, że
 pisarz nie miał oficjalnego prawa nauczania
 tego przedmiotu, ponieważ był samoukiem.

POLSKA studentka, Iwona Zabiełska,
 zajęła pierwsze miejsce w międzynarodowym
 konkursie ze znajomości języka hindi.
 W konkursie tym, organizowanym przez
 Central Hindi Directorate, wzięło udział 2012
 studentów z całego świata.

Jednym z najczęściej powtarzających się w ostatnim czasie w prasie radzieckiej nazwisk postaci historycznych jest (obok Władimira Wysokiego, ale to zupełnie inna historia) nazwisko Józefa Wissarionowicza Stalina. Ta niejednoznaczna i budząca niepokój postać nie została jeszcze — mimo uchwał XX Zjazdu KPZR — oceniona z punktu widzenia jej historycznej roli, wpływu na procesy budownictwa socjalistycznego w ZSRR oraz psychologicznych następstw kultu jednostki dla społeczeństwa. Samo przewyższenie następców kultu jednostki przechodziło również różne fazy i stało się odrębnym problemem. W chwili obecnej stosunek do oceny roli Józefa W. Stalina stał się w warunkach jawności życia i demokratyzacji problemem stosunku do prawdy historycznej. Istnieje więc problem oceny roli samego Stalina i problem oceny stosunku do Stalina w ciągu ostatnich 30 lat. Sprawy te bardzo głęboko nurtują społeczeństwo i dominuje pogląd, iż bez jednoznacznego powiedzenia prawdy o Stalinie i stalinizmie niemożliwe będzie nieskrepowane, nowatorskie podejście — zgodne z uchwałami XXVII Zjazdu KPZR — do dalszego budownictwa socjalistycznego we współczesnych warunkach. Nie wyjaśnione problemy przeszłości oddziałują hamująco na rozwój świadomości społecznej.

Dyskusje o Józefie Stalinie i latach trzydziestych w ZSRR odbyły się ostatnio m.in. w

de wszystkim zaś prawdę historyczną. Okłamując ludzi co do własnej historii i wychowywując ich na kłamstwie i półprawdach, znaczący nie osiągnąć nigdy niczego. Społeczeństwo wychowywane na półprawdach jest pozbawione moralności.

Anatolij Rybakow pisze kolejną powieść, która będzie się nazywać „Rok 1935 i inne lata”. Akcja „Dzieci Arbatu” toczy się w latach 1932—1934, więc nowy utwór będzie kontynuacją tej samej problematyki.

Autorem pierwszego listu do Anatolija Rybakowa jest białoruski pisarz Wasyl Bykau (Bykow). Stwierdza on:

„Napisał pan wielki utwór o latach trzydziestych, dał pan pogłębiony przekrój społeczeństwa od Komitetu Centralnego partii do najbardziej odległych zakątków, pokazał pan liczne strony życia tamtych czasów, które prawie nie znalazły odbicia w literaturze. Właśnie w tej pańskiej próbie widzę prawdziwe nowatorstwo powieści. Już to samo czyni z powieści rzecz cenną i ważną dla współczesnej literatury. Być może jednak jej największą wartością jest to, iż wszystko zostało podane z pozycji prawdy, bez utajniania, bez usprawiedliwiania, bez zamykania oczu na sprawy trudne, okropne, a nawet na przestępstwa”.

Jeden z najstarszych pisarzy radzieckich, Władimir Kawierin podkreśla, iż Rybakow

sumieć, co jest przyczyną, gdzie tkwią korzenie, a co jest jedynie dalekim następstwem. Jasne zrozumienie tego daje twój powieść. Nie, to nie jest opowiadanie historyczne, którą czyta się ze spokojną duszą. Ból i namietność książki tkwią nie tylko w dniu minionym, lecz również w dzisiejszych dniach. I właśnie ku nim zwrócona jest powieść „Dzieci Arbatu” napisana z wiarą w dojrzałość polityczną czytelnika i wiarą w to, iż tylko prawda wychowuje ludzi odważnych, oddanych i uczciwych”.

Poeta Jewgienij Jewtuszenko zwraca uwagę, iż autor postawił sobie za cel badanie „białych plam” na mapie historii.

„Plamy takie są niedopuszczalne, bowiem ich pustkę, choć nie chcąc, wypełnia się za pomocą wyobraźni albo niebezpiecznymi, pobudzającymi sztucznymi obawami, albo nie mniej niebezpieczną idealizacją”.

W dalszym ciągu Jewgienij Jewtuszenko pisze o „postawie autora:

„Jest to postawa pisarza, który nie ukrywa swoich myśli, uważając przekazanie najbardziej nawet tragicznych doświadczeń swojego pokolenia za obowiązek wobec teraźniejszości i przyszłości. Jest to postawa pisarza, który napisał swoją powieść przede wszystkim po to, by ją wydrukować we własnym kraju, po to, żeby nasze społeczeństwo mogło rozwijać się bez hamującego kompleksu „białych plam”

Walczyliśmy o oblicza moralne naszych młodych pokoleń wspominając tragiczne okoliczności historii, głównie związane z wojną, zapominając, iż czysta była znacznie rozleglejsza i bardziej wieloznaczna. Była. Nie można jej wymazać ze świadomości, bowiem żyje ona w opowiadaniach naocznych świadków, przenika nasze życie duchowe, jest nieustannie obecna w naszych rozmyślaniach o historii i losach ojczyzny, tym więc dziwniejsze jest jej zawołowanie, wstydlive, na dalekim planie istnienie w literaturze pięknej, co wywołuje nie tylko zaskoczenie, ale rodzi też różnego rodzaju fantastyczne domysły i oddala nas od siebie”.

Baszkirski poeta Mustaj Karim napisał:

„Ktoś kiedyś musiał napisać taki lub podobny utwór. Pan się odważył i napisał go. Czytając tę książkę przeżyłem niemal całą epokę, w której istniały dwie warstwy — jedna piękna, zaś druga smutna i dramatyczna”.

Dramaturg Michail Szatrow:

„Jedną z największych tragedii światowego ruchu rewolucyjnego związana jest z nazwiskiem J. W. Stalina. Dlaczego i w jaki sposób nastąpiła ta tragedia — oto główne pytania, na które „choruje” każdy człowiek, któremu nie są obojętne losy tego ruchu. Na nieszczęśliwe linijki oficjalnych dokumentów są skąpe, wewnętrznie sprzeczne, czasami płytkie i rodzą masę pytań, na które nie ma odpowiedzi. Świętym obowiązkiem literatury jest odpowiedzieć na owe przekłete „dlaczego?” i „jak?”, zwłaszcza na pytanie „dlaczego?” Powiem więcej, tylko literatura, ze względu na jej zdolność przenikania w psychikę człowieka, może dać głęboką i artystycznie przekonującą odpowiedź na pytanie, co się stało z Józefem Wissarionowiczem Stalinem, współbojownikiem Lenina i równocześnie jego pełnym przeciwieństwem, uczestnikiem ruchu rewolucyjnego w Rosji, który zrobił tyle dla klęski swego ruchu, ile nie zrobił nasi przeciwnicy klasowi razem wzięci. Pan jako pierwszy ze znanych mi pisarzy podjął poważną próbę uniknięcia w głąb tego człowieka i zjawiska, pokazując jego korzenie i genealogię tego, co tak bujnie rozkwitło po 1929 roku.

Prawda uszlachetnia, ale prawda jest również bolesna. Jeśli jednak nie tylko cytować, lecz być rzeczywiście przekonany o słuszności Lenina, to „jawność” jest nieciekawe, który sam leczy zadawane przez siebie rany” w związku z czym jestem głęboko przekonany o słuszności i niezbędności tego co pan zrobił. Jest to bohaterstwo i odwaga i człowieka. Bardzo chcę to panu powiedzieć.

Dlaczego pańska powieść, która bez wątpienia wywoła burzę społeczną, jest nam tak bardzo potrzebna obecnie, po XXVII Zjeździe partii, zwłaszcza obecnie? Dlatego, iż w skład owych „lekcji prawdy”, o których mówiło się na zjeździe, wchodzi również oczyszczenie naszej drogi z wszelkich przeszkód i w tym znaczeniu trudno przecenić rolę i możliwości literatury. Dlatego, iż przyspieszenie duchowe stanie się rzeczywiste możliwe, jeśli zrozumiemy do końca ciężki balast nawarstwień z tej epoki, którą pan tak wspaniale opisał”.

Reżyser i aktor, kierownik artystyczny MCHAT Oleg Jefriemow podkreśla, iż „jeśli powieść zostanie opublikowana, będzie to oznaczało poważny krok w naszej polityce, w obecny czasów, których błędy są odczuwalne po dziś dzień. Dano nam punkt orientacyjny, co uważać za dobre, a co za złe. To, co pan stworzył, to bohaterstwo i odwaga i człowieka, który tak wspaniale opisał”.

Gruziniński reżyser Robert Sturua uważa, iż „publikacja tej powieści wydaje się niezbędna dla naszego kraju. Żeby iść do przodu, należy bez strachu i wstydu obejrzeć się na własną przeszłość, co pomoże nam nie powtarzać fatalnych błędów. Marzę o wystawieniu pańskiej powieści na gruzińskiej scenie, bowiem jest to dla nas szczególnie ważne”.

Pisarz Lew Anninski zastanawia się w swoim liście:

„...nie wiem, czy było pańskim zamiarem rozwiązanie zagadki psychologii ówczesnego przywódcy, przewodnika i wodza, czy też najwyższy szczebel władzy miał pozostać w powieści jedynie tłem — ale obecnie, po przeczytaniu tekstu, szczebel ten wydaje mi się odkryciem artystycznym.

Chcę podkreślić, iż w tym dramacie znalazł pan wewnętrzną logikę, co ma ogromne znaczenie, co jest fundamentalnym rozwiązaniem artystycznym, etycznym i jakim pan chce. Stalin był człowiekiem, który tak wiele wchłonął w siebie ze swoich czasów, tak wiele skoncentrował w sobie i złego i dobrego z warunków, iż prawie niemożliwe jest znalezienie właściwego tonu w rozmyślaniach o nim, a pan go znalazł. Dostrzega pan granicę wewnętrznej potrzeby działania tych ludzi, jak i to, w jaki sposób, gdzie i dlaczego przekraczają oni te granice.

Wcześniej czy później tę prawdę o Stalinie trzeba będzie powiedzieć, ponieważ historia nie zostawi tego w takim stanie, wróci ona do tego, nie będzie tolerować owej luki w pamięci, gdyż jest to zbyt niebezpieczne. Kiedy więc wróci ona do tego, strach pomyśleć, ile może być napisane głupstw i spekulacji. Wole, żeby o Stalinie została powiedziana taka prawda, jaką mówi pan. Nie waham się powiedzieć, iż jest to prawda szekspirowska i proszę los tylko o jedno, żeby nam obecnie starczyło sił na wysłuchanie tej prawdy”.

Opracował:
JÓZEF RZESZUT (PAP)

Listy radzieckich pisarzy i artystów o „Dzieciach Arbatu” Anatolija Rybakowa.

Oby starczyło sił na wysłuchanie tej prawdy

związku z publikacją powieści Aleksandra Beka „Nowa nominacja” i Anatolija Rybakowa „Dzieci Arbatu”. Jednym z bohaterów tej drugiej powieści jest sam Stalin. Jego monologi wewnętrzne stanowią ważną część utworu. Druga część pokazuje tworzenie przez niego systemu represji na początku lat trzydziestych oraz rozterki ludzi, którzy ślepo wierzą Stalinowi, a równocześnie widzą coraz większe wypaczenie idei socjalistycznych w praktyce.

Powieść Aleksandra Beka powstała 20 lat temu, zaś Anatolija Rybakowa jeszcze wcześniej. Pierwszą udało się opublikować pod koniec 1986 roku w miesięczniku „ZNAMIA” a drugą na początku 1987 roku na łamach miesięcznika „DRUŻBA NARODOW”. O obu powieściach mówi się dużo „na mieście”, natomiast nie pisze się o nich. Nie pojawiły się jeszcze żadne recenzje. Jest to zrozumiałe — każdy, kto będzie chciał o nich pisać, będzie musiał ustosunkować się do jednego z kluczowych (po Rewolucji Październikowej) i leninowskich koncepcjach budownictwa socjalistycznego) problemów historii Związku Radzieckiego. Świadomość tego nie skłania do pochopnego chwytania za pióro.

Tygodnik „OGONIOK” (nr 27/87) opublikował bardzo obszerny wybór listów nadesłanych do Anatolija Rybakowa na temat powieści „Dzieci Arbatu”. Ich autorami są pisarze, aktorzy, reżyserzy — jednym słowem znane postaci radzieckiego życia kulturalnego. Większość listów została napisana po przeczytaniu utworu w maszynopisie, przed opublikowaniem w prasie literackiej.

We wstępie redakcyjnym zapowiada się, iż pod koniec 1987 roku powieść „Dzieci Arbatu” ukaże się w wydawnictwie „Sowietiskij Pisatel”. Chęć jej opublikowania wyraził dziesiątki wydawnictw zagranicznych. Anatolij Rybakow w krótkiej wypowiedzi dla redakcji stwierdza:

„Nad „Dziećmi Arbatu” zacząłem pracować pod sam koniec lat pięćdziesiątych i ich publikacja została po raz pierwszy zapowiedziana w miesięczniku „NOWYJ MIR” w 1966 roku. A. Twardowski (ówczesny naczelny redaktor miesięcznika — J. R.) bardzo chciał ją wydrukować. Usłyszałem od niego wiele ciepłych słów, jednakże nie udało się tego zrobić. Po raz drugi druk „Dzieci Arbatu” został zapowiedziany przez miesięcznik „OKTIABR”, zbliżał się już 1978 rok, ale to również zakończyło się fiaskiem. Tymczasem praca nad powieścią trwała. A. Twardowski miał w rękach tylko pierwszą część utworu, zaś później, kiedy stało się jasne, iż „Dzieci Arbatu” nie uda się opublikować, zacząłem pracować nad drugą jej częścią. Gdy natomiast powieść „została zakazana” powtórnie, napisałem trzecią. Nikt już nie wierzył, że „Dzieci Arbatu” zostaną kiedykolwiek wydrukowane, nawet mój największy przyjaciel — żona. Ja zaś nie ustawałem na pracy, bowiem wszystko należy doprowadzić do końca. Ostatecznie powieść została ukończona w 1983 roku. Gdyby nie było marca 1985 czytelnicy nie dostaliby do rąk tej powieści.

Jesteśmy wielkim mocarstwem i wielkim narodem. I takimi powinniśmy zostać. W latach trzydziestych gospodarka rozwijała się przede wszystkim w trybie administracyjnym, przy zastosowaniu siły. Ludzie zaczęli się wszystkiemu bać. Starali się nie podejmować samodzielnych decyzji i czekać jedynie, co powie „góra”. To, co wyklikiwało wówczas, zachowało się w dużej mierze po dziś dzień. Obawa „żeby tylko czego z tego nie było” istnieje do dzisiaj. A dziś przeszkadza nam to bardziej niż kiedykolwiek. Obecnie wszystkie wysiłki partii zmierzają przede wszystkim do stworzenia nowego klimatu psychologicznego w kraju. Jedyną drogą do tego jest jawność. A jeśli jawność, to znaczy, że należy mówić całą prawdę. Prze-

maluje portret okresu 1932—1934, a równocześnie nie występuje w roli sędziego.

„...nie usprawiedliwia i nie oskarża, a dotyczy to każdej stronicy powieści. Jego jedynym celem jest powiedzenie prawdy. Ale trzeba ją powiedzieć tak, by w nią uwierzone i tu na plan pierwszy wychodzi sztuka... Powieść wywrze niewątpliwie pozytywny wpływ na naszą literaturę. Powieść jest postępową. Bez znajomości i rozumienia przeszłości nie można iść do przodu”.

Leningradzki pisarz Daniil Granin informuje Anatolija Rybakowa, iż o istnieniu powieści wiedział już przed przeczytaniem.

„Wiedziałem od ludzi, którzy ją czytali, wiedziałem z fany literackiej, która od kilku lat głosi o pańskim utworze. Problem publikacji powieści to przede wszystkim problem stosunku do XX Zjazdu partii i jego uchwał. Jeśli uznajemy historyczną konieczność problemów podniesionych przez XX Zjazd partii, ze wszystkimi następstwami zdemaskowania kultu jednostki Stalina oraz z ciężkimi przestępstwami związanymi z tym kultem, to bez wątpienia powieść „Dzieci Arbatu” jest usprawiedliwiona i potrzebna. Nie ma w niej żadnych przepieć i nadmiaru złości. Jest ona uczciwa historycznie, ścisła ideowo, opowiada się za prawdą oraz za tymi wielkimi ideami ustroju radzieckiego, które były i pozostały dla głównego bohatera nienaruszalne. Jest ona wymierzona przeciwko wszelkim wypaczeniom i niepodziwostkom ludzi szermujących pięknymi pojęciami w imię swoich własnych interesów i wykrzykiwających w ten sposób idee leninowskie.

Oczywiście, jeśli wna się XX Zjazd partii i podniesione na nim problemy za błędny kurs, jeśli zdystansuje się od niego oraz od nadziei i pragnień, które on zrodził, a które po dziś dzień żyją w nas, wówczas można w dalszym ciągu ukrywać takie powieści przed szerokim czytelnikiem.

Co by nie powiedzieć, życie tej powieści zaczęło się, trwa i stało się powszechnie znane. Popelniliśmy wiele błędów, kiedy usiłowaliśmy zakazywać takie czy inne wielkie utwory naszej literatury. W stosunku do powieści „Dzieci Arbatu” byłoby to wielce zasmucające, bowiem mamy przed sobą rzecz, która już od dawna może oddziaływać, oczyszczając i napędzając duszę ludzką swoją wiarą i odważną prawdą. Fakt istnienia tej powieści powinien, wydaje mi się, zostać uznany i przejść z półlegalnego statusu do legalnego i pożądanego”.

Grigorij Baklanow, redaktor naczelny miesięcznika „ZNAMIA” pisał do Rybakowa:

„Ze wzruszeniem i radością czytałem twoją powieść „Dzieci Arbatu”. Zbyt wiele znaczyła ta epoka w historii naszego narodu, każdego z nas, więc jakieś ma nie wzruszać surowa i uczciwa opowieść o nich. Radość zaś z tego powodu, że jest to dzieło sztuki, że starczyło ci odwagi myśli i odwagi ducha, by z taką siłą i przenikliwością opowiedzieć o czymś, czego prawie wcale, bądź bardzo nieśmiało, dotykała nasza literatura.

Stworzyłeś piękne postacie czystych, uczciwych ludzi, oddanych rewolucji. Mimo wszystko jednak najświeższym obrazem powieści są czasy i Stalin je uosabiający, wszystko to, co później, po dwóch dziesiątkach lat, zostanie nazwane „kultem jednostki”...

Wcześniej czy później wszelkie wydarzenia znajdują swojego badacza. Jednakże ta powieść potrzebna jest dziś, na obecnym etapie, kiedy kraj zaczyna rewolucyjne przeobrażenia. Nie można ich dokonać kurczowo trzymając się doświadczeń. Młodzi ludzie, którzy nie przeżyli całej tragedii przeszłości, powinni wiedzieć i ro-

zechodzić w plamy na sumieniu, jeśli ich odrzuć, nie unikną się ich badania. Nigdy nie będziemy w stanie rozwiązać problemów ekonomicznych stojących przed naszym narodem, jeśli nie rozwiążemy problemu pamięci moralnej, której nieodłączną częścią jest odważna analiza popełnionych błędów, przechodzących niekiedy w tragedię. Dla silnego człowieka, podobnie jak i dla silnego społeczeństwa, kwestia, co powie księżna Maria Aleksiejewna, radzima czy zagraniczna, jeśli będzie otwarcie mówił o swoich błędach, nie ma znaczenia. Otwartość jest oznaką siły.

Pańska powieść może i powinna być drukowana, ponieważ dodaje ona siły naszemu społeczeństwu, podnosi jego prestiż, bowiem nie boi się mówić uprzedmiot. Pozytywna decyzja w sprawie druku powieści jest wielkim patriotycznym czynem, bowiem przemilczanie tragedii lat trzydziestych prowadzi do tego, iż nasze młode pokolenie powoli zaczyna idealizować tamte lata ze szkodą dla teraźniejszości. Jeśli natomiast młode pokolenie pozna gorzką prawdę, to dopiero wówczas będzie w stanie ocenić dokonane zmiany”.

Znany aktor Michail Uljanow stwierdza:

„Pańska „Dzieci Arbatu” to gorzka i potężna książka. Gorzka poprzez opisane napięte atmosfery życia lat trzydziestych, stworzonej poprzez kult Stalina, a potężna postaciami Kiriowa, Dudagina, Saszy, Warii i innych bohaterów powieści, którym się wierzy, z którymi się wierzy nadzieje i którzy ostatecznie zwyciężyli. Gorzka nauka kultu Stalina jest zbyt okrutna, by można ją puścić w niepamięć, a to że pan podnosi w swojej powieści właśnie te trudne problemy naszej historii, świadczą o pańskiej, a razem z tym i naszej czytelnicej, wierze w prawdę”.

Pisarz Władisław Kondratjew stwierdzał w swoim liście:

„Czytałem pańską powieść z uczuciem ogromnej radości, że wreszcie znalazł się wśród nas człowiek, który odważył się powiedzieć autentyczną prawdę o tamtych czasach i w ten sposób wypełnił główne zadanie moralne pisarza, stojące przed nami wszystkimi, ale realizowane przez nas słabo, nieszczerze i — powiedzielibyśmy — małodusznie...”

Dziękuję Rybakowowi za stworzenie obrazu Stalina:

„Pan zrobił to pierwszy. Bardzo dobrze, iż dotknął pan dziecinistwa, źródła kompleksów „niebezpiecznego dziecka”, samotnego, bez przyjaciół i towarzyszy. Wszystkie monologi wewnętrzne Stalina są tak wiarygodne, iż wywołują dziwne uczucie współuczucia autora, zupełnie jakby podsłuchiwał je w jakiejś tajemny sposób...”

Inny pisarz, Wiktor Koniecki wyraził opinie, iż „jeśli nie nauczymy się myśleć, mówić i pisać prawdy, tej prawdy, którą nosiliśmy w sobie i wycierpieliśmy, to zagłada idei socjalizmu, Rosji, ZSRR, a tym samym i planety Ziemi będzie nieunikniona. Ocalenie zależy tylko od naszej odwagi. Jest to optymistyczna książka. I powinna być wydrukowana w ZSRR”.

Leningradzki reżyser teatralny Georgij Tostonogow uważa, iż „pojawienie się tej książki stanie się wielkim wydarzeniem w naszym życiu. Daj Bóg, żeby to się stało”.

Bulat Okudźawa napisał:

„Wśród licznych drobnych rzeczy, fałszerstw i pozorów obiektywnych „prawd”, które jedynie wypaczają naszą historię, rodzą cynizm i obojętność, ten utwór — wyróżniający się talentem — jest ścisłą, bezstronną, pozbawioną żółci, sprawiedliwą i humanitarną kroniką.

Zgodnie z życzeniem Stalina czwarty piec uruchomili przed terminem, 30 listopada, o siódmej wieczorem, przy trzydziestopięciostopniowym mrozie. Mark Aleksandrowicz mógł wyjechać dopiero po upewnieniu się, że rozruch czwórki nie skończy się katastrofą, tak jak to miało miejsce przy pierwszym piecu, też uruchamianym podczas mrozu. Z tego właśnie względu Mark Aleksandrowicz nie zabierał się z delegacją obwodową i wyruszył do Moskwy później, dwudziestego stycznia.

Wagon służbowy miał już parowóz, plug śnieżny pojechał przodem. Wicher wyl, nawiewał zasy, rozhuśtywał nieliczne mętnie latarnie — stacja i miasto miały ograniczony dopływ energii, prąd potrzebny był w hucie, tam, gdzie wytapiano metal.

W małym budynku stacji, przy holenderskim piecu zebrał się podwładni Marka Aleksandrowicza ze sprawami, których załatwianie zaczyna się na długo przed wyjazdem dyrektora do Moskwy, a kończy w ostatniej chwili. Weszli do salonki za Markiem Aleksandrowiczem — w mokrych walcach, w kaloszach, czapki i kołnierze całe w śniegu, ku wielkiemu niezadowoleniu kierownika wagonu, strząsają się, zdeptyują podłogę, palą, a on wysprzątał tu, do polysku, jak zawsze, gdy jechał sam, napisał jak należy.

Mark Aleksandrowicz zdjął szubę, czapkę, mimo to było gorąco, szczególnie nogom w filcowych walcach. Lampy świeciły nierówno, ale jasno. Szybko przeglądał papiery, sprawdzając czy jest w nich wszystko, czego będzie potrzebował w Moskwie. Tezy KC po raz pierwszy wymieniały termin zakończenia budowy huty — 1937 rok. Plan produkcji żelaza w kraju na ostatnie lata pięcioletki obniżono z 22 milionów ton do 18 — zwyciężył realizm. To znak, że nadeszła pora, by pełnym głosem zażądać tego o czym jeszcze wczoraj mówiono się szeptem — mieszkani, mechanizacji, zaplecza socjalno-bytowego.

— Odprawiam pociąg — zameldował zawiadowca stacji. Kierownik wagonu w czarnym kolejarzkim płaszczu i czarnej uszance z latarnią w ręku przeszedł między ludźmi, mrużąc:

— Odjeżdżamy, obywateli, odjeżdżamy! Interesanci zaczęli wychodzić. Do wagonu wtargnął strumień zimna. Kierownik wagonu strząsnął nogą śnieg z progu i zamknął drzwi. Rozległ się gwizdek, zawtórował mu gwizd parowozu, wagon drgnął i kołując się załomotał po stykach szyn.

Mark Aleksandrowicz zdjął walciki, wyciągnął z walizki domowe pantofle, i z zadowoleniem przepacerował się w nich po wagonie, by rozprostować nogi. Następnie podszedł do okna i odsunął zasłonkę.

Małeńki pociąg jechał przez zaśnieżony step, omijając lukiem górę, na której leżało oświetlone odbłaskiem martenów miasto. Cztery lata temu przysłał tutaj na zupełnie pustkowiu, a teraz — dwieście tysięcy mieszkańców, huta światowej klasy, gigant, już teraz dający rocznie krajowi milion ton żelaza, setki tysięcy ton stali, trzy miliony ton rudy. Mark Aleksandrowicz nie oddawał się wspomnieniom, nie miał na to czasu, myślał tylko o tym, o czym należało myśleć w danej chwili. Zbliża się Zjazd i myśli Marka Aleksandrowicza skoncentrowały się na Lominadze, który wyjechał już do Moskwy z delegacją obwodową.

Za błędy teoretyczne Lominadze, członek KC, został zdjęty ze wszystkich wysokich stanowisk i skierowany do nich jako sekretarz komitetu miejskiego, praktycznie jako sekretarz ich komitetu partii, miasto — to huta, komitet miejski — to komitet partyjny huty. Również Marka Aleksandrowicza, choć o nieco większym stażu partyjnym. Rieszanow od dziewiętnastego roku — Lominadze od siedemnastego, uważany był za wybitnego polityka, rozsądnego, dobrego taktika, posiadającego rozmach i siłę woli. Jeżeli jednak na Zjeździe uderzą w byłą opozycję, uderzą i w Lominadze, a więc mogą też uderzyć w hutę. Stał się ważna, ale polityka ważniejsza.

Oceniając sytuację Mark Aleksandrowicz przewidywał jednak że Zjazd będzie miał raczej spokojny przebieg, świadczyło o tym już jego hasło — Zjazd zwycięzców. Trzy poprzednie zjazdy upłynęły pod znakiem walki, teraz nadeszła pora, by zademonstrować jedność i skupienie się Partii wokół nowego kierownictwa. Mimo to trzeba być jednak przygotowanym na wszelkiego rodzaju niespodzianki.

W dawnych czasach, gdy jeszcze nie poddawano mu służbowej salonki, i jeździł do Moskwy w ciepłych butach, na stopniach i dachach wagonów, w szyneli i z węzłem na plecach, nie przychodziło mu nawet do głowy, by czegoś się w ogóle obawiać. Teraz decyduje o losach setek tysięcy ludzi, dysponuje pełnią władzy, twardo wierzy w słuszność linii partii, nie ma i nie miał nic wspólnego z żadnymi opozycjami, lubi go Sergo, ceni Stalin — a jednak właśnie teraz musi wszystko wyważać, bać się, że jego sprawy mogą ulec komplikacjom tylko dlatego, że rok temu sekretarzem komitetu miejskiego został Lominadze, z którym ani Mark Aleksandrowicz, ani kierowany przez niego kolektyw nie mają nic wspólnego.

I jeszcze to nieoczekiwane i niezrozumiałe aresztowanie Saszy... Kiedy dostał list od siostry, owładnięto nim męczące uczucie przynębnienia i beznadziejności. Nie zna jednak okoliczności sprawy. Incydent z wykładawcą ekonomiki — to żaden powód, zwłaszcza że Sola oczyścił Saszę z wszelkich zarzutów. Przyczyna tkwi raczej w tym, co Sasza mówił mu tamtej nocy: arogancja Stalina, list Lenina... Sasza czytał list Lenina? Gdzie, kiedy, u kogo? Arogancja Stalina... Czy Sasza mówił o tym tylko jemu? Komu jeszcze? Wypowiadał swoje własne myśli, czy podsunięte? Przez kogo? Ma prawo wiedzieć, rzecz dotyczy przecież jego krewnego, ma prawo liczyć na szczegółowe i obiektywne wyjaśnienie sprawy.

W Swierdłowskiu Marka Aleksandrowicza spotkał Kirzak, przedstawiciel huty przy obwodowym Komitecie Wykonawczym. Pociąg kurierski Władywostok — Moskwa, na który miał się przesiąść Mark Aleksandrowicz, był opóźniony i naczelnik stacji wprost z peronu, omijając budynek dworca, zaprowadził Marka do pokoju dla członków rządu i innych osobistości.

Bufetowa przyniosła herbatę i kanapki. Kirzak — mały, nerwowy, ruchliwy, złożył sprawozdanie z sytuacji: niesłowni kooperanci, brak transportu, nierealne fundusze, księgowość robi

trudności, organizacje na szczepu obwodu nie okazują pomocy. Mark Aleksandrowicz przywykł już do tego obrażonego tonu, którym Kirzak, dobry zaopatrzeniowiec, nadbrał brak siły przebicia. Skończywszy z Kirzakiem, Mark Aleksandrowicz poszedł do budynku dworca. Przejścia zawalone były tobołami, workami, tłumokami. Na podłodze, na ławkach siedzieli i leżeli ludzie, tłoczyli się w kolejkach u kas, przy zbiornikach z gorącą wodą, zwłaszcza dużo było kobiet i dzieci. Wszystko to kożuchowe, łapciaste, nie przywykłe do wędrowek — wieś z całym jej zagubieniem, załosiwa nędza i zacofaniem, chłopiska Rosja, przeorana poruszona z miejsca.

Dla Marka Aleksandrowicza nie było to żadną nowością, podobne wędrowki odbywały się teraz w całym kraju. Masy ludzi, z tobołkami i węzłkami, z żonami i dziećmi przybyszący i do niego do huty. Baraki wokół niej też przesycone są tym samym ostrym, kwaśnym zapachem potu, cebuli, owczej wełny. Takie są bezlitosne prawa historii, takie jest prawo industrializacji. To koniec dawnej wsi — dzikiej, ciemnej, ślepej, obdarłej i zacofanej, koniec pierwiastka własności prywatnej. Tworzy się nowa historia. Wszystko co stare ginie — nie bez bólu i ofiar.

Wagon międzynarodowy, w którym jechał Mark Aleksandrowicz był niemal pusty: w przedziale Mark zasiadł do pracy, i dopiero gdy zaczęło się ściemniać, około trzeciej, wyszedł na korytarz.

Chodnik na podłodze tłumil rytmiczne stukot kół. Drzwi przedziałów były zamknięte z wyjątkiem jednego, z głębi którego dobiegały

Międzynarodówki. Miesiąc temu czytał w prasie, że Belg przez ZSRR i Chiny udaje się z cyklem wykładów do Japonii. Jeszcze wtedy Mark Aleksandrowicz pomyślał, że taka informacja w prasie świadczy o nowych kontaktach, naturalnych, i zrozumiałych w obecnej sytuacji międzynarodowej.

Szybko wdali się w rozmowę, jak to zwykle bywa między podróżnymi, skazanymi na długą wspólną drogę. Angielski Mark Aleksandrowicz znał dobrze, a francuski wystarczająco, by się porozumieć. Na korytarz wyszła też żona Belga w szarej, wełnianej spódnicy i swetrze, uwydatniającą jej kształtne piersi. Znowu się uśmiechnęła, tym razem uśmiech ten wyrażał przyjemne zdziwienie, że współtowarzysz podróży mówi po francusku.

Rozmawiali o rosyjskiej zimie, o ogromnych rosyjskich odległościach, o wynikających stąd trudnościach w łączności i komunikacji. W Tokio i Osace jest ciepło, w Nagasaki upalnie, a tu zimno. Mroź prawdopodobnie pobudza energię Rosjan. Belg żałował, że przejeżdżając przez Syberię i Ural nie zobaczył słynnego Kuzbasu, słynnego Magnitostroju. Z okien wagonu widać tylko słynny rosyjski śnieg. A chciałoby się spojrzeć na rosyjski eksperyment, dodał z uśmiechem przepaszając za banalność wyrażenia.

Przyniósł z przedziału numer „Prawdy” z mapą największych budów drugiej pięcioletki, zamieszczoną z okazji Zjazdu. Budowy zaznaczone były rysunkami pieców hutniczych, samochodów, traktorów, kombajnów, parowozów, wagonów, opon, elektrowni... Mark Aleksandrowicz wyjaśnił: bele tkanin — to kombinaty włókiennicze, głowy cukru — nowe cukrownie, te kół-

ANATOLIJ RYBAKOW

(9)

Dzieci Arbatu

głosy mężczyzny i kobiety, rozmawiających po francusku.

Po chwili kobieta wyszła na korytarz, i zobaczywszy Marka Aleksandrowicza uśmiechnęła się ze zmieszaniem. Zmieszana się, pomyślał Mark, gdyż nie spodziewała się spotkać kogośkolwiek w pustym korytarzu. Wysłała w szlafroku, w domowych pantoflach, nie uczesana idzie do toalety, i nagle patrzy na nią nieznaną Rosjanin, którego przedtem nie widziała: Mark Aleksandrowicz wszedł, gdy tamci spali. Kobieta wyglądała na jakieś trzydzieści pięć lat, była wysoka, nosiła duże rogowe okulary. Wracając z toalety uśmiechnęła się znowu, i wchodząc do przedziału zamknęła za sobą drzwi.

Gdy drzwi otworzyły się ponownie, na korytarz wyszedł mężczyzna, również rosy, dorodny, podobny do Lunaczarskiego. Mark Aleksandrowicz od razu rozpoznał w nim belgijskiego socjaldemokratę, jednego z przywódców II

ka to łożyska. Belg śmiał się z uznaniem, zauważył jednak, że realizacja tego wspaniałego programu musi odbyć się kosztem innych gałęzi gospodarki, przede wszystkim rolnictwa. Mark Aleksandrowicz znalazł te mienszewicze argumenty w Rosji odbywa się druga rewolucja, i ten elegancki szacowny pan, ten wymuskany parlamentarny polityk nie rozumie jej tak samo, jak nie rozumiał pierwszej rewolucji.

Mark Aleksandrowicz pominął uwagę Belga milczeniem — dyskusji politycznej nie będzie. Wiele razy bywał za granicą, przyzwyczaił się do obcowania z cudzoziemcami, ale rozmów na tematy polityczne uniknął: nikt nikogo w niczym nie przekona. Również i teraz powstrzymał się od niepotrzebnej polemiki ze znakomitym politykiem. Nie chciał jednak, by jego rozmówca pomyślał, że boi się dyskusji. W takich kwestiach Mark Aleksandrowicz był czło-

wiekiem próżnym i nie lubił schodzić z areny jako pokonany. Dlatego też dzieląc się swoimi wrażeniami z USA, gdzie przez dwa lata pracował w stalowni, opowiadał o zabawnej scenie, zaobserwowanej w Nowym Jorku.

Z kościoła wyszła niedołężna staruszka w staromodnej czarnej sukni do ziemi i w czarnym kapeluszu, ozdobionym czynną w rodzaju ptasiego gniazda, podtrzymywała staruszką dziewczyna, zapewne wnuczka lub nawet prawnuczka. Ostrożnie wprowadziła babulenkę ze schodów do zaparkowanego przed kościołem „Packarda”, troskliwie umieściła w środku, czule pocałowała i zatrzasnęła drzwi czarnego wozu. A z trudem powłóczęką nogami starowinka, znalazłszy się za kierownicą auta uruchomiła silnik: „Packard” zerwał się z miejsca i pomknął przed siebie.

Sceny tej Mark Aleksandrowicz nie skomentował, opowiedział ją po prostu, dobrodusznie pykając taką; zrobił to jednak w takim momencie rozmowy, że inteligentny partner nie mógł nie zrozumieć alegorii — Ameryka to przestarzały system społeczny, wyposażony w najnowocześniejszą technikę. Belg docenił subtelność Marka Aleksandrowicza, tak dyplomatycznie wskazującego poziom, na którym przywykł rozmawiać. Mark Aleksandrowicz lubił błysnąć przed cudzoziemcami erudycją, fołnością umysłu, szerokością horyzontów, uważał, że tak powinien zachowywać się człowiek, posiadający w swoim kraju siłę i władzę.

Żona Belga nie zrozumiała alegorii. Scenka opowiedziana przez Marka Aleksandrowicza wydała się jej komiczna, toteż długo się z niej śmiała.

Z dworca Mark Aleksandrowicz pojechał na Sadowokaretna, do Trzeciego Domu Rad, Sala, gdzie mieściła się komisja organizacyjna, była pusta, wszyscy delegaci już przybyli, ale dyżurni nadal tkwili na swoich miejscach. Mark Aleksandrowicz zarejestrował się, otrzymał mandat, skierowanie do hotelu, bony stołowe, notatnik „Delegat 17 Zjazdu WKP(b)”. Wchodził w znajomą atmosferę zjazdu partyjnego z jego ścisłym porządkiem, harmonogramem, dyscypliną — z tym wszystkim, czemu tak przyjemnie jest się podporządkować, przedstawiając się na coś ważniejszego i bardziej uroczystego niż sprawy, którymi żył jeszcze wczoraj na coś, co każe zrzucić z siebie brzemień codziennych trosk — uczucie podobne do tego, jakiego doznaje stary żołnierz ponownie wezwany do szeregów.

W hotelu umieszczono go w pokoju trzyosobowym, łóżko, szafka, niczego więcej nie potrzebował. Mark Aleksandrowicz wiedział, że wśród delegatów zobaczy wielu dawnych towarzyszy, kilku spotkał już w hallu. Stał radośnie, ożywił, i patrząc na nich Mark Aleksandrowicz jeszcze bardziej umocnił się w przekonaniu o trwałości, słuszności tego, co się dzieje. Jest partia, są kadry partyjne, dojrzałe, sprawdzone, zahartowane, wiedzące jak i dokąd zmierzać. To, że kadry te popierają Stalina, świadczy tylko o ich sile. Ci ludzie — uczciwi, odpowiedzialni, sprawiedliwi — nigdy nie dopuszczą do bezprawia. Aresztowanie Saszy to nieporozumienie. Ostatni list od Soni przyszedł dziesięć dni temu. Może Sasza już wypuścili.

Zadzwonił do siostry Już po jej głosie zorientował się, że sytuacja nie uległa zmianie.

— Przyjedziesz? — spytała Zofia Aleksandrowna.

Nie chciało mu się jechać teraz na Arbat. Późno, nie ma samochodu, w sąsiednim pokoju czekają przyjaciele. Jeśli jednak nie pojeździ teraz, to nie wiadomo, kiedy zdoła się wyrwać po rozpoczęciu Zjazdu.

— Jeśli nie położysz się spać, to za godzinę — półtorej będę u ciebie.

— Czyż ja teraz w ogóle mogę spać?

Odwiedziły u siostry zepsuty nastrój Markowi Aleksandrowiczowi. Rozmawiała z nim bojaźliwie, wyciągała jakieś papiery, wyglądała na drżących palcami, patrzyła na brata z nadzieją i lękiem. W tej chwili nie był dla niej bratem, lecz jednym z wielkich tego świata: może pomóc jej synowi, a może i nie pomóc, może uratować, może i nie uratować. Cierpienie wystrzyli jej spostrzegawczość: wyczuła, że sprawa jest dla Marka nieprzyjemna. Mark chce uwzględnić wszystkie okoliczności, podczas gdy dla niej żadne okoliczności nie istnieją, ważne jest tylko jedno — Sasza w więzieniu.

Gluche, przyniatające uczucie beznadziejności znowu ogarnęło Marka Aleksandrowicza, poczuł ból w tyle głowy. Kocha Sonię, kocha Saszę. Nie może jednak obliczać na próżno. Jest człowiekiem doświadczonym. Jest komunistą.

— Jutro się tym zajmę. Jeśli Sasza jest niewinny, wypuszczą go.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem i strachem.

— Sasza winny? Możesz tak myśleć?

To, co powiedział, było okrutne. Powinno jednak być przygotowana na wszystko. W przeciwnym razie ciós będzie potem jeszcze straszliwszy.

— O coś go oskarżają... Nie wyjadę z Moskwy, dopóki nie wyjaśnię, o co konkretnie.

Mark Aleksandrowicz wstąpił do Budisgina. Przez niego Budigin znalazł się w dwuznacznej sytuacji interweniował w sprawie człowieka, który został aresztowany.

Budigin był ponury, ani razu nie wspominał o Zjeździe, sprawy załatwiał zwyczajnie, jak zawsze. Może ma żal, że nie wybrano go na Zjazd? Jest jednak przecież delegatem z głosem doradczym, tak jak wielu innych członków KC i CKKP, nie ma w tym niczego krzywdzącego, taki jest ustalony tryb. A może dla Budigina Zjazd to nie święto, a jeszcze cięższa i bardziej kłopotliwa praca? A jednak... Mark Aleksandrowicz wyczuwał w nim dzisiaj jakiś szczególny chłód, powściągliwość, brak życzliwości.

— Słyszeliście o moim krewnym? — spytał.

— Słyszałem.

— Zwracając się wtedy do was nie przewidywałem takiego obrotu spraw.

C.D.N.

Tłum.: MICHAŁ B. JAGIEŁŁO



Polemiki • Listy • Opinie

JESZCZE O FIDORZE RASKOLNIKOWIE

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem oba odcinki artykułu przypominającego postać Fiodora Raskolnikowa, wybitnego radzieckiego rewolucjonisty i działacza państwowego.

Jeśli pozwalam sobie dodać kilka słów do tego, co napisano o tej tragicznej postaci (opierając się na niedawnej publikacji w prasie radzieckiej), to w tym celu, żeby kilkoma faktami uzupełnić zawarte w artykule informacje. Co prawda, opieram się na książce Lwa Trockiego „Historia rewolucji rosyjskiej” wydanej w 1932 r. poza Związkiem Radzieckim i już w następnym roku tłumaczonej na polski (nakładem spółki wydawniczej „Biblion”), ale wydaje mi się, iż przynajmniej w odniesieniu do tych osób, z którymi Trockiego nie dzieliła wrogość, książkę jego cechuje znaczna skrupulatność w korzystaniu ze źródeł.

Otóż postać Raskolnikowa (w dostępnej mi i znanej części I tej książki) wymieniana jest przez Trockiego wiele razy, niemal równie często jak osób ze ścisłego kierownictwa partii bolszewików, do którego zresztą on nie należał, choć pozostawał z nim w bezpośrednim stałym kontakcie, zwłaszcza w krytycznych dla okresu Kierieńskiego dniach lipcowych 1917 r.

Z publikacji w „Odgłosach” można by odnieść wrażenie, że Raskolnikow rozpoczął karierę polityczną jako działacz robotniczy, a dopiero po przewrocie bolszewickim odkomenderowany został do floty bałtyckiej. Tymczasem już w lipcu 1917 r., kiedy wspomina się o nim w książce po raz pierwszy, jest on określony wyraźnie jako „młody oficer marynarki” i wszystko wskazuje na to, że był nim już w czasach carskich (podobnie Antonow-Owsienko był oficerem carskiej marynarki wojennej). W dniach lipcowych utrzymywał Raskolnikow stałą łączność między garnizonem twierdzy w Kronsztadzie a kierownictwem partii bolszewickiej, głównie z Zinowiewem i Trockim. Dalej określa się też Raskolnikowa jako „przywódcę kronsztaďowców”, dowiadujemy się również, że był on powołany przez Organizację Wojskową na komendanta willi Krzesińskiej, będącej główną kwatery partii bolszewickiej.

A więc zapomnienie, na jakie został dwukrotnie skazany Fiodor Raskolnikow było wobec jego zasług dla rewolucji szczególnie krzywdzące.

JERZY KWIECIŃSKI

NIE MA „ODGOSÓW” W ZAKOPANEM

W smutku pogrążony informuję, że brakuje mi, jak zawsze zresztą na wakacjach, mojego ulubionego tygodnika, niczym czystego powietrza w Łodzi.

Myszę, że czas najwyższy, aby podjąć w tej sprawie zdecydowane kroki. Tyle się miało w wakacyjnym rozkładniku tygodników do miejscowości wczasowych zmienić na lepsze (akcja „Veto”), a tymczasem na Ziemi Sąddeckiej, a ściślej w Nowym Sączu i w Zakopanem, gdzie niewątpliwie są duże skupiska wypoczywających mieszkańców Łodzi i woj. łódzkiego, „Odgłosów” nie uświadczą się.

STANISŁAW S.
(nazwisko i adres znane redakcji)

Od przyjaciół wracających z wczasów na wybrzeżu dowiedziałem się, że i tam również „Odgłosów” nie można kupić. Przykro nam.

REDAKTOR DZIURNY

„TRZECIE OGNIWO JEDNEGO ŁAŃCUCHA”

W Waszym artykule pt. „Trzecie ogniwo jednego łańcucha” z dnia 11.VIII.87 r. odnośnie sprzedaży gazet i zamkniętych kiosków, jest wiele słusznych spostrzeżeń, ale chciałbym jeszcze kilka przytoczyć, jako że pracowałem na 1/2 etatu w roli sprzedawcy w rejonie Łódź-Południe. Moim zdaniem głównymi przyczynami zamkniętych kiosków są małe zarobki (z wyjątkiem punktów centralnych o dużym ruchu) oraz brak zgody na zamykanie kiosku na czas urlopu. Wasza propozycja, czy by nie dać możliwości dla chętnych sprzedawcy gazet w godzinach rannych, to ze względu na mały dochód nie zda egzaminu. Według moich obserwacji bardzo mała ilość klientów jest w godz. 9.30–12.30 (oczywiście w kioskach osiedlowych), wprowadzenie takiej przerwy w bardzo małym stopniu zmniejszyłoby utarg, a zarobek stałby się atrakcyjny, bo wystarczyłaby wtedy jedna sprzedawczyni, czy ewentualnie dwoje rencistów. Byłoby to coś nowego i w duchu reformy, 8 godz. pracy, ale efektywnej, a przy tym rzecz bardzo ważna, o której jakby zapomniano, że kiosk w osiedlu pozwala na zakupy niezbędnych, choć drobnych artykułów jak m.in. proszek, płyn do prania, mydło, żyłotka, karta, list, znaczek, pasta do podłogi, do szorowania itp. Oddziałyłoby to od dźwigania tego wszystkiego kobiety wracające z pracy, a co chyba najważniejsze — jest w osiedlach wiele osób starszych, inwalidów, którym jest trudno wybrać się daleko po takie zakupy, a dla niektórych jest to wprost niemożliwe. Sam jestem inwalidą i wyprawa tylko po gazetę kosztuje mnie 40 minut marszu w obie strony. Dlatego idę tylko w sobotę, żeby mieć program TV.

Przepraszam, że się tak rozpisałem, ale uważam to za bardzo ważne dla osób starszych i niepełnosprawnych, a według moich obserwacji bardzo dużo takich osób dokonuje właśnie takich drobnych, ale koniecznych codziennych zakupów. A i urlop byłby możliwy, byle w tym czasie najbliższy kiosk był czynny.

Jeszcze parę słów o ekspozycji prasy. Jest to bardzo ważna sprawa i mająca duży wpływ na sprzedaż. Niestety, w naszych kioskach nie ma zbyt wiele możliwości, ale i w tych warunkach można dopracować wiele spraw. Ale musiałby się zająć tym ktoś kompetentny, z możliwością większej współpracy z poszczególnymi sprzedawcami. Takiej współpracy prawie że nie ma. Do kiosku przywozi się dużo towarów, które z wielu względów mają mało nabywców, albo i wcale. Dotyczy to też prasy. Nazwę to czystym marnotrawstwem, bo jak można nazwać inaczej, kiedy są masy zwrotów od 70 do 100 proc. Oto niektóre przykładowo pisma: „Sam sobie” 100 zł egz. prawie zawsze 100 proc. zwrotu, a „Zrób sam” znikoma ilość sprzedawana od ręki. Dalsze tytuły: „Pomysł i narysuj 6-latkowi”, „Trener domowy”, „Skarb malucha”, „Bawiac się buduje modele”, „Forum sportowe”, „Spotkanie z zabawkami”, „Krzyżówka specjalna” (wiosna, lato, jesień, zima po 80 zł), „Reporter”, „Zorza”, „Rodzina i szkoła”, „Odrodzenie”, „Za i przeciw”, „Czerwony Sztandar”. Duże zwroty mają też pisma komputerowe i z serii „Delfi” oraz nowe wydania, czy też z serii „Uszyj sama”, „Modne krawiectwo”. Poza tym duże ilości książek niechodliwych, leżących czasami w kiosku latami, w mniejszym stopniu dotyczy to również pocztówek. Nikt tymi sprawami się nie interesuje. Nie próbuje się przerzucać gazet i książek do kiosków, w których zostały już sprzedane. Kto wymyśla, żeby kilkanaście kalendarzy o tematyce pszczelarskiej leżało w kiosku osiedlowym? Natomiast „Kalendarz katolicki” i to najdroższy z będących w sprzedaży (200 zł) trafił do kiosków 15 lutego. W marcu pobierano z kiosków, odwołano do producenta, przeniesiono i rozłożono ponownie. Dlaczego przeterminowane nie przeniesiono zaraz? Komu nawet przeterminowany kalendarz potrzebny jest w kwietniu czy maju? Oczywiście jest makulatura.

JERZY Z.
do wiadomości redakcji
(nazwisko i adres)

NIE KIEM GO...

W maju br. Sejm PRL zatwierdził Uchwałę datowaną 7 maja 1987 r. i opublikowaną w Dzienniku Ustaw Nr 14 z dnia 12 maja br. na mocy której każdemu kombatanowi należy się dopłata do emerytury lub renty tytułem ryczałtu za używanie energii elektrycznej, gazu i ogrzewania. Uchwała ta miała na celu zrównanie uprawnień kombatanckich w zakresie zniżek stosowanych wobec nich przez państwo. Dotychczas bowiem dzielono kombatanów na dwie kategorie — „lepszą” i „gorszą”. Kategorie „lepsza” to ci, którzy mieli mieszkania w nowych blokach. Wobec nich stosowano ulgi w świadczeniach na powyższe cele. Kombatanów zamieszkałych w starym budownictwie ulg takich nie mieli, choć musieli zapłacić za się opał na zimę, najmować ludzi przy jego znoszeniu do piwnicy, czy przenoszeniu do mieszkania. Starzy, sterczący życiem i wojną ludzie nie mieli nierzadko siły, aby przemieścić wiaderko węgla do swojego mieszkania.

Dlatego też Sejm PRL uchwalił, że od maja br. wszyscy kombatanowie zostaną zrównani w swoich prawach. Zarówno ci z bloków, jak i ci z czynszowych kamienic otrzymywać będą po 500 zł miesięcznie ryczałtu, jako dodatek do swoich rent i emerytur. Przy czym dodatek ten, począwszy od dnia 1 maja br., miał być wypłacany przez organa rentowe.

Ale w naszym kraju od ustawy do jej realizacji bardzo daleka droga. Miałem maj, czerwiec i lipiec, a kombatanów przyznano im ryczałtu nie otrzymują. Wszelkądna biurokracja tłumaczy upominającym się niesmiało o swój przywilej, że dotychczas nie wyszły przepisy wykonawcze zlecające wypłacenie im tego ryczałtu.

Tak więc projekt zrównania kombatanów w ich uprawnieniach doczekał się realizacji w negatywnym słowa tego znaczeniu.

Chcieliście równości? Będziecie ją mieli. Nikt nic nie dostanie!

Nie kiem go, to pa!a!

MIECZYSLAW KOZAK

OPAKOWANIA CZYLI MODA NASZYCH CZASÓW

O tym, że moda jest katalizatorem wszystkich handlowych czynności i transakcji, wiemy nie tylko po targach „Interfashion”. Ale moda jest także niezwykle czułym sejsmografem notującym wszelkie wahania i zmiany w trybie naszego codziennego życia. To życie inspirowe modę, choć ona jej ubarwia i ożywia. Błyskawiczne tempo dnia codziennego najbardziej kształtuje modę ostatnich lat; choć zmieniają się elementy strojów tak daskami jak i męskimi, zmieniają się dodatki tworzące klimat wokół sylwetki, preferencje kolorystyczne, itp., jednak liczne prezentacje odzieży bardzo wielu firm konfekcyjnych krajowych i zagranicznych wskazują, iż jest trend ponadczasowy i ponadprzestrzenny. Jest nim wygodą; wygodą, będącą funkcją permanentnego braku czasu. Najlepszy dowód na to: napy i ekery — zapiecia dla tych, którym czas wynika się z rak, wielkie kieszenie na wszystkich częściach garderoby, torby, obciążone jak marynarskie worki — to propozycja dla obciążonych zakupami ludzi, którzy jeszcze chcą zmieścić w nie chwilę wolną na relaks, plaskie obcasy, gubiące piękną linię nogi — to oferta dla zmęczonych dziewczyn i kobiet.

Czy zauważyliście jak bardzo pasuje do realiów naszej rzeczywistości ta tendencja mody? A ponadczasowość? Te same elementy ubrania nosimy latem, zimą, wiosną i jesienią; wielkie swetry na wielkie gale i wielkie weekendy, podczas letnich i zimowych urlopów te same kurtki, kolorowe przepaski na głowach i wielobarwne rakawiczki. A ubrania treningowe, jogging — to nie tylko hasło dnia w parkach i na ulicy, to także hasło wieczorów — wieczorowe dresy z błyszczącą, złotą lub srebrną nitką, które stały się sensacją pokazów mody w Nowym Jorku. Bo jogging — to nie tylko bieganie, to przecież także pewna filozofia wygody.

Przystosowanie mody do życia codziennego widać także na każdej ulicy. Unisex nie jest niczym innym jak głosem praktyczności. Styl męski w modzie kobiecej to wyraz wspólnej pracy, jednakowego wysiłku do sukcesów, maksymalizacji efektów, jednakowego zniecierpliwienia i pospiechu, a także rozpaczliwej próby uzyskania kobiecej niezależności. Wśród kołnierzyków męskich koszul i męskich kamizelek błyska czasem delikatna broszka czy naszyjnik — to niezależność kobieca nieśmiało poszukuje miękkości i uległości.

I w tym potoku uniformizacji gustów, zachowań, tendencji i upodobań rozkwita nurt mody indywidualnej. Nie ma rzeczy nie do noszenia: koronki i dzinny, asymetria i klasyka, falbany i spodnie. I wszystko jest w porządku. Wszystko zgodnie z modą.

Snując te rozważania nie myślałam o modzie dla elity, wysublimowanej, obciążonej kosztowności, wysmakowanej w detalach, dodatkach, szczegółach...

Może więc niepotrzebnie wielcy dyktatorzy mody trudzą się, wymyślając coraz to bardziej finezyjne stroje. W końcu to w czym będziemy chodzić, zaprojektuje najbardziej elastyczny dyktator — życie.

BARBARA KEMPA



TELEFON 36-77-70

W odpowiedzi na notatkę zamieszczoną w 29 numerze waszej gazety z 8.07.87 dotyczącą funkcjonowania autobusowej linii 256, uprzejmie wyjaśniamy, że linia ta uruchomiona została głównie dla obsługi miejscowości w gminie Brójce. Jej podstawowe zadania — to realizacja połączeń z ośrodkami gminnymi i miejscami pracy na terenie m. Łodzi. Zadania powyższe linia realizuje w robocze dni tygodnia. Możliwość MPK w zakresie usług w dni wolne od pracy są ograniczone. Ich wielkość uzależniona jest od dyspozycji kadrowej w grupie prowadzących pojazdy.

Obowiązujący w przedsiębiorstwie „Układ zbiorowy pracy” przewiduje dla tej grupy pracowników:

— co drugą wolną od pracy sobotę i niedzielę dla osób zatrudnionych w nieprzerwanym systemie pracy.

— dla osób zatrudnionych w systemie pracy przerywanej — wolną od pracy każdą niedzielę i wolną sobotę.

Realizujący powyższe harmonogram pracy dla kierowców i motorniczych określa zatrudnienie w dni wolne od pracy w wysokości 30 proc. ogółu zatrudnionych w tych grupach zawodowych. Już w chwili obecnej wielkość usług świadczonych w dni wolne od pracy przekracza możliwości kadrowe przedsiębiorstwa, co oznacza konieczność zatrudniania prowadzących pojazdy w przysługujących im dniach wolnych. Tego niekorzystnego zjawiska pogłębiać nie możemy.

O braku możliwości eksploatacji linii 256 w dniach wolnych od pracy informowaliśmy władze gminy Brójce i przedstawicieli jej mieszkańców jeszcze przed uruchomieniem komunikacji.

mgr WIESŁAW WOŁOŚZYN
Kierownik
Zakładu Nadzoru Ruchu



Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie” publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

W związku z notatką zamieszczoną w „Odgłosach” nr 30 z dnia 25 lipca br. dotyczącą blankietów opłat składki znalezionych w pobliżu „Centrału” uprzejmie informuję, że przeprowadziłem w tej sprawie postępowanie wyjaśniające, ustalając co następuje:

— komputerowe odcinki opłat składki za ustawowe ubezpieczenia komunikacyjne dotyczyły lat 1984–1985 i zostały w swoim czasie zwrócone przez Poczta z uwagi na brak adresata, (zmiany adresów, nazwisk itp.). Odcinki te jako całkowicie nieprzydatne i nie mające charakteru dokumentu zostały przeznaczone na makulaturę i w normalnym trybie są przekazywane do punktów skupu.

— szczegółów znalezienia się odcinków opłat przed „Centralem” nie udało mi się ustalić. Przypuszczam, że podczas transportu uległo uszkodzeniu papierowe opakowanie i przez nieuwagę ich część znalazła się na ulicy.

Zdaje sobie sprawę, że tego rodzaju zdarzenia przy zachowaniu należytej staranności nie powinny mieć miejsca i w związku z tym zwróciłem uwagę służbom administracyjnym.

W podobnych przypadkach wzmożony zostanie nadzór w czasie transportu makulatury.

mgr ANTONI HOFMAN
dyrektor
II Inspektoratu PZU w Łodzi

KOLARSKA WYPRAWA DO KOŁA EUROPY

Z okazji stulecia esperanta francuski esperantysta Jorgos przedsięwziął wyprawę kolarską dookoła Europy, której celem jest propagowanie międzynarodowej przyjaźni i porozumienia między narodami. W drodze do Jorgosa dołączają esperantysty z różnych krajów, którzy wspólnie z nim pedałują przez dzień, tydzień lub nawet kilka miesięcy. W czasie wyprawy jej uczestnicy posługują się esperanto.

Wyprawa rozpoczęła się w dniu 23 lutego 1987 r., kiedy to Jorgos wspólnie z Sylwią Michel i Jeanem Vergerem wyruszył z miejscowości Ceret w południowo-zachodniej Francji. Przez trzy miesiące pedałowali oni wspólnie z Jorgosem i w tym czasie Jorgos uczył ich esperanta. W ciągu pierwszych 5 miesięcy w wyprawie uczestniczyło już 35 osób.

Poszczególne etapy wyprawy wynoszą około 80 km. Zawsze o godzinie 16 w kolejnym mieście etapowym, przed ratuszem odbywa się spotkanie z miejscowymi esperantystami. Zanim przybył do Polski, Jorgos pokonał już ponad 9 tysięcy km. Trasa jego kolarskiej wędrówki wiodła przez Hiszpanię, Francję, Szwajcarię, Luksemburg, Belgię, Holandię, RFN, Danię, Szwecję, Norwegię, Berlin. W miastach etapowych Jorgos i jego towarzysze często udzielają wywiadów miejscowym dziennikarzom. W gazetach krajów leżących na szlaku ukazało się już ponad 100 wywiadów i artykułów na temat wyprawy. W Paryżu wyprawa została przyjęta w siedzibie UNESCO, a w Genewie w Europejskim Biurze ONZ. Warto tu podkreślić, że UNESCO udziela ruchowi esperantowskiemu poparcia, a Światowy Związek Esperantystów posiada status członka konsultanta UNESCO.

Polską granicę przekroczył Jorgos sam, ale tu z miejsca dołączył do niego Christian Lavarenne, student Uniwersytetu w Aix-en-Provence. Obaj mają nadzieję, że na terenie Polski dołączą do nich nowe osoby, by wspólnie propagować ideę międzynarodowej przyjaźni.

Trasa przez Polskę wiodła przez Zieloną Górę, Lublin, Wrocław, Wrocław, Lubliniec, Zawiercie do Krakowa, dokąd uczestnicy wyprawy przybyli 17 lipca, by uczestniczyć w 43 Międzynarodowym Kongresie Młodzieży Esperantycznej. Następnie przez Katowice, Radomsko, Łódź przybyli do Warszawy, gdzie wzięli udział w jubileuszowym Światowym Kongresie Esperantystów. Po kongresie przez Ostrów Mazowiecką, Białystok, Elk, Mrągowo, Olsztyn, Brodnicę, Bydgoszcz, Poznań, Zieloną Górę, Bolesławiec, Jelenią Górę dotrą do Czechosłowacji. Dalej trasa wyprawy wiodzie przez Austrię, Węgry, Rumunię, Bułgarię, Turcję, Grecję, Jugosławię, Włochy do Francji.

Zakończenie wyprawy planowane jest w Paryżu w dniu 13 grudnia 1987 roku.

W pięknej pamiętkowej księdze wyprawy znalazły się już setki ciekawych wpisów burmistrzów miast etapowych, klubów esperantycznych, ruchów pokojowych i innych organizacji, a także prostych ludzi spotykanych na trasie, którzy bezinteresownie udzielają pomocy uczestnikom wyprawy i solidaryzują się ze szlachetnymi celami, które tej wyprawie przyświecają.

INFORMUJEMY O KONKURSIE

KONKURS LITERACKI IM. ANNY DOMAGAŁY-JAKUC

Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury w Łodzi, ogłasza ogólnopolski konkurs literacki im. Anny DOMAGAŁY-JAKUC, dla autorów, nie zrzeszonych w Związku Literatów Polskich.

Celem konkursu jest ukazanie przemian zachodzących w kulturze środowisk robotniczych, a w szczególności wyłonienie nowych talentów pisarskich, poetyckich i pozyskanie ich dla RSTK.

Na konkurs należy przesłać prace nigdzie nie publikowane. Tematyka prac powinna dotyczyć pracy robotników, ich codziennego życia, jak również według uznania Autora.

Na konkurs nadsyłać można w dalsze:

- a) poezji — zestaw 5–8 wierszy,
- b) prozy — 4 strony maszynopisu lub rękopisu,

w trzech egzemplarzach, na arkuszach A-4.

Termin nadsyłania prac upływa z dniem 20 października 1987 roku. Orientacyjny termin ogłoszenia wyników konkursu 13–15 listopada 1987 r., podczas II Ogólnopolskiego Forum Literatury i Krytyki RSTK, w Łodzi.

Prace opatrzone godłem należy przesłać (wraz z zamkniętą kopertą zawierającą godło, nazwisko i adres autora) pod adresem: ROBOTNICZE STOWARZYSZENIE TWÓRCÓW KULTURY w Łodzi, ul. J. Kilińskiego 85, skr. poczt. 159, z dopiskiem na kopercie „Konkurs Literacki”.

Przewiduje się następujące nagrody w dziale:

POEZJI

- I nagroda — zł 4.000,—
- II nagroda — zł 3.000,—
- III nagroda — zł 2.000,—
- Cztery wyróżnienia po zł 1.500,—

PROZY

- I nagroda — zł 6.000,—
- II nagroda — zł 4.000,—
- III nagroda — zł 3.000,—
- Trzy wyróżnienia po zł 2.000,—

Organizatorzy informują, że 20 proc. od otrzymanej nagrody przeznaczają na książeczkę PKO dla syna Anny Domagały-Jakuc.



Foto: Grzegorz Galasiński

Ich znak: biały bocian z kicią winogron.

Rubinowa krew ziemi

EUGENIUSZ IWANICKI

Moldawianie mówią tak: — Kiedy Bóg dzielił ziemię pomiędzy różne ludy, Moldawianin był zajęty pracą w polu, a potem jak to jest tu w zwyczaju, tańczył i śpiewał przy winie. Przekazał po ziemię zjawili się ostatni, kiedy wszystko zostało rozdane. — Co mam z tobą począć — pyta zafasowany Pan Bóg. — Skąd ci weźmiesz ziemię? A Moldawianin milczy i ściera pot z twarzy. Widzi Pan Bóg, że to pracowity człowiek, który potrafi nie tylko uprawiać ziemię, ale i cieszyć się z jej plonów, więc odkroił kawałek raju i wręczył go Moldawianinowi.

Moldawianie mówią również i tak: — Zebrali Pan Bóg przedstawicieli wszystkich narodów i powiedział: — Niech każdy bierze tak długo, aż padnie ze zmęczenia. Przebyta w ten sposób ziemia będzie stanowiła własność jego narodu. — Moldawianin zjawili się ostatni, gdyż ciężko pracował przy swoich winnicach i był już porządnie zmęczony. Toteż kiedy wysiłek ruszył, Moldawianin po kilkunastu godzinach poczuł, iż opuszczają go siły. Ale biegł. W końcu położył się i upadł. Padając zdążył zerwać z głowy baranec i rzucić go daleko przed siebie, zawołał: — A ten kawałek, Panie Boże, niech będzie pod pomidory!

Tak mówią moldawskie podania ludowe. Faktem jednak jest, że jeśli przyjrzeć się dobrze konturom Moldawii zamkniętym na mapie, to łatwo się przekonać, że tworzą one grono winorośli. Bo Moldawia — to przede wszystkim przemysł winiarski. Pięta część całej produkcji win w ZSRR przypada na Moldawię, tu wytwarza się aż 20 procent wszystkich koniaków i 4 proc. szampana. Co roku ponad 1,5 mln ton winogron trafia pod prasy zakładów winiarskich. Wina, koniaki i szampany trafiają na stoły niemal wszystkich krajów Europy i Azji. Zostały też nagrodzone na międzynarodowych konkursach — degustacjach aż 122 złotymi, 122 srebrnymi i 11 brązowymi medalami. W koncernie „Moldavinprom” produkuje się 123 gatunki win, koniaków i szampanów. Co siódmy hektar zajęty pod uprawę, to plantacje winnych krzewów (w sumie zajmują one 260 tysięcy ha).

MOLDAWSKIE BORDEAUX

Kiedy wyraziłem chęć skosztowania moldawskiego wina, mój przewodnik poeta Titus Sztribu zdecydował:

— Tylko „Romaneszy”.
— Co to takiego?
— Najlepsze wino markowe. No, może jest jeszcze podobne gdzieś we Francji.

Nie potrafiłem powstrzymać uśmiechu ciskającego mi się na usta.

— Mówisz to serio?
Titus błysnął czarnymi oczami, ukazał białe zęby w szerokim uśmiechu i zwrócił się do kierowcy zielonej „Wolgi”:

— Iwano, jedziemy!

Załowalem swojej pochopnej decyzji. Pić jakikolwiek alkohol w takiej temperaturze, to istne samobójstwo. W moim pokoju hotelowym o dziewiętej rano termometr wskazywał 22 st. C. A słońce dopiero co zaczęło swoją wspinaczkę. W południe ziemię obleje jstny urok.

Zaledwie 35 km od Kiszyniowa, na pofalowanym terenie zajęty pod uprawę winorośli, rozłożył się sowchoz — gigant Romaneszy. Jeszcze parę lat temu pod uprawę winorośli przeznaczano ponad tysiąc hektarów i uprawiano wiele odmian. Teraz obszar nieco się zmniejszył, ale i gatunki winorośli ograniczono do kilku (Cabernet, Savignon, Merlot, Malbec, Traminer). Do sowchozu należą 4 wsie, w sumie 5.300 mieszkańców różnych narodowości: Uzbeki, Ukraińcy, Moldawianie, Rosjanie.

Na spotkanie nam wyszedł sekretarz organizacji partyjnej Władimir Zinowiewicz Solodilow: gruby, rumiany na twarzy, z wyglądu przypominający Nikitę Chruszczowa.

Pytam czy sowchoz jest rentowny.

— Owszem — odpowiada sekretarz — ale rentowność nie przychodzi nam lekko. Proszę przeliczyć: za jeden krzaczek winorośli płacimy 18 rubli, a litr soku z winogron kosztuje raptem marne kopiejki. I dlatego musimy za wszelką cenę wyjść na swoje, to znaczy nie tylko produkować dobrze i dużo, ale ludzi muszą zabrać.

— Czego więc wam brakuje?

— Nowoczesnej chłodzi do przechowywania owoców. Wówczas będziemy eksportować nie tylko wino, ale i winogrona.

— A kto wam taką chłodzińkę wybuduje?

— Będziemy budować sami, inne możliwości nie ma. I wybudujemy...

— Nim tu przyjechałem, powiedziano mi, że tam gdzie są plantacje winorośli, tam nie ma miodu...

— To przykra sprawa — twarz sekretarza poważnieje. — Aby mieć dobre zbiory, musimy co najmniej pięć razy w ciągu sezonu opryskiwać nasze plantacje środkami owadobójczymi. Owszem, każdorazowo uprzedzamy pszczelarzy, ale niestety, pszczoły giną masowo. Oczywiście, ziemia bardzo odczuwa brak pszczoł.

— Słyszałem, że nie wszyscy mieszkańcy waszych czterech wiosek znajdują zatrudnienie w sowchozie...

— Niestety, to prawda. Dotąd jakoś sobie z tym radziliśmy, bo nadwyżkę siły roboczej odcużono autobusami do Kiszyniowa. Teraz autobusy skasowano, nie wolno. I oto powstała paradoksalna sytuacja: bezrobocie w socjalizmie. Sprawa wygląda tak: w sowchozie dla wszystkich nie ma pracy, iść 35 km do Kiszyniowa nikt się nie odważy, a więc ludzie siedzą w domu. Siedzą bez pracy.

— A sowchoz nie może im jakoś pomóc?

— Nie możemy zatrudnić ponad potrzeby. Ale taka sytuacja ma też swoje dobre strony. Otóż jeśli ktoś w sowchozie obija się, to można go wyrzucić bez skrupułów: na jego miejsce czekać dziesiątki innych.

— Towarzyszu sekretarzu, ludzie w „Romaneszy” na co dzień stykają się z winem, którego jest tu pod dostatkiem. Powiedzieć, tylko szczyt, ile macie alkoholiików?

— U nas picie wygląda nieco inaczej niż w republikach położonych bardziej na północ. Wystarczy, aby człowiek wypił kilka szklanek wina i wyszedł do pracy w polu, gdzie temperatura w południe osiąga często ponad 40 st. C. Tego nikt nie przetrzyma. Ale odpowiadając na pytanie: mamy zaledwie 7 osób pijących nalogowo.

Następnie zwiadałem wytwórnię. Niezapomniane wrażenie robią tysiącletnie beczki spoczywające w długich rzędach w podziemnych piwnicach. Dowiedziałem się, że rocznie produkuje się 10 tys. dekalitrów przednich win (1 dekalitr — 10 litrów), że zawartość alkoholu wynosi 12 procent i, że każdy 1 proc cukru to 0,6 proc. alkoholu. A więc nie trzeba sztucznie alkoholizować (w Moldawii jest zakaz dodawania alkoholu do win). Roczny budżet sowchozu zamyka się kwotą 6 mln rubli, z czego na czysto sowchoz otrzymuje milion, a jeśli jest dobry rok, to nawet półtora miliona.

Ważnym elementem każdego odwiedzin w „Romaneszy”, jest degustacja. Z żalem wspominałem co niektórych moich kolegów z redakcji, którzy w przeciwieństwie do mnie nie cierpią na schorzenia wątroby. Niestety, w tym punkcie programu, byłem słabym reprezentantem swojego narodu. A próbować było co i w każdych ilościach. Przede wszystkim markowe wino „Romaneszy”. Jest to wino typu „Bordeaux”, a otrzymuje się go z trzech gatunków winorośli: Cabernet, Merlot i Malbec. Czas leżakowania wynosi dwa lata. Wino „Romaneszy” ma rubinowy kolor ze złotym odcieniem, jest lekko cierpkie o zapachu fiołków zmieszanych z migdałami. „Romaneszy” — to rubinowa krew ziemi.

Toasty tu są skromne.

— Za stołec! — wznosi kielich Władimir Solodilow.

— Za winorośle! — uśmiecha się Titus.

Mam chęć przebić ich czymś polskim, ale przypominam sobie w porę, że przecież to tylko wino. Gdyby to była czysta zytina... Więc wstaje i trącam się z obecnymi mówiąc, że koniecznie należy wypić za pomyślność ludzi przygotowujących tak znakomity nektar...

Potem nałano do pucharów „Trandafiro Moldovei” czyli „Różę Moldawii” także wino markowe, bardzo aromatyczne, po trzyletnim leżakowaniu. Następnie „Kodry”. A kiedy wniesiono „Fetiaske”, „Cabernet”, „Pino”, „Savignon”, „Aligote” i jakies jeszcze inne — uniosłem ręce do góry na znak poddania się.

JEDNO Z CZTERECH NA ŚWIECIE

Niejak po drodze zatrzymujemy się w najstarszej uczelni ZSRR, bo założonej w 1842 roku, a przygotowującej specjalistów sadowników oraz techników i technologów dla przemysłu winiarskiego. To także sowchoz. Dla potrzeb uczelni przeznaczono ponad tysiąc ha ziemi pod winorośle, setki hektarów pod sady. Tu znajduje się wytwórnia win mogąca „przerobić” 800 ton winogron w ciągu doby. To stać pochodzi markowe wino „Gratieszty”, na etykiecie którego umieszczono 4 złote i 5 srebrnych medali zdobytych na międzynarodowych konkursach i wystawach. Tu produkuje się „Nektar”, „Feoare”, „Dniestrowskoje”...

W sowchozie — technikum uczy się 1200 młodzieży. Co roku 240 specjalistów opuszcza mury uczelni. A dostać się tu nie jest łatwo. W tym roku na jedno miejsce było aż 15 chętnych.

Obok technikum zostało zorganizowane, jako czwarte na świecie (Hiszpania, Francja i Krym) muzeum historii uprawy i tłoczenia wina. Krzew winorośli pojawił się tu przed tysiącami lat (zachowały się ślady na kamieniach wykopaliskowych).

Oprawdająca nas, bardzo zresztą ładna, ale też i zarzucała dziewczyna, zatrzymuje się przed jakimś garnkiem i pyta, kto z nas może określić wiek tego eksponatu. Byłem najbliższy prawdy, bo powiedziałem, że zapewne pamięta czasy Chrystusa. Dziewczyna triumfując spogląda na nas i mówi:

— Cztery wieki przed naszą erą! I nie garnek to, a amfora. Więcej nie zgadujemy.

Oglądamy natomiast uważnie troszkę młodsze amfory greckie, drewniane beczki, ręczną prasę do tłoczenia z 507 roku... A tuż obok ustawiono model współczesnej taśmy produkcyjnej mogącej napędzić 6 tys. butelek w ciągu jednej godziny.

I jeszcze sala wystawowa. Setki butelek mogących najwybredniejszych smakoszy przyprawić o zawrót głowy. Wystarczy wspomnieć, że w samej Moldawii produkuje się aż 130 gatunków win! Wina te zdobyły 250 medali na międzynarodowych konkursach. Symbolem tutejszego wina jest lejący bocian z kicią winogrona w dziobie. Radzę zapamiętać ten znak: przecież jeszcze nie tak dawno i u nas można było kupić przedni koniak „Bieły aist” czyli „Biały bocian”!

Bądźmy jednak dobrej myśli: odległość z Polski do Moldawii nie jest znowu tak wielka i może jeszcze zawitać do nas biały bocian umieszczony na etykietach win. Czego sobie i wam życzą.

Widziane znad Renu

1.

We Frankfurcie nad Menem oczekuje mnie profesor Walter B. z Uniwersytetu w Giessen. Autostrada szybkiego ruchu docieramy do miejscowości Mainz, gdzie rzeka Men wpada do Renu.

W Mainzu — obok strzelistego kościoła św. Stefana, romańskiego klasztoru z IX wieku — zlokalizowano jedyne w świecie Muzeum Gutenberga, w którym można zobaczyć skarb sztuki drukarskiej. Tuż obok muzeum jedno z bardziej oryginalnych miejsc na kuli ziemskiej: 50. równoleżnik wyznaczony na rynku geometrycznym rysunkiem globu ziemskiego, wpisanego szeroko, mosiężną obręczą w asfalt.

2.

Pod wieczór docieramy do Giessen i po kolacji upragniony odpoczynek. Zapadamy w przepasany fotel śledząc bieżący program telewizyjny. Mam tutaj do dyspozycji trzy programy ogólnokrajowe i jeden regionalny, obejmujący swoim zasięgiem teren Hesji. W czołówce wydarzeń politycznych znajdują się zmiany w SPD oraz wizyta prezydenta USA Ronalda Reagana w RFN.

„Frankfurter Rundschau” przytaczał napisy na transparentach i hasła skandowane przez demonstrantów: „USA Internationale Völkermordzentrale”, „Reagan ist ein Mörder und Faschist” i najkrótsze z nich — „Mörder, Mörder”. Przekład, jak sądzę, jest zbyt precyzyjny; wymowa tych słów — w wielu językach narodów świata — jest jednoznaczna.

3.

Wizyta papieża Jana Pawła II w ojczystym kraju zeszła tutaj na drugi plan przed takimi wydarzeniami politycznymi, jak wspomniany pobyt Reagana w Berlinie Zachodnim, a przede wszystkim przed ważną zmianą steru w SPD. Miejsce Brandta zajął Vogel; Willy Brandt został poznaczony w sześcimienną owacją — w tle, tuż za prezydium, widoczne hasło: „Tradycja i perspektywa”. W telewizyjnym dzienniku były to tutaj pierwszoplanowe fakty polityczne, na dalszym planie relacje z Polski.

Pokazano na przykład sznur milicyjnych i wojskowych samochodów podążających na północ Polski oraz mocno przykrojone migawki z Gdańska, Częstochowy, Łodzi i Warszawy. W mojej pamięci utkwiły tylko dwie.

Tuż przed odlotem z kraju oglądałem relację z pobytu papieża Jana Pawła II na Majdanku w Lublinie. Modlitwa w pełnym milczeniu i ciszy, w tym miejscu, gdzie zamordowano ponad 400 tysięcy przedstawicieli 54 narodów z 26 państw świata. I inna — widiana w telewizji zachodni Niemiec. Również modlitwa nad grobem przy kościele św. Stanisława Kostki na Żoliborzu w Warszawie. Wokół festynu polityczny — śpiew, okrzyki, hasła i... modlitwa zmęczonego człowieka. A zbliżeniu pokazano może czterolatnie dziecko z paluszkami wzniesionymi w znak „V”. Czy rozumie to dziecko, co to znaczy zwyciężać i kto ma zwyciężyć, skoro nie ma zwycięzców w tym sporze?

4.

Po śniadaniu wybieramy się do miejscowości Bad Homburg, nad którą góruje wyjątkowej urody pogórze Taunus. Tu właśnie znajduje się jeden z piękniejszych obiektów rekreacyjnych — kąpielisko „Taunus”, umieszczone pośród zieleni i skał. Można tutaj skorzystać z kilkunastu basenów z zimną i podgrzewaną wodą, z masażu wodnego, z sauny od 50 do ponad 90 stopni Celsjusza, i wreszcie z solarium dla naturystów. Na miejscu jest również kawiarnia, bary i restauracje.

Po południu przez uzdrowisko Bad Nauheim — krenińska Wieliczka, gdyż tutaj również znajduje się muzeum soli, docieramy do Arnshurga. Ta niewielka miejscowość wyróżnia się starym klasztorem, będącym dziś obiektem zabytkowym, stanowiącym jedno z wielu muzeów sztuki sakralnej, rozrzuconych na terenie Hesji. Szukając poloników, drobnych

nawet śladów obecności Polaków w świecie, właśnie w Kloster-Arnshurg znajduję je w nadmiarze. Wraz z moimi gospodarzami przekraczam kolejną kamienną bramę, by znaleźć się na niewielkim klasztornym cmentarzu.

Kilkanaście zaledwie krzyży, wykutych w piaskowcu — białym i żółtym — wpadającym w ugię, a na ziemi wśród traw małe metalowe tabliczki, na nich imiona i nazwiska oraz daty: narodzin i zgonu. Spoczęło tutaj podczas II wojny światowej około 500 żołnierzy i więźniów obozu pracy, położonego kilkadziesiąt kilometrów od Arnshurga, wśród nich Rosjanie, Ukraińcy, Żydzi, Słowacy, Rumuni, Niemcy, Holendrzy, a także i Polacy.

5.

Tuż obok klasztoru niewielka piwiarnia pod kasztanami. W milczeniu pijemy piłsnier, przejrzysty jak światło; milczenie przerywa mój gospodarz i przewodnik po Hesji, profesor Walter B., stwierdzając filozoficznie: — „2000 lat temu umierał Chrystus, by była wolność, równość, sprawiedliwość i pokój. I gdzie jest ta wolność, ta równość, ten pokój?” — pyta jakby sam siebie. Rozmawiamy po angielsku — Niemiec z Polakiem.

6.

Prowadzę, dla studentów pedagogiki Uniwersytetu w Giessen, gościnne wykłady (w języku angielskim), które wprowadziły mnie tutaj. Tematem sytuacji życiowej ludzi w podziemnym więzieniu w Polsce. Podczas tego spotkania widoczne jest wyraźne zainteresowanie naszym krajem, pada wiele pytań. Zaplanowane na 20 minut wprowadzenie do dyskusji przeradza się w trwający ponad godzinę zegarowy wykład.

Wraz z moim opiekunem, dr Rolandem B. zwiadam uniwersytet; doskonałe warunki do pracy, świetnie wyposażona biblioteka, w każdym obiekcie elektroniczne koparki kserograficzne, za kilkanaście fenigów można wykonać odbitki interesującego tekstu książki czy czasopisma. W pobliżu bursy akademicka, gdzie w ciągu paru minut można zjeść śniadanie lub obiad.

7.

W Kassel otwarto właśnie ogromną ekspozycję sztuki współczesnej pod nazwą „Dokument 8”, będącą zapisem aktualnych możliwości twórczych artystów plastyków. Cena biletu 40 DM, katalogi wystawy 90 marek, co stanowi równowartość około 23 i ponad 50 dolarów. Na tej właśnie prezentacji szokować może kompozycja rzeźbiarska Iana Hamiltona Finlay’a, obejmująca zestaw różnych wielkości gilotyn, jak również plastyczny film-wideo Marii Jo Lafontaine, zwielokrotniony przez jednoczesną emisję różnych obrazów w kilkunastu monitorach czy różnorodne imprezy happeningowe.

8.

W kolejne popołudnie wybieramy się do starego Marburga, mam okazję zobaczyć XIII-wieczny Zamek, górujący nad miastem i z tego okresu kościół św. Elżbiety Węgierskiej. Zmęczeni spacerem po kretych uliczkach wpadamy na kawę do najstarszej kawiarni w Marburgu, a może i w Hesji, otwartej w 1908 roku. Secesyjny wystrój wnętrza, obrazy, dokumenty na ścianach i przepyszna kawa. Słuchając miniaturowej fortepianowej Beethovena „Dla Elzy” przez szerokie okna podziwiamy piękno krajobrazu, rzekę Lahn przecinającą pogórze, małe białe-czerwone domki wpisane w zieleni drzew, a w dole nowoczesne, smukłe budynki splecione ze starą średniowieczną i barokową architekturą.

ADAM A. ZYCH

Julian zaprosił mnie do swojego domu, do Sevenoaks. To mała dziura leżąca w hrabstwie Kent, w południowo-wschodniej Anglii. Do Londynu jest niedaleko; parę godzin na pociągu, a następnie na rowerze. Mieszkańcy, to najczęściej zamożni ludzie, pracujący w biurach City, adwokaci, finansisci mniejszej rangi.

Cicho, spokojnie. Leniwe niedzielne popołudnie. Kiedy to na drodze można zobaczyć tylko niespiesznie kroczonego kota, oczywiście w obojętnej, a jakże, nie żaden bezpański mruczek. Wszystkie koty mają obroźki z nazwiskiem właściciela i są tak pewne siebie, że gdy podejdziesz do takiego wylegającego się mruczka, ten zaledwie zaszczyci leniwym odemknięciem powieki. Od czasu do czasu przemknie samochód, rykiem silnika rozcinając ciszę. Tylko w okolicy głównego przystanku autobusowego parę osób czeka na autobus. Dwóch czy trzech chłopaków w dresach, z rakietami tenisowymi. Jakiś starszy facet z fajką w zębach i siatką na ryby przewieszoną przez plecy oraz z kilkoma wędkami troskliwie ukrytymi w pokrowcach.

POETA JOHN DONNE

— Sevenoaks jest znane z trzech miejsc — zaczął Julian tonem cicerona. — Pierwsze to ten kościół koło którego przechodzimy. Przystanęliśmy przy szarej bryle kościoła, który jak większość na Wyspie był jakby przytulony do ziemi. Od jezdnia oddziela go półtorametrowej wysokości mur z topornie obrobionego kamienia. Furtka skrzypi grzytliwie. Na niewielkim przykościelnym cmentarzu pomniki wyrastają kamiennymi płytami wprost z zielonej murawy. Wygląda to tak, jakby ktoś powtykał płyty w ziemię jak patyki.

Wchodzimy do środka. Tablica pamiątkowa, a na niej w karnym rzędzie nazwiska kolejnych dziekanów parafii. Gdzieś w środku, ani większymi, ani złoconymi literami, wyryte nazwisko — John Donne. Jeden z największych angielskich poetów.

— Zjawia się tutaj uprzedzić tylko parę razy do roku — mówi Julian — ale zawsze się liczy, że był dziekanem tutejszej parafii. Podobno nawet miał tutaj coś napisać, ale tak naprawdę, to nikt tego nie jest pewien.

„Knole” — to słynna XV-wieczna posiadłość Lorda Salisbury. Ogromny park uosobiony jest zwiastującym. Można także oglądać wspinalne dywany i kilimy znajdujące się w środku domu. Zresztą nazwa: dom — nie daje wiarygodnego obrazu tego ogromnego pałacu. Zbudowany w charakterystycznym stylu tudorskim, z wieżyczkami strzegącymi głównego wejścia, z czarnymi oczodolami okien. Na trawie, pod starymi drzewami, porozkładali się zmęczeni spacerowicze. Dzieciaki karmią pasące się tutaj stadami śarny, czego oczywiście robić nie wolno.

Droga do pałacu wiedzie stromo pod górę, dnem starej fosy i zboczem ogromnego wału obronnego. Wygląda to jak nartostrada wycięta na zboczu góry. Wokół pałacu wysoki mur odgradzający niewielki ogród od reszty parku udostępnionej publiczności. Za murem, na polanie, drzewo, które dawno utraciło wszelkie swoje życiodajne soki, a teraz strąca żółtą takich rozmiarów, że dorosły człowiek spokojnie może tu zamieszkać. Po drugiej stronie wąskiej ścieżki — mała domka z fikuśnymi okienkami w okrągłej kopule wieńczącej dach. To domek ogrodnika.

TU KIEDYŚ BYŁ MECZ...

— A wiesz, że jesteśmy na terenie jednego z bardziej ekskluzywnych pól golfowych w Anglii?

Rozglądam się wokół. Tu sarenki, tam stary domek ogrodnika, a do tego drzewo straszycie.

— Popatrz tam — pokazuje Julian, a ja widzę, że ktoś poustawiał tyczki siałomowe. — To właśnie część tego pola golfowego. Kończy się ono tutaj, parę hektarów dalej, w dole, w stronę miasta.

— Czy ty tutaj kiedykolwiek grałeś w golfa?

— Coś ty? Przecież to kosztuje majątek. Składowa roczna około 2000 funtów.

— Ale przecież chyba są tańsze kluby i pola golfowe?

— Są. Oczywiście. Tylko że mnie nigdy golf nie pasjonował. To dobre dla starszych panów. Uderza piłkę i maszeruje przez parę kilometrów do następnej dziurki.

— A co cię pasjonowało?

— Piłka nożna, ale przede wszystkim cricket. Centrum Sevenoaks. Z prawej pub. Jeszcze niezbyt gwarnie. Z lewej kościół metodystów. Właśnie jacyś ludzie wychodzą po skończonym nabożeństwie, odprowadzani do maleńkiej furtki przez pastora. Przed nimi rząd ładnie poustawianych, jak na paradzie, domków. A pośrodku tego wszystkiego gładko wystrzyżone, jakby się dopiero co tam wypało stado kóz, ogromne pole. Ogrodzenie z rachitycznych, pozmierzniętych ze starości palików. Nie większe niż metrowej wysokości. Pole z jednej strony kończy się rzędem siedmiu dębów, a z drugiej łagodnie opada ku schodkom w kolonialnym stylu.

— Tutaj masz i siedem dębów, od których wzięła nazwę miejscowość i słynne pole crickietowe. Nazywa się Vine. Bardzo słynne — mówi Julian, nie wiadomo dlaczego przeciągając sylaby i ścisząc głos.

Wpatruję się w plachę zielonej murawy i nie mogę zrozumieć nabożnej czci, z jaką wypowiedziane zostały te słowa. Czekam więc cierpliwie na dalsze wyjaśnienia.

— Tutaj, pod koniec dziewiętnastego wieku rozegrano mecz między Anglią a Australią.

— To było pierwsze spotkanie między tymi krajami?

— Coś ty — obruszył się Julian.

— To czym się ono w takim razie wyróżniło?

— No tym, że właśnie tutaj rozegrano mecz między państwami, drużyn narodowych.

Obchodzimy pole z szacunkiem. Pod dębami, na ławeczkach przycupnęły dwie mamy z dziećmi. Młodzież trenuje z zapalem podstawy cricketa na małym placu po drugiej stronie siedziby klubowej, mieszczącej się w

To się naprawdę zdarzyło!

kolonialnym domku. Pole jest ogromne i puste. Nikt nie odważy się przeciąć go, idąc na skróty, ale obchodzić dookoła. I trzeba znać łatwość, z jaką Anglicy śmiało wydeptują zieleni trawników, aby pojąć doniosłość tego obchodzenia.

Na punkcie cricketa rzeczywiście Anglia ma fioła. Grają mali chłopcy w Hyde Parku i na maleńkim skrawku położonym u stóp Parlamentu, nad Tamizą przy Milbank. Gdy w jedną z niedziel wybrałem się do Oxford i zacząłem przez bramę z groźną tabliczką. „Przywitać. Wstęp tylko dla studentów i pracowników college'u” — na teren jednego z nich, zobaczyłem dziewczyny w kostiumach bikini wylegujące się na trawie, a pomiędzy nimi uganiał się grający w cricketa student.

Znane są wybryki angielskich kibiców piłkarskich. Ale ostatnio chuliganstwo zawitało i na spokojne, nieco sennie stadiony, na których rozgrywane są mecze crickietowe. W czasie meczu między państwami Anglia-Pakistan doszło do bijatyki między kibicami obydwu drużyn. Poturbowanych było kilkunastu, a jednego młodzieńca pakistańskiego telewizja przetransmitowała w całej okazałości. Powód? Poderżnięto mu gardło rozbitą butelką, co doprowadziło do przesunięcia terminu, mającego się odbyć następnego dnia, meczu między tymi drużynami. Za oknami angielska zima, deszczowa i przenikająca wilgotnym chłodem do szpiku kości, a

w telewizji transmisja z Australii z cyklu meczów kontrolnych, które drużyna narodowa Anglii rozgrywała na antypodach. Na każdym kanale cricket. Wiadomości dziennika kończyły się i zaczynały od cricketa. Szaleństwo. Ale nie jedyne.

RUGBY — ICH NAJWIĘKSZA MIŁOŚĆ

Siedziałem w pewnej miłej knajpce nad Tamizą, gdy nagle zrobił się kolo mnie ruch. Kelnerzy uwijali się jak w ukropie przedstawiając stoliczki, tak, że po chwili uformował się długi stół nakryty na kilkanaście osób.

— Party dla osiemnastu osób — zdążył mi wyjaśnić jeden z kelnerów. I już zaczęło schodzić się towarzystwo. Same panie. Sześć, siedem, osiem młodych, ładnych, elegancko ubranych dziewczyn.

— Przykro mi, ale będzie nas tylko dziewięć osób — wyjaśniła kelnerowi jedna z dziewczyn. — Rezerwowaliśmy na osiemnaście, ale nasi panowie nie dopisali...

Kelnerzy zachowali kamienne twarze, a ja sobie pomyślałem, że takie masowe „puszczanie w tęgą” dziewczyn przez chłopców nadaje się do księgi rekordów.

MAREK BRZEZIŃSKI

Człowiek, który odgryzł psu ucho



Dziewczyny porozmawiały się wygodnie, zamówiły drinki, szampa, a jakże. Gdy już trochę zaróżowiły się im policzki i rozmowy przybrały na sile, mogłem się zorientować, że panie zostały opuszczone przez panów ze względu na Puchar Świata w rugby. Właśnie rozgrywany był mecz między Anglią a Nową Zelandią. Toteż z ogromnym entuzjazmem powitano młodego człowieka, który jako jedyny z dziewczątek, wyłamał się i przyszedł na umówione party.

Gdy już całusom i okrzykom zachwytów dano upust jedna z dziewczyn zapytała:

— A ty nie interesujesz się rugby?

— Oczywiście, że się pasjonuję rugby — odpowiedział „rodzynek” — ale nagrywam mecz na magnetowid i sobie w spokoju go obejrzę. A wy nie znacie wyniku?

Odpowiedział mu solidarnie: „nie”. Więc rozejrzał się po sali, a że siedziałem tuż obok, więc zagadnął mnie o to samo.

— Niestety — rozłożyłem beznadziejnie ręce — też nie znam wyniku.

— A ty skąd jesteś? — on na to. — Nie masz zbyt angielskiego akcentu.

— Jestem Polakiem.

— Ooo! To ty w ogóle nie masz pojęcia o rugby. Wy tam się przecież tym nie interesujecie. Wy tylko piłka nożna i piłka nożna...

Rugby nie tylko urodziło się na Wyspach, skąd zresztą wzięła się nazwa gry, rozgrywanej właśnie w college'u w Rugby, ale jest też jednym z najpopularniejszych sportów w Wielkiej Brytanii. Szczególnie Walijszczyki są fanatykami jajorawej piłki. Tak jak polskie czy angielskie dzieciaki uganiają się za futbolówką, tak walijskie za piłką do rugby. Zresztą mecze między poszczególnymi związkami narodowymi Wielkiej Brytanii są nie mniej popularne niż Puchar Wielkiej Brytanii w piłce nożnej. A co tu dopiero mówić o „świętej wojnie” między Brytyjczykami a Francuzami.

Mimo, że wygląda to bardzo brutalnie, to jednak pojedynki rugby są niewinna rozgrywką w porównaniu do futbolu amerykańskiego, z którego rozgrywek telewizja brytyjska nadaje regularne sprawozdania. Jednak prawdę powiedziawszy dla mnie najbrutalniejszą z prezentowanych przez telewizję gier zespołowych wydał się futbol australijski. To mniej więcej podobne jest do amerykańskiego, który znamy i z naszych ekranów, ale chłopcy zamiast być uzbrojeni w potężne broje ochroniackie, łącznie z kaskami i kagancami chroniącymi szczękę, w australijskim futbolu ubrani są jedynie w podkoszulki.

— Grałem w futbol przez cały czas, gdy chodziłem do college'u — powiedział mi Richard, na stałe mieszkający w Melbourne, gdy razem na ITV oglądaliśmy mecz futbolu australijskiego.

— To znaczy grałeś przez tydzień, a potem przez miesiąc leczyłeś kontuzje i tak przez cztery lata — wtrąciła jego żona Patsy.

— Nie przesadzaj. Nie było tak źle.

— Dwukrotnie złamana ręka, obrażenia żeber, nie mówiąc już o innych drobniejszych kontuzjach.

— Futbol australijski jest grą kontaktową, dla mężczyzn — odparował Richard; potężne dwumetrowe chłopisko, o dloni, jak to się kiedyś malowniczo mawiało — „jak bochen”.

Jednak największą miłością Anglików jest soccer — piłka nożna. I nie ma większego sensu, abym specjalnie się o tym rozpisywał, gdyż każdy kibic w Polsce wie o tej najpopularniejszej, poza Bundesligą, lidze bardzo dużo. Nie ma sensu pisać o wybrzykach angielskich kibiców, bo i o tym wiemy. Ale zdarzają się wypadki, które mogą zadziwić nawet najbardziej zorientowanego.

Przez pewien czas mieszkalem w pobliżu stadionu West Ham United. Drużyna z ambicjami — bożyszcze wschodniego Londynu. Mecz między piłkarzami drużyn z Arsenalu, Tottenhamu czy West Ham, pomijając to, że są czołową ligą, sprawiają, że dzielnice, w których mecze się rozgrywa, przypominają miasta w stanie oblężenia. Radio „Capital” informuje o korkach na ulicach dojazdowych, tysiące „fanów”, w różnokolorowych szalikach i czapczkach, ze śpiewem na ustach przewalają się przez perony metra, policja wspomagana przez starannie wytresowane owczarki alzackie dokładnie sprawdza przed wejściem na stadion każdego kibica.

Znam to zresztą i z polskich stadionów. A gdy kiedyś ze znajomym Irlandczykiem wybraliśmy się na Widzew, to ten zamiast oburzyć się na kontrolę przy furtce wejściowej, uciekł się.

— To zupełnie jak u nas na stadionach piłkarskich — powiedział. — Czuję się jak u siebie w domu.

SENSACJA — ODGRYZŁ PSU UCHO!

Każda dzielnica ma swój tygodnik. Dwie trzecie objętości zajmują ogłoszenia i reklamy. Reszta poświęcona jest sprawom lokalnym, które mogą zainteresować mieszkańców. Nie ma się co dziwić, że sporo informacji dotyczy sportu. Jest miejsce na rekreację, bo Anglicy są narodem bardzo usportowionym, ale oczywiście oczkiem w głowie są drużyny pierwszoligowe. Taką gazetę można albo kupić za parę pennów w kiosku albo dostaje się bezpłatnie, podrzuconą pod próg domu.

W jednym z numerów wychodzących na East Endzie „Newham News”, na pierwszej stronie ogromny tytuł: „O człowieku, który w bestialski sposób odgryzł psu ucho”. Poniżej fotografia odgrzyzionego ucha. Biedny policyjny owczarek ze smętą miną i obwiązany bandażem łbem i dwóch policjantów pakujących brodatę typa do policyjnego samochodu. To właśnie ten brodaty, rewidowany przy wejściu na stadion West Ham United, rzucił się na policyjnego owczarka i odgryzł mu ucho, w ten sposób dając upust swoim agresywnym nastrojom wywołanym przez fakt, że policjanci pozbawili go żelaznej sztabki przygotowanej na kibiców Arsenalu.

Brodaty, nie tylko mecz, ale i parę następnych miesięcy spędził w areszcie, jako że okrucieństwo w stosunku do zwierząt jest przez mitujących naturę i zwierzęta Anglików bardzo surowo karane.

Londyn 12.06.1987



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

13 sierpnia — ROMAN KUBIAK — godz. 10—16

20 sierpnia — PAWEŁ TOMASZEWSKI

— godz. 10—16.

Mimo kanikuły nie spada aktywność naszych czytelników i korespondentów, którzy dzielą się z nami swoimi krytycznymi spostrzeżeniami, prosząc o radę i pomoc redakcji.

Spośród problemów poruszanych w czasie czwartkowego redakcyjnego dyżuru dominują sprawy niedbalstwa i opieszałości, a może i niekompetencji różnych instytucji i urzędów oraz niechęć tychże do wyjaśniania zainteresowanym ich pytań i wątpliwości.

I tak np. dowiedzieliśmy się, że w rejonie ul. Słodowej (w bok od Szczecińskiej), gdzie powstaje kolonia domów pracowników Uniwersytetu Łódzkiego, na samym skraju lasu rozciągającego się na granicy miasta, zaczynają też powstawać domy w samym lesie, który, jak się wydaje, choćby ze względu na ochronę środowiska naturalnego powinien być oszczędzony. A te zaczynające się budowy (wśród których podobno przewidziano uruchomienie warsztatów rzemieślniczych) mogą zagrozić samemu istnieniu lasu. Czy te decyzje powinny zostać wydane? — martwi się nasz czytelnik.

Tymczasem w Zgierzu, na osiedlu Chefmy-Łagiewniki, o którym pisaliśmy w art. „Historia rur zakopanych w ziemi” podobno nadal nic się nie dzieje. Jeden z mieszkańców uświadomił sobie, że oprócz 18.000 zł początkowego zryczałtowanego wkładu, każdy z potencjalnych użytkowników gazu musiał awansem poczynić związane z tym inwestycje domowe, wydając na sprzęt (piece, grzejniki, rury itp.) grubo ponad sto tysięcy zł. Gazu jednak nie ma, mimo obietnic, iż miał być do końca czerwca. Po prostu rzemieślnik, który pobrał za to spory grosz już się więcej nie pojawił (czy nie przewiduje się żadnych sankcji?). A jeszcze i to, że zakupiony sprzęt już dawno stracił gwarancję. A więc — co dalej?

Pan Edward Bartos z ul. Wielkopolskiej 57 poskarżył się nam, że od 5 lat szczyt domu przecieka, woda zalewa górne mieszkania bloku i widać się grzyb. Przewodnicząca PGM Bałuty, która uznaje raczej poszkodowanych twierdzi, że odpowiedni materiał już został zgromadzony, ale są w nim rzekomo substancje rakotwórcze. Wierzymy, że tak jest, ale czy nie da się przed jesienią zgromadzić materiału „normalnego” i uratować blok mieszkalny póki nie jest za późno?

Nadal przysparza sporo kłopotów i udręk ludziom komunikacja miejska. Bardzo rozżalony rozmówca skarżył się nam na wyjątkowo nieregularne kursowanie porannych autobusów linii Z 2, łączącej Rynek Bałucki z Łagiewnicą. Podobno pierwsze wozy wyjeżdżają z zajezdni niekiedy dobrze po godz. 6, a tu ludzie śpieszą się do pracy. Będziemy musieli przez kilka dni z rzędu ustawić się od rana na pierwszym przystanku i sprawdzić czy nie ma przesady w żalach naszego czytelnika...

JERZY KWIECIŃSKI



W SKLEPIE BYŁY

CUKIERKI typu „krochmalni” — bez kartek, po czterech kilkadziesiąt zł za kilogram i wędzłowskie czekoladki „Malaga” — po 1750 zł. Stojąca w kolejkę gruba jeździła z opasym, chłopczykiem wydziwiała nad tą straszną jej zdaniem, ceną. Kogo na to stać, pokrzykiwała, chyba tylko jaki dyktator może z oś kilo kupić... Może była żona ministra i stać ją było na więcej, bo gdy nadeszła jej kolej zażądała kilogram owego „dyktatorskiego przysmaku”. Okazało się jednak, że czekoladki są reklamowane i grubaska musiała zadowolnić się znacznie mniejszą, wynikającą z kartki ilością. I znów rozległy się narzekania, że tylko dzieci bogaczy mogą być zdrowe i syte, bo im tatę zdrowie w prywatnych kioskach czekolady i bananów nakupia, a zwykłe dzieci, to ani połowy tego, co potrzeba nie mają.

ILE CZEKOLADY byłoby

ilością wystarczającą dla zdrowia dziecka? Zdaniem niektórych kobiet, zajętych przede wszystkim powiększaniem obwodu brzucha własnego i członków rodziny zapewne co najmniej dwie tabliczki dziennie. Zdaniem lekarzy i specjalistów od żywienia — o wiele mniej. Wiele z nich — nie tylko u nas, ale i za granicą twierdzi wręcz, że odżywianie dzieci (dorosłych zresztą też) słodyczami jest najprostsza droga do rozwoju różnego rodzaju poważnych schorzeń.

NIE WSZYSTKIE MATKI

słuchają głosów specjalistów — to nie dziwne. Niestety, nie słuchają ich także ludzie decydujący o tym, kto i ile czego ma w ramach kartkowego systemu, zjadać.

Czekolada i rozmaite z niej wyroby okazały się towarami żywnościowymi pierwszej potrzeby — tak przynajmniej można sądzić, po utrzymywaniu nadal systemie kartkowych przydziałów.

CORAZ CZĘŚCIEJ

SEYSZY SIĘ o zbliżającym się terminie likwidacji kartek mięsnych. Poważne gremia zastanawiają się w jaki sposób to bardzo trudna, grożąca rozmaitymi komplikacjami operacje przeprowadzić — i wszyscy zgadzają się, że przeprowadzić ją trzeba. Należy jednak wątpić, czy naprawdę to kiedykolwiek nastąpi, skoro nikt nie ma odwagi zlikwidować bezsensownej reglamentacji czekolady.

TO DROBNE ZDARZENIE

w sklepie zrytowało mnie oczywiście tylko dlatego, że sama — jako już dawno nie-milusińska — nie mogłam kupić „Malagi” — ale przecież w wakacje długo złościć się nie warto. Polecam jako rozrywkę przegląd tygodników z kącikach poświęconych modzie na kolorowych zdjęciach wdzięcznie wyginają się śliczne dziewczyny prezentując na tle słonecznej plaży zabawne kostiumy kąpielowe i mocno wydekoltowane suknie. Z pewnością oglądali te zdjęcia producenci i handlowcy, bowiem teraz, gdy do końca wakacji pozostały zaledwie dwa tygodnie, w sklepach pojawiło się mnóstwo letnich strojów — na plażę i na upalny dzień pracy w mieście. Wiele wśród nich naprawdę udanych fasonów, wybór o wiele większy niż w czerwcu. Warto kupić — i przechować na przyszły sezon, bo tegoroczne lato, przypominające chłodną jesień, wymaga raczej swetrów, kurtek itp. cieplejszych rzeczy, które pojawiają się w sklepach dopiero w listopadzie, kiedy przemysł skończy realizować opóźnione letnie dostawy towarów.

TAKA PRZEZORNOSC

POZWOLI uniknąć zbędnego biegania po sklepach przed następnymi wakacjami. Sama zachowywałam się przeczornie — kupując teraz bez kolejki ładnie i tanie (3 tys.) zimowe botki,

pochodzące z dostaw, które trafiły do sklepu teraz, zamiast w I kwartale 87 — czyli jeszcze zima.

Zresztą może i nie zwróciłabym na nie uwagi, gdyby nie były opatrzone informacją handlową, na której, obok ceny, ktoś z personelu sklepu naszywał: „niezbyt wyraźnie flamastrem: „boby zim, dziewcz.” Jak się okazało — napis ten oznaczał, że bućki, w sposób oczywisty przeznaczone na zimą, bo z wysoką cholewą i na futerku są — botami zimowymi dziewczęcymi.

PRZYKŁADY TAKIEJ

„INFORMACJI HANDLOWEJ” pojawiają się w wielu sklepach, choć trudno zrozumieć, dlaczego wyjaśniać klientom, czym jest i jak się nazywa towar, który dobrze znają. Na dodatek często stosuje się przy tym przedziwne skróty. Dla przykładu — napisy z jednego tylko stoiska w sklepie spożywczym: „ser, wiede.” „plac drożdż.” „tort śmiet.” i „sprucl mako.” (była to sklepowa nazwa strucli makowej).

Na tym samym stoisku, jako największe curiosum, widniała kartka „herb. Rydwans z olejek cytr” — co oznaczało herbate

Ridgeways bez żadnego

olejku. Sprzedawcy nie muszą znać języków obcych — ale przecież powinni umieć przeczytać bezbłędnie na kartonik wydrukowaną na pudełku nazwę towaru. Tylko po co? Każdy przecież wie, jak wygląda herbata a jak — buty. Dobrze byłoby natomiast, aby klientowi pytającemu o cechy jakiegos towaru potrafiły cokolwiek o nim — zgodnie ze stanem faktycznym — powiedzieć.

BYWA Z TYM RÓŻNIE.

Niejednokrotnie zdarzyło mi się, że na prośbę o łagodny ser ekspedientka polecała mi „Tyżycy” lub „Warmiński”. Kiedyś byłam świadkiem, jak klientka pytająca czy stojące na półce, obecnie bardzo rzadko u nas spotykane, wino jest wytrawne czy słodkie, tłumaczono, że „to taki tokaj, napój z alkoholem”.

Na szczęście (?) ciągle nasz rynek do najbogatszych nie należy i niewiele pojawia się na nim nowości, których przeznaczenia nie znalibyśmy sami.

AGATA

Przypominamy!

Konkurs na całe lato trwa do 30 września 1987 roku

NA KONKURS NA CAŁE LATO można przysłać nie więcej niż 10 zdjęć. Powinny być zrobione na wakacjach poza Łodzią. Powinny to być zdjęcia czarno-białe w formacie nie mniejszym niż 13 na 18 cm. Zdjęcia wraz z kuponem z „Odgłosów” przysyłamy do 30 września 1987 roku pod adresem:

„ODGŁOSY”
ul. Henryka Sienkiewicza 3/5, XIII piętro,
90-113 ŁÓDŹ

A oto kupon:

KUPON KONKURSU NA CAŁE LATO
Imię i nazwisko
Dokładny adres
Zgłaszam na KONKURS NA CAŁE LATO zestaw ... zdjęć.

Na przekór

Stanisława Sredzińskiego, Niestety jest ciężko, ale pomimo naszych olbrzymich starań innego lokalu nie udało się zdobyć. Zawsze, kiedy coś mieliśmy na oku, zaraz znajdował się właściciel i okazywało się, że właśnie na coś ten lokal przeznaczą. I tak sprawa lokalu dla nas ciągnie się już czwartą rok.

Z zaciekałem rozglądam się po sali, w której właśnie jesteśmy. W rogu stoją dwa biurka. Obok coś na kształt cyteln. Dalej cała ściana zabudowana szafami, w których z trudem mieści się nie ekspozycyjny księgozbiór biblioteki instrukcyjno-metodycznej. Z drugiej strony biurka fotele i dwie ławy oraz krzesła, które w razie czego są wyposażeniem, zorganizowanego na prędkę, kącika szkoleń i narad. I to już wszystko. Tak wygląda cały Międzyzakładowy Ośrodek Kultury Robotniczej.

Niestety wśród ulic, gdzie w 1905 roku robotnik walczył o prawo do pracy i godnego życia, brak dziś choćby niewielkiego pomieszczenia dla robotniczego aktyw, gdzie czułby się faktycznym gospodarzem — z załem w głosie mówi szef MOKR — Smutna to prawda, tym bardziej, że władze dzielnic i miasta wykazały ogromną wolę w tej sprawie. Smutna, bo w wielu jeszcze zakładach nie zainteresowanych tematem stoją nie wykorzystane właściwie dawne pomieszczenia k-w. Cóż, samodzielność zakładów ma jak widać dwie strony medalu.

Nagle mój wzrok zatrzymuje się na wideo. Stanisław Sredziński natychmiast dostrzegł moje zaskoczenie.

Jak pami widzi nie mamy zbyt wiele przestrzeni. W tej salce jest nasze biuro, biblioteka instrukcyjno-metodyczna, sala spotkań i szkoleń. Zmuszeni byliśmy urządzić się tak, by optymalnie pogodzić wymagania tych wszystkich instytucji.

— To jedyna atrakcja, jaką możemy oferować społecznym działaczom kultury, którzy utrzymują z nami kontakt. A jest nią możliwość obejrzenia raz w miesiącu filmu wideo. To naprawdę bardzo niewiele — wyjaśnia — wobec faktu, że ci ludzie jakże często narażają się na znaczący gest wokół skroni i to przedstawiciele różnych szczebli hierarchii zakładowej tylko dlatego, że chcą potrzebę czynnego uczestnictwa w życiu kulturalnym zakładu pracy.

Zaczęło się to w 1982 roku kiedy Egzekutywa KL PZPR, zgodnie z uchwałą IX Zjazdu, 12 sierpnia podjęła decyzję o powołaniu przy komitetach dzielnicowych, miejskich, gminnych i zakładowych — komisji kultury. Na jednym z kolejnych swoich posiedzeń, 10 sierpnia 1983 roku, ustaliła szczegółowy program działania, dotyczący warunków i stanu społecznego uczestnictwa środowisk robotniczych w kulturze. Wówczas podjęto między innymi decyzję o powołaniu, z inicjatywy instancji partyjnych, zakładowych komisji kultury do końca 1983 roku. Ustalono, że aktyw tych komisji powinien tworzyć się nie na mocy nakazu, ale wynikać z autentycznej potrzeby działania. W jego skład winni wchodzić członkowie partii i bezpartyjni działacze ruchu kulturalnego oraz przedstawiciele załóg i środowisk nie związanych profesjonalnie z kulturą, ale wykazujący autentyczne zainteresowanie jej problemami.

Zadaniem zakładowych komisji kultury jest rozszerzanie profesjonalnych i pozaprofesjonalnych kontaktów twórców kultury z załogami przedsiębiorstw, proponowanie imprez masowych o charakterze wychowawczym, sportowym, turystycznym i rekreacyjnym, określanie potrzeb kulturalnych pracowników i ich rodzin. I stał uprawnienia komisji do wnioskowania o zabezpieczenie bazy kulturalnej i środków finansowych niezbędnych do realizacji programu działania, inicjowania działań zmierzających do zaspokojenia potrzeb kulturalnych załóg, nawiązywanie kontaktów i współpracy z twórcami kultury, instytucjami kulturalnymi oraz komisjami kultury z innymi zakładami pracy.

Kiedy powstał MOKR w Śródmieściu Łodzi działało już 10 zakładowych komórek w formie komisji kultury. Obecnie Międzyzakładowy Ośrodek Kultury Robotniczej stworzył w dzielnicy zespół aktywów robotniczych, reprezentującego potrzeby kulturalne 24 największych zakładów pracy. Jednocześnie z nich posiada formalne zakładowe komisje kultury, a siedem — aktywne grupy dążące do tego formalnego statusu. Pozostałe sześć zakładów wykazuje mniejszą aktywność, która jednak przy współpracy z MOKR gwarantuje ich załogom możliwość korzystania z propozycji kulturalnych. W planach MOKR jest dotarcie do wszystkich zakładów śródmiejskich, które zatrudniają więcej niż 200 osób. Wówczas liczba współpracujących zakładów wzrosłaby do 52.

Ośrodek swoim działaniem stara się nieść stałą pomoc merytoryczną dla komisji zakładowych. Realizuje wspólnie z ich aktywem ciekawe inicjatywy kulturalne, zgłaszane zwłaszcza przez samych zainteresowanych. Po wcześniejszej konsultacji z komisjami MOKR

przystał w swojej pracy kilka stałych form i działań cyklicznych jak chociażby Teatr „R” (prezentacja ciekawych form teatralnych), Kino „R” (uproszczona forma DKF, kino społeczno-polityczne, projekcje filmowe dla dzieci), Galeria „R” (przeglądy wystawy dorobku artystycznego środowiska robotniczego oraz jego zbierackich pasji), zespoły ara np. Międzyzakładowy Amatorski Klub Filmowy „Osemka”. Oczywiście są też inne inicjatywy i przedsięwzięcia takie jak szkolenia dla społecznego aktywu, kursy dla kinooperatorów itp.

Program ten ma szansę pełnej realizacji tylko w przypadku zapewnionej dostatecznej ilości funduszy i odpowiedniej obecnie MOKR tak naprawdę nie ma. Wągle tego problemu dostrzegła Komisja Kultury KD PZPR, która już w listopadzie 1985 roku zwróciła się do Naczelnika Dzielnicy Łódź-Śródmieście „o zapewnienie dla MOKR bazy lokalowej, pozwalającej na realizację planowanych form i stanowiącej czynnik skupiający śródmiejskie zakłady nie posiadające własnych placówek k-w”. Niestety, tej z prawdziwego zdarzenia bazy lokalowej Ośrodek nie posiada do chwili obecnej.

Są ludźmi w różnym wieku, o różnym temperamencie. Mają różne wykształcenie. Są referentami, technologami, mechanikami. Jak to się stało, że znaleźli się właśnie tutaj i teraz? Dlaczego u licha z troską rozmawiają o świetlicach, wystawach, imprezach kulturalnych jakby to były ich problemy osobiste i rodzinne? Po co martwią się jak ścigać ciekawych ludzi, jak zorganizować dyskotekę, za co kupić sprzęt? Czasem chociaż ktoś im powie, że to było fajne. I wtedy wiedzą, że było warto. Często jednak nikt nie powie słowa i wtedy jest strasznie, choć w środku coś szepcze, że to jednak ma sens.

Mówią o sobie, że są takimi don Kichotami, co samotnie walczy z wiatrakami. Przeważnie nie mają do dyspozycji pieniędzy i sprzętu, a jedynie dobre chęci, żeby ludzi zintegrować i po prostu przywrócić do udziału w imprezach kulturalnych. Uważają, że wbrew pozorom ludzie potrzebują ciekawych form wypoczynku. Na poparcie tej tezy podają przykłady interesujących imprez zorganizowanych np. w Przedsiębiorstwie Wodociągów i Kanalizacji Okręgu Łódzkiego czy ZPP „Zenit”, po których ludzie pytają się o następne. Nie chcą opowiadać jakże to było trudno osiągnąć w obecnych realiach gospodarczych, kiedy przede wszystkim liczy się produkcja; kiedy świetlica jest często magazynem. Mówią tylko: „Było trudno. Na szczęście powstał Międzyzakładowy Ośrodek Kultury Robotniczej, gdzie możemy szukać pomocy. MOKR to duża i serce naszej działalności”.

Wiadomość z ostatniej chwili stop być może od września mokr będzie miał nowy lokal stop rozmowy trwają stop jeśli się wszystko uda to mokr przysięgam klub krezus stop wierzę w sukces stop podaję więc nowy adres stop al. kościelzki 47 stop telefon 32-84-40 wew. 208 stop

EWA LACHOWSKA

SPÓŁEM WSS ŁÓDŹ
Oddział Spółdzielczych Domów Handlowych

„CENTRAL”

ZAPRASZA

DO SWOICH STOISK W SDH

przy ul. Piotrkowskiej nr 165, ul. Piotrkowskiej nr 100 oraz w Fabrykach przy ul. Kilińskiego 1, i ul. Marchlewskiego 18.

— Patronaty czołowych firm przemysłu lekkiego, elektro-mechanicznego i metalowego.

— Szeroko prowadzone wymiany z ZSR, ChRL, WRL, CSRS, NRD, Austrii, Holandii, RFN.

— Fachowa i kulturalna obsługa

GWARANTUJĄ UDANE ZAKUPY

ZAPRASZAMY

1769 k

1.

Widziałam już na stadionach i boiskach różne rzeczy. Bywało, że ktoś płakał z radości, bo nie spodziewał się wygrać. Bywało, że płakał z goryczy, bo spodziewał się wygrać, ale spotkał kogoś lepszego. Ale w Rzeszowie na zakończenie 44 Wyciągu Dookoła Polski zdarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego. Wygrał ten wyciąg Zbigniew Piątek z kieleckiej Korony, a wygrać miał Marek Lesniowski. Zwycięzca płakał jednak nie dlatego, że niespodziewanie wygrał, ale dlatego, że koleś mu dokuczał. Wygrał bowiem z tego powodu, że sędziowie nie uszanowali wcześniejszych postanowień trenerów i działaczy. Markowi Lesniowskiemu wydawało się, że skoro został „wypytany” do zwycięstwa, to wszystko mu wolno i regulamin 44 WDP interpretował w sposób bardzo swobodny.

Zbigniew Piątek dostał w Rzeszowie fiata 126p, a gratulacje złożył mu Ryszard Szurkowski. Zwycięzca ma 21 lat, chłopięcą sylwetkę i jest utalentowanym kolarzem. Jego trener Jan Mela twierdzi, że za jakieś trzy lata będzie ze Zbigniewa Piątka mistrz świata. Ale od początku 44 WDP nic nie wskazywało, że akurat ten kolarz zwycięży.

Był to w ogóle bardzo dziwny Wyciąg Dookoła Polski. Tomasz Jaroński w „Przeglądzie Sportowym” zapytał nawet: „komu ten wyciąg jest potrzebny?”. Odpowiedział sobie i innym, że właściwie nikomu, bo ani kolarzom, ani działaczom, ani trenerom. Główny sędzia 44 WDP Jean Marie Perard z Francji przez cały czas dziwił się i dziwił, i przyznawał, że nie z tego nie rozumie. Wyciąg ma przecież międzynarodową obsadę, co prawda bardzo niskiej klasy, ale zawsze. Zatem — rozmawiali na przykład Jugosłowianie — trzeba się ścisnąć. I bardzo dziwił się, że Polacy im to uniemożliwiają, że obrażają ich nie tylko słowem publicznym, ale i... owocami. Polacy wiedzieli bowiem, że wszystko zostało już dawno ustalone i teraz trzeba tylko dokładnie wykonać instrukcje. Ale widąc sędziów mieli inne instrukcje i nie wszyscy dokładnie zrozumieli o co chodzi, gdyż skończyło się to inaczej niż założono.

Z 44 WDP szybko wycyfali się kadrowicze Ryszarda Szurkowskiego: Zdzisław Wrona, Andrzej Serediuk, Mieczysław Karłowicz, Marian Goldym i Andrzej Mierzejewski. Tego ostatniego — jak twierdzą fachowcy — nazbyt się ostatnio eksploatuje, trudno się więc mu zdziwić, że sam zaczyna szanować swoje siły i zdrowie. Ci z kadry, którzy pozostali, nie nic nie pokazali. A zwycięzca?

Sport

Lzy zwycięzcy i naiwność kibiców

W prologu przewrócił się i był... 108, po I etapie — 84. Najlepsze miejsce zajął na IV etapie — 19. Poza tym daleko od czołówek. A mimo to wygrał. Trudno się więc mu dziwić, że w Rzeszowie płakał. Zapewne z żalu, że go tak „urządzono” i z wdzięku, że to zwycięstwo zawdzięcza układowi, a nie własnym siłom. Jak na początek kariery dobrze zapowiadającego się kolarza, to raczej mało wesołe. Śmiać się w każdym razie nie ma z czego. Lepiej zapłakać z bohaterem tej ponurej farsy.

Ponieważ Wyciąg Dookoła Polski rozgrywany jest przed mistrzostwami świata, podporządkowuje się go niejako treningowo tej imprezie kolarskiej. W tym celu jeden z etapów poświęcono na jazdę drużynową na czas, w której triumfy święciła kadra Ryszarda Szurkowskiego. Tomasz Jaroński obliczył, że gdyby odzyskał ten etap, to 44 WDP powinien wygrać Czesław Łukasiewicz. Ale jazda na czas była faktem i nie ma co wróżyć z fusów i domysłów.

44 WDP potwierdził jeszcze raz, że źle się dzieje w polskim kolarstwie, a także „pomysł” jakiego zaprezentowano na trasie dookoła Polski nie pognał wyjść z kryzysu. Raczej przeciwnie!

2.

Wprowadzić w kalendarz ciągle jeszcze sierpień, ale za oknem jesień i na boiskach piłkarskich jesień. Z pewną nadzieją oczekiwano inauguracji nowego sezonu I ligi, ale zapowiedzi, tak na szczeblu PZPN, jak i klubów nie nowego nie zwiastują. Trener warszawskiej Legii — Jerzy Engel przyznaje, że nie będzie łatwo, bo postanowiono korzystać z własnych wychowanków i piłkarzy innych warszawskich klubów, co rezultaty powinno dać z pewnym opóźnieniem. Ale będą się starać, aby kibice byli zadowoleni. Tak się zawsze mówi, a naiwny kibic ma zawsze nadzieję.

Leszek Jezerski natomiast zapowiedział mistrzostwo Polski na 80-lecie ŁKS. Powiało optymizmem. Ale czy ma ten optymizm jakiegoś realnego uzasadnienia? Prezes PZPN, zapytany o swoje typy na koniec rozporządzenia się sezonu, powiedział: Legia Warszawa, Pogoń Szczecin, Śląsk Wrocław. ŁKS w tych typach nie ma. Ale prezes też człowiek, może się mylić. Piłkarze ŁKS ruszyli jak burza i pokonali szczecińską Pogoń różnicą 3 bramek (4:1), awansując zrazu na I miejsce. Początek dobry, ale co dalej?

Prezes PZPN — Zbigniew Jabłoński zwołał na otwarcie sezonu konferencję prasową, na której zapowiedział, że w marcu 1983 roku ogłoszone będą nowe zasady rozgrywek ligowych. Liczba drużyn I ligi ma spaść do 14 albo nawet do 12. W tym roku nie się nie zmieni. PZPN będzie konsekwentnie stał na straży przepisów. Pytanie tylko, czy to będzie konsekwencja sezonu ubiegłego, czy też jakościowo wyższa? Koniec na przykład z przechodzeniem z klubu do klubu bez umieszczenia uprzednio zawodnika na liście transferowej. Zbigniew Jabłoński zapowiedział, że przyjrzy się uważnie transferowi Krzysztofa Barana z ŁKS do Górnik Zabrze. A nie można było wcześniej?

I wreszcie rewelacja! Oto własny sprawozdawca „Expressu Ilustrowanego” podpisujący się PAS napisał: „w szczególności jaskrawych przypadkach naruszania zasady czystości gry, do akcji wkroczy Milicja Obywatelska”. Jezus! Czego to mwy już od tej milicji nie chcemy? No, dobrze, a co będzie robił na boisku sędzia piłkarski? A co władze klubowe? Zresztą prokuratura w Lublinie i Elblągu umorzyła sprawę z powodu braku wystarczających dowodów, podobnie jak sprawę oskarżenia ŁKS o kupienie meczu w Radomiu.

PZPN na początku sezonu piłkarskiego ogłosił apel o głębokie przemiany w sporcie z okazji roku olimpijskiego. O skuteczności apeli w naszym życiu, to ja już mam określone zdanie i chyba wszyscy inni — poza autorami tych akcji — też. Ale apel PZPN może kibicowi służyć również jako rejestr negatywnych zjawisk w polskiej piłce nożnej. PZPN apelując o sportowy tryb życia i podnoszenie kwalifikacji przez sportowców, o troskę o szkolenie i postawy godne trenerów, o obiektywność sędziów, i o sportowy duch rywalizacji u działaczy — przyznaje tym samym, że czegoś takiego brakuje zawodnikom, trenerom, działaczom i sędziom. Co zresztą przyznał szef polskich arbitrów piłkarskich Stanisław Ekstajn w wywiadzie dla „Przeglądu Sportowego”, demonstrując jednocześnie pełną beznadzieję. Na pytanie Macieja Polkowskiego, czy „daby pan głowę za uczciwość wszystkich swoich podopiecznych?” — odpowiedział: — „Ja z bólem stwierdzam, że swojej głowy nie położę”.

Sezon — jak z tego widać — zapowiada się ciekawie.

BOGDA MADEJ



Przerwa śniadaniowa

Kryminal za pięć dych

— A gdzie to pan Henio? Nie ma go od rana — pani Lala zwróciła się do pana Zenka z niepokojem w głosie.

— Zwolnił się, droga pani. Poszedł do MPK zapłacić mandat za jeżdżenie na gapę!

— Nie na gapę, nie na gapę, panie Zenku — pan Dareczek zwracał się do pana Zenka coraz częściej z nie ukrywanym zniescierpliwieniem albo i poirytowaniem. Pan Zenek kładł to na karb zadróżki, trawicę pana Darka po jego, pana Zenka, chlubnym awansie na zastępcę kierownika sekcji... — jechał autobusem pierwszego sierpnia, zapomniał włożyć do miesiecznego biletu kupon na sierpień i akurat, dajmy na to, trafił na kontrolera. Nic nie zapłacił, skierował go do swojego znajomego z Tramwajowej, wszystko się wyjaśniło i nie będzie płacił.

— To się pokaże! Przepisy trzeba przestrzegać... — Trzeba przestrzegać przepisów, panie Zenku, a nie przepisy...

W tym momencie wszedł pan Henio, wyraźnie zadowolony, choć nieco zdyszany. Otarł pot z czoła i zwrócił się do wszystkich:

— Bardzo przepraszam, ale tam była kolejka. Pańskiego znajomego, panie Dareczku, nie spotkałem. Ale i tak rozeszło się po kościach. Bez żadnej protekcji zapłaciłem tylko 50 złotych. Po prostu, jest to nagminne w pierwszych dniach miesiąca. Właśnie z takich jak ja zapominałskich składała się kolejka. Nic nie trzeba tłumaczyć ani wyjaśniać, w okienku podaje się abonament i mandat wypisany przez kontrolera, płaci się 5 dych i dostaje taki bilet, o taki, ze stemplem „50 zł” i po krzyku...

— Ale mandat miał pan wystawiony na 1200 złotych? Nic nie rozumiem — panna Kalinka wzruszyła ramionami.

— Nie po raz pierwszy. Ten kontroler nawet nie proponował mi, żebym zapłacił. Zaraz zaczął wypisywać mandat. Wiedział, że pójdę nazajutrz na Tramwajową i zapłacę tylko 50. Właściwie, to ja też nie nie rozumiem — pan Henio przybrał gapiowaty wyraz twarzy i pytając spoglądał na pana Dareczka — a pan? Rozumie pan?

— Pan Zenek, dajmy na to, rozumiem i wszystko zaraz wyjaśnię...

— To proste — pan Zenek poprawił się w krześle — Zgodnie, prawda, z literą prawa, jest pan, panie Heniu, winien wykreślenia. Kontroler nie wie, czy pan wykupił ten kupon czy nie. Wobec prawa, prawda, jedzie pan bez ważnego biletu. Natomiast MPK rozpatruje wniosek pana sytuację, jako, prawda, obywatela nieposzlakowanego i wymierza panu łagodną karę, prawdę, porządkową...

— Dlaczego tej kary nie mógł wymierzyć od razu kontroler? Po cholere, człowiek się denierował i tracił czas na Tramwajowej? To nam pan, panie Zenku, dajmy na to, wytłumacz?

— Kara jest łagodna, więc w celach wychowawczych, prawda, taki obywatel zapominałski musi się trochę potrudzić. No i musi udowodnić swoją niewinność. Choć do końca nie jestem przekonany, czy w danym wypadku jest niewinny. W momencie przejazdu nie posiadał, prawdę, ważnego biletu uprawniającego go do przejazdu!

— Urzędnicy w MPK myślą toczka w toczkę jak pan, panie Zenku: każdy jest winny dopóki nie udowodni swojej niewinności. A jakby tak mieć odrobinkę zaufania do obywatela? Zresztą, pal diabli zaufanie. W tej kolejce stało kilku czy kilkunastu takich refleksantów na bilet za pięć dych. Każdy z nich gdzieś pracuje, musi się zwolnić, przyjechać, odstąpić kolejkę. Czy gospodarce narodowej opłaci się MPK-owska podejrzliwość za pięć dych od lebaka czy raczej, dajmy na to, przykniecie oka, za te same, dajmy na to

pięć dych, tylko inkasowanych przez kontrolera, bez wdróżki na Tramwajową. A każdy z tych ukaranych pracowałby, zamiast tracić czas bezproduktywnie? Co się nam, panie Zenku, per saldo dajmy na to, opłaci?

Pan Zenek nie nie odpowiedział. Pan Henio natomiast zmienił temat:

— Opowiadał mi znajomy z Lubelskiego, że Urząd Gminy w jego miejscowości napisał w rocznym sprawozdaniu, że urzędnicy — a jest ich trzydziestu — załatwili w ciągu roku 75 tysięcy spraw. W tym wydali 60 tysięcy kartek. Zatem, poza wydawaniem kartek, każdy urzędnik załatwił pięćset spraw rocznie. Średnio dwie sprawy dziennie...

— Panienska z odcienka w MPK załatwia dzisiaj, dajmy na to, piętnastu takich facetów jak pan! W tej gminie na Lubelszczyźnie byłaby za przodownicę pracy!

KAROL M.



Lewym okiem

Zamknąć miasto?

Wszystkie maszyny i urządzenia w zakładach przemysłowych, handlowych, transportowych i innych sprawdzane są dokładnie co do tego czy zagrożają bezpieczeństwu ludzi tam pracujących. Chodzi tu zawsze niejak o konkretne ludzi i konkretne maszyny czy urządzenia. Podobnej troski o bezpieczeństwo ludzkie nie widać natomiast w odniesieniu do tych okoliczności, gdzie zagrożonym jest ktoś anonimowy, ktoś przypadkowy. Jak gdyby zakładano się, że przecież poszkodowany nie musiał tam się znaleźć, gdzie akurat spadła zle przymocowana rynna z dachu i uszkodziła mu głowę. W takich wypadkach przeświadczenie inspekcji i kontrole wkraczają z reguły ex post — za późno.

Kiedy dziecko utonie w dole wapiennym podnosi się krzyk, że dół był siabo zabezpieczony. Ktoś widocznie uznał, że obok dołu z wapnem nie ma placu zabaw dla dzieci, więc po coś specjalnie chronić przed dziećmi dół.

Kiedy w Warszawie przewróciła się karuzela i naraziła na potłuczenie kilkoro dzieci, kiedy w Łodzi ze zjeżdżałni spadł kilkunastoletni chłopiec i stracił życie postanowiono nagie przebadать wszystkie urządzenia rozrywkowe w wielkich miastach pod kątem ich bezpieczeństwa. W Warszawie i w Łodzi będą to badania już znowu spóźnione, w innych parkach rozrywkowych stać się mogą kontrola zapobiegawcza, która — miejmy nadzieję — przyniesie zmniejszenie wypadków na przyszłość.

Nie trzeba wielkiej wyobraźni, żeby przeznadzać się po mieście widzieć bardzo wiele zagrożeń czyniących na przypadkowych przechodniów. Może nie są to zagrożenia tak groźne jak na rozpadzonej karuzeli, ale przecież są konkretne i czynią na nas co krok. Kiedy nadjeżdża słońce lato chodzę po przynajmniej ulicach nie tylko Łodzi, pochylony jak w permanentnym ukłonie. Markizy zawieszane nad oknami wielkich sklepów zwisają tak nisko, że przy moim wzroście nieuchronnie byłoby zderzenie się, o czywiście groźne dla mnie, nie dla markizy. Tych zasłon wisi wprawdzie coraz mniej, niedługo wykruszą się do reszty i wtedy od tej strony przestanie nam cokolwiek zagrażać. Ale są jeszcze drzewa, piękna ozdoba miasta, ale sadzone często tak, że ich gałęzie wiszą nad chodnikiem i nie można ich ominąć. Wiszą tak nisko, że trzeba pod nimi przechodzić nieomal w półprzysiadzie. Nikt ich nie przycina i nie wiem, czy jest ktoś kto to przycinanie by nakazał i potem by tego dopilnował.

Przed wieloma wystawami sklepowymi okna piwnic osłonięte są kratami, które dawno przestały spełniać swą rolę, kraty są wyłamane, zapadnięte, można tam wpaść z głową. Podobnie jest z otworami wielu kanałów, studzienek telefonicznych, z zapadniętymi płytami chodnikowymi — czy jest jakaś instancja, która takie rzeczy dostrzega i alarmuje tam, gdzie trzeba? Jest mnóstwo uciążliwości, o których dawno przestały pamiętać wielkie miasta państw solidnie urządzonych i przestrzegających elementarnego komfortu ludzkiego życia. Od nas ten komfort się oddala. Nie można dopuścić, żebyśmy wrócili do sytuacji, kiedy „jestem nieuważny i nieostrożny — twoja wina”.

Czy mamy czekać aż wydarzy się parę niefortunnych wypadków? Czy wtedy zamknijemy na kolek miasto jak lunapark po to, żeby sprawdzić wreszcie wszystkie te pułapki i nakazać ludziom odpowiedzialnym ich usunięcie?

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

P.S. W moim felietonie o Grydzewskim w Londynie napisałem, że Hlakowiczówna przebywała na Węgrzech. Witold Borowy, polemizując z moim felietonem, napisał, że „felietonista powinien być niebylewale precyzyjny” i że Hlakowiczówna przebywała w Rumunii nie na Węgrzech.

Otóż część Transylwanii rumuńskiej, w której schroniła się pisarka po klęsce wrześniowej została układowo włączona do Rumunii w marcu 1945 roku. W okresie kiedy Grydzewski przebywał w Londynie korespondował z Kazimierzem Hlakowiczówną znajdowała się ona w granicach państwa węgierskiego.

Wszystko to wyczytać można we wspomnieniach poetki pod tytułem „Trzymięski zajac”.

Piszę to gwoli „niebylewałej precyzyjności felietonisty”.



Spojrzenie znad szachownicy

Gra w punkty

W jednych instytucjach słychać stuk liczydeł, w innych preferowany jest znany jeszcze ze szkoły podstawowej system sumowania słupków, tam zaś, gdzie zawitał postęp techniczny, stosowane są nawet minikalkulatory. Dodajemy 30, 40, oraz — powiedzmy — 15, no i wychodzi nam 85, ani mniej, ani więcej.

Tak, w niejakiem uproszczeniu, przebiega wprowadzanie Uniwersalnej Metody Wartościowania Pracy — UMEWAP, która ma zapobiec praktykom wyższego wynagradzania młodszej pomocniczej średnio starszej referentki niż — dajmy na to — brygadzysty z dużym doświadczeniem i bezspornym talentem organizatorskim.

„Szczęśliwy ten, kto wierzy — przytulnie mu na świecie”, napisał był Gribojedow w „Madremu biada”, nie chciałbym temu podważać ufnosci w skuteczność systemu zanim jeszcze został on powszechnie wprowadzony w życie. Jest to z pewnością dobry krok w dobrym kierunku jednak co najwyżej pierwszy, nie zaś ostatni, raz na zawsze załatwiający wszystko.

2.

Wysoko rozwinięte kraje kapitalistyczne, które ocale miały wyprowadzić nas w organizację produkcji, też znają o-

czywiście rozmaite metody wartościowania pracy, a nowo angażowanych przepuszczają przez całą maszynę skomplikowanych testów. Gdy jednak ktoś sprawdził się na zajmowanym stanowisku, cała ta zabawa przestaje obowiązywać. Szef koncernu ma prawo powiadzić dyrektorowi Takiemu-A-Takiemu, ile mu daje i czego się po nim spodziewa, nikt nie wpadnie jednak na pomysł, żeby pan Taki-A-Taki zamiast wydajnie pracować robił po nocach doktorat, bo to da mu dodatkowe „plusiki”. Również od Daniela Olibrychskiego żaden reżyser w kraju, a tym bardziej na Zachodzie nie żąda magisterskiego dyplomu, którego o ile wiem artysta nie posiada. Wystarczy, że potrafi — straszyć tu znane powiedzenie Leona Schillera — „dobrze przedstawiać na ekranie”.

3.

Nie chciałbym buszować po rodzimym, a więc prasowym podwórku, trwają tu bowiem dopiero przymiarki do wprowadzenia UMEWAP-n wyrażę jednak myśl dość światoburczą postępującą się przykładem kolegów. Otóż skoro grupa młodych ludzi z Teleexpressu sprawdziła się robiąc audycję masową ogladaną i ogromnie popularną, żadne punkty nie są im już potrzebne. Telewizja powinna po prostu godziwie płacić pomienionym i pilnie baczyć, aby najzdolniejsi nie poszli do p/o konkurencji, na przykład do firm polonijnych na rzeczników prasowych, szefów radiowęzłów, sekretarzy osobistych dyrektora i temu podobnie.

4.

Oczywiście można powieść, że autor tych słów na organizacji i wartościowaniu pracy ani trochę się nie zna, dopisując mu punkty ujemne za obrazę naukowych majestatów. Dlatego przeniosę się na teren, na którym czuję się dość mocny — szachów mianowicie.

Od wielu już lat znany jest system rankingowy profesora Elo, który niezwykle precyzyjnie wyznacza miejsce zawodnika w światowej hierarchii. Tu nie ma żadnej dowolności, wygrana jest bowiem wygrana, remis remisem, a jeżeli ktoś z wysoko notowanych mistrzów przegra z graczem sklasyfikowanym znacznie niżej, traci rankingowe punkty, zaś zwycięzca — zyskuje.

Tak się też składa, że aktualny mistrz świata zajmuje na rankingowej liście miejsce pierwsze, wicemistrz drugie, jednak już nie „...i tak dalej”. Hierarchia wynikająca z wyników rozgrywek o tytuł mistrza świata wykazuje inną kolejność, lista rankingowa — inną. Tajemnica jest prosta: do rankingu liczą się wyniki wszystkich międzynarodowych turniejów, również tych mniej ważnych, natomiast rozgrywki o tytuł mistrza świata prowadzone są systemem pucharowym, a pokonany w meczu odpada.

Są gracze, którzy potrafią zmobilizować wszystkie siły do ważnego pojedynku, inni przeciwnie — grają świetnie, „zjadają” ich wszelkie nerwy i w decydujących starciach zawodzą. W rankingu im to nie przeszkadza, straty powetują bowiem sobie gdzie indziej, w walce o szachową koronę nie liczą się jednak zupełnie. Można zdobyć wiele rankingowych punktów, a nie mieć szans na tytuł mistrza świata, nie nadawać się na dyrektora cyrku, albo nawet nie umieć napisać artykułu, który ktokolwiek chciałby przeczytać. Jest to bardzo dziwne, ale jednak prawdziwe.

5.

Z tego wszystkiego wychodzi mi jedno: Uniwersalna Metoda Wartościowania Pracy ma szansę zaowocować, jeżeli całą tę operację wesprze coś, za co nie przysługują ani punkty, ani pieniądze, ani żadne inne korzyści. Myślę o wartości dość staromodnej, z której w trudnych chwilach trzeba jednak korzystać — jest nią zdrowy rozsądek.

JERZY P.

Adam Ochocki wspomina co było pół wieku temu

Popatrzenie na mapę fizyczną Azji. Ten ciemnobrazowy łańcuch górski na granicy Tadżykistanu i Afganistanu — to Pamir, poddasze świata, pokryty wiecznymi lodowcami i śniegiem. U podnóża tego giganta, z najwyższym szczytem sięgającym siedmiu i pół tysiąca metrów nad poziomem morza, przycupnęła niewielka osada Chanaka w rejonie gissarskim. To tutaj autor tych wspomnień sprzed pół wieku przeżył trzy długie lata, z dala od swego rodzinnego miasta i zgiełku wojny.

Z nie tajonym wzruszeniem przywodzić na pamięć pobyt w tej zagubionej w sercu Azji Srodkowej miejscowości, gdzie różnie losy mnie darzył, raz na wozie, raz pod wozem (dosłownie), ale przecież przeżyłszy tu z Ludmiłą najszczęśliwsze chwile, bo tutaj przyszła na świat nasza kochana córka...

Nie okłamałem komendanta wojskowego go-rada Krasnowodzk, kiedy to, jakby wiedziony intuicją, wyraziłem chęć dołączenia do swoich. W Chanaka przed naszym przybyciem osiedliła się spora kolonia polska. Ponad dwadzieścia rodzin z małymi i dorastającymi dziećmi znalazło tu przystań życiową. Walkucy, Pobereżni, Jablonkowie, Wąchoccy, Wajzerowie...

Już na stacji kolejowej usłyszałem znajomą mowę i po chwili paru rodaków ścisnęło nam ręce.

— Witajcie w dalekiej obczyźnie! Jesteśmy tu już od dwóch tygodni. Można żyć, o mieszkaniu nie trudno. Rosjanki, których mężowie poszli na front, chętnie odstępują pokoje. Tadżycy są gościnni, ale z nimi trudno się porozumieć. Poza tym ich tryb życia, obyczaje, różnią się bardzo od naszych.

Opowiedzieli o swych przeżyciach od chwili aresztowania pamiętnego lata 1940. Rodziny, w odróżnieniu od odinokich, internowane w posiadłościach, zamkniętych wioskach. Mieli większą swobodę, mogli poruszać się na dość dużym terenie. Za pracę dostawali wynagrodzenie w gotówce, częściej w prowiantach. Spali wygodnie, ale gdy nam kuchnia wydawała gotowe potrawy, żony, siostry i matki siemieniny same musiały się o to troszczyć. Mężczyźni pracowali, na barkach kobiet spoczywał ciężar prowadzenia gospodarstwa domowego. Znajomy komendant powiedział im, że wszyscy mieliśmy zaoczne wyroki po ośmiu lat za... nielegalne przekroczenie granicy.

Tu aż się prosi anegdota z owych czasów, z ponurego okresu beriozszczyzny.

Spotyka się dwóch grażdian.

— Kopeć lat, kopeć lat! A gdzie to szanowny obywatel się podziewał?

— Siedziałem...

— Coś takiego. Jak długo?

— Pięć lat.

— Za co?

— Za nic.

— To niemożliwe. Za nic dają dziesięć!

A z mieszkaniem rzeczywiście poszło gładko. Naszą czwórkę przygarnęła pod swój dach Marusia, rodem z Ufy. Jeden pokój zajęli Griszka i Masja, w drugim rozlokowali się z Ludmiłą. Gospodyni okazała nam dużo serca i wyrozumiałość. Była przypuszczalnie, cierpiała na chorobę św. Wite.

Po niefortunnym debiucie za kółkiem we Lwowie i Czepru postanowiłem nie próbować już szczęścia w zawodzie kierowcy, tym bardziej traktorzysty. Do pracy nie spieszyłem się. Mieliliśmy trochę oszczędności, na przydziały kartkowe starczyło, było co włożyć do garnka, tylko nie było czym... napalić pod kuchnią.

Kłopoty z opałami okazały się problemem numer jeden. Węgla w ciągu tych kilku lat nie widziałem na oczy. Drewna — ani na lekarstwo. Tadżykistan jest zalesiony zaledwie w kilku procentach, a w najbliższej okolicy, bogatej w sady owocowe, nie rosło ani jedno drzewo na opał.

Dziwny jest ten świat! W Rybińsku lasy przytaczały nas swą obecnością, gdzie się człowiek ruszył — sosny, brzozy, buki, po nocach śniły się nam potwornie rozgałęzione drzewa, a tu nic, pustka...

Miejscowa ludność radziła sobie jakoś. Pod kuchnię spalano ścięte, wysuszone krzaczki bawelny, ale za wiązkę takiego „chuzopaju” trzeba było słono płacić.

— Zabierz się do lepienia kiziaków — doradziła Marusia.

Kizaki to prasowane cegły z gnoju, używane na opał. W Chanaka produkowano je domowym sposobem na własne potrzeby. Rano, gdy krowy wychodziły na pastwisko wędrowały za nimi gromady kobiet, przeważnie Rosjanki, i skrzętnie podbierały placiki pozostawiane przez ich karmicielek. Dochodziło do kłótni, nieraz kobiety dawały się za włosy.

— To moja korowal! Uchadi!

— Nieprawda, sama widziałam, że to z mojej krowy!

A ja, jak ten wróbel, co przy stadzie gruchających gołębi zawsze coś sobie uszczęknę, krążyłem z wiaderkiem wśród kłócących się i nigdy z pustymi rękoma do domu nie wracałem.

Produkcję kiziaków oparłem na receptę udzieloną mi przez gospodynię. Dół w ziemi wypełniałem krowim i końskim nawozem w proporcji pół na pół, zaprawiałem to sieczką słomą i gdy inni miesili masę nogami, używałem do tego celu starej warzawki, po czym surowiec wkładałem do blaszanej miski i, jak bawiając się w piasku dzieci, stawałem baki. W promieniach silnie opalającego słońca kizaki szybko twardniały, już na drugi dzień nadawały się do użytku. Dzięki moim wytycznym wysiłkom sarajczyk Marusi nigdy nie świecił pustkami.

Pokoju nie trzeba było opalać. Lato w Tadżykistanie trwa długo, zima przypomina naszą wczesną jesień, temperatura prawie nigdy nie spada poniżej zera. Śnieg widziałem bodaj dwa, trzy razy w ciągu całego pobytu. Suchy, podzwrotnikowy klimat dawał się Polakom we znaki. Deszcz tygodniami nie zraszał popękanej ziemi, a przecież rośliny bez wilgoci więdną, życie zamiera, tutaj zaś — gdzie sięgnąć okiem — złoście lany puszki, wybujałe nacie ziemniaków, wszystko rośnie, kwitnie, dojrzewa.

Sprawnie działał system irygacyjny zasilany przez liczne rzeki płynące do tej największej Amu-darii. Nawet właściciele przyzagrodowych działek nie narzekali na brak wody. Cały teren osady przerzynały aryki, kanały, do których spływała woda z topniejącego śniegu na zboczach gór. Tadżycy opasują swoje działki spiralnymi brudami i gdy chcą wpuścić na nie wodę, wstawiają zapórę w poprzek aryku za swoją ziemią. Woda nie mając naturalnego ujścia opływa ich działkę, a gdy już obficie zrosi ziemię, zapórę wyjmują się, woda płynie dalej swym korytem, by zapewnić po drodze roślinności sąsiadom.

Wodę z aryku czerpaliliśmy do celów jadalnych. Nawet w największe upały była świeża, chłodna, podobnie jak ta, która płynęła w naszych górskich potokach. Zdarzały się komplikacje. Gdy nabierałem wodę, akurat jakieś krowie czy owcy zachciało się wejść do aryku i zalać swą potrzebę. Jeśli działo się to za mną, nie przejmowałem się, ale jeśli zwierzę rozkraczyło się przede mną, musiałem zmienić miejsce omijając niesforne stworzenie.

zytko przyswajałem sobie tadżyckie słowa, zwłaszcza te najważniejsze, do użytku na co dzień. Non — to chleb, bilmaidi — nie rozumiem, beladi — rozumiem, bor — tak, jog — nie, apa — siostra (że brat — aka, już wiedziałem), ata — ojciec, ama — matka, kizykna — dziewczynka, baranczuk — chłopiec, kursak — żołądek. Nauczyłem się biegle liczyć: bir, ikki, ucz, tur, biech, sakkis... tukkus... Udało mi się nawet kleić całe zdania.

To otrzaskanie się z tak trudnym do opanowania dla Europejczyka językiem oddawało mi szczególne usługi przy transakcjach handlowych, bo chociaż Tadżycy rozumieli i mówili od biedy po rosyjsku, chętniej szli na u-

dal wołała: „Gorlacz lepszka! Gorlacz lepszka!”

Co u licha? W jaki sposób udaje się jej tak długo utrzymywać temperaturę swych smakolików?

— A nu-ka, apa, dawaj ikki lepszka! — wyjałem dwadzieścia rubli.

Podniosła się z koszyka, na którym siedziała i spod pupy wyjęła dwie ciepłe lepieszki. A więc tak jak krowka swa pisklęta ogrzewała placik własnym ciałem.

Ceny lepieszek, kiaty, zwykłego mleka i innych drobnych artykułów utrzymywały się na jednakowym poziomie. Tutaj na nie zdawało się targowanie. Natomiast przy nabywaniu mięsa, drobiu, owoców nie tylko można było, ale należało się potargować. Tadżycy za nie miałyby klienta, który od razu zapłacił żadaną sumę. A ubijanie interesu odbywało się w następujący sposób.

— Czam pul? (ile to kosztuje?) pytał reflektant wskazując upatrzonego towar, a gdy sprzedawca podawał cenę, tamten chwycił go za rękę i potrząsał nią wymieniając swoją. Tadżycy obniżał, kupujący podwyższał, cały czas ręce wędrowały w górę i na dół, aby wreszcie po kilku minutach tych zapasów dobić targu.

Na uboczu rozłożył się z koszem pełnym zielonych ogórków stary Ormianin. Ogórki to narodowy przysmak Rosjan, nie brakowało więc klientek. Ale trafiała się jedna wyjątkowo grymaśna. Przebiegała w koszu, jak w ulgalkach. Każdy ogórek brała do ręki, obmacywała ze wszystkich stron, odkładała, sięgała po następny. Ormianin flegmatycznie żuł tabakę, przylgając się spokojnie tym manipulacjom. Wreszcie jego cierpliwość wyczerpała się.

— Nie mnyj, nie mnyj... — wycedził wypływającą tabakę. — Eto ne... bolszyj ne budet...

Razem ze mną przypatrzywał się tej scenie sympatyczny rudzielec. Na odzywkę Ormianina

U stóp Pamiru

stępsztwa, kiedy zwracano się do nich w ich rodzimym języku. A w ogóle to oni i my, we wzajemnych kontaktach posługiwaliśmy się swoistym wolaupkiem, przypominającym mowę Kalego z „W pustyni i w puszczy” — bez uwzględnienia przypadków, czasów, rodzajników.

Gdy powołano Tadżyków na ćwiczenia wojskowe, jeden z poborowych użalił się przede mną:

— Moja niczego nie ponimając. Odin człowiek — odin wintowka, odin chleb — cztery człowiek!

Największe pole popisania się erudycją miałem na targowisku, centralnym miejscu zakupów. Pojedynczy sprzedawcy przychodzili codziennie, ale dniem uświęconym tradycją targów był piątek. Rynek pokrywał się mrowiem sprzedających i kupujących. Produkty przywozili zarówno pracownicy kolchozów i sowchozów, jak i właściciele działek, na których hodowali różne warzywa, owoce, kukurydzę.

Od samego rana ciągnęły ze wszystkich stron ciężarówki i zaprzęgnięte w konie wozy. Działkowicze przywozili towar na izałkach, osłach, większych i mniejszych niż nasze. Objuczonego workami osia doświadał Tadżycy, pomagając go kluciem patyka w grzbiecie i cmokając „Chch, cy, cy”, a z tyłu deptała za nimi mardżion, żona w szarawarach, chałacie i pokorze dla swego pana i władcy.

Stragany z brzoza zajmowali sprzedawcy mięsa. Przy jednym Rosjanin oferował wieprzowinę, tuż obok Tadżycy — baraninę. Tadżycy na widok polaci świńskiego mięsa spłuli: „Ciucika, tful”, na co Rosjanin odwzajemnił się „Baraszka, tful”. Nie było w tym nienawiści, po prostu przekomarzali się jak dzieci.

Dalej był sektor mleczny. W długim rzędzie stali sprzedawcy kiaty, specjały made in Tadżykistan. Kiaty to gatunek mleka, tak gęsty, że daje się kroić nożem. Fantastyczny w smaku przypomina kisielo mliłko, jakim delectowałem się w późniejszych latach w Bulgarii. Jak je Tadżycy przyrządzają — dokładnie nie wiem. Podobno mieszały surowe mleko z gotowanym, dodają jakas narosł z żółdka jagnięcia, żeby przyspieszyć fermentację i nadać kiatkowi specyficzny smak.

Nasi szybko opanowali metodę zjadania się kiatykiem za frajer. Ten i ów podchodził do sprzedawcy i mówił:

— A nu-ka, dawaj apa (przeważnie kobiety zajmowały się sprzedażą) poprobować!

Apa posłusznie wlewała pół litki kiatyku na wyciągniętą dłoń potencjalnego nabywcy. Ten kosztował, krzywił się i mówił:

— Kiaty choroszyj, no niemożko kisty... — i szedł do następnego stoiska. Tutaj stwierdzał, że kiaty jest za słodki, w trzecim — za rzadki, w czwartym — za gęsty, i obszedłszy tak kilkanaście sprzedawczyń był już nasycony i kiatyku nie kupował.

Największym rarytasem, na wspomnienie którego słinka cieknie mi do ust, były lepieszki z bielutkiej maki. Okragłe, w środku cienkie, po brzegach wypukłe. Podpatrzyłem technikę wypieku. Do tego celu służyła gliniana pieca, kształtem przypominająca ule. Wewnętrzne ścianki oblebia się uformowanymi placikami, do pieca kładzie chuzopaj, podpala, a gdy lepieszki już mają dość, same odpadają. Te gorące, prosto z pieca, są najsmaczniejsze, a gdy jeszcze położą się na wierzchu kawałek masła — niebo w gbieł! Toteż polowaliśmy właśnie na te świeże, ciepłe, pachnące.

— Gorlacz lepszka! Gorlacz lepszka! — zachęcała do kupna może stuletnia apa.

Byłem po śniadaniu, postanowiłem uraczyć się tym delikatnym w drodze powrotnej, przecież coraz to nowe zastępy Tadżyckich przybywały na targ z pełnymi koszykami. Ze zdziwieniem dostrzegłem ową starowinę, która na-

zaregował wybuchem śmiechu. Ktoś powiedział, że nie tak nie zbliża ludzi, jak wspólne poczucie humoru. No i tak poznaliśmy się.

Borys był magazynierem w miejscowej piekarni. Zaprosił mnie do siebie. Poznałem jego żonę (rudą), synka (rudego), nawet leżące w kołysce maleństwo też miało włosy koloru miedzi. Zupełnie jak w piosence:

Rudy ojciec, ruda matka, ie, rudy dziadek, ruda babka, ie, i to także ruda było, ie, co się wczoraj urodziło, ie.

Gospodarz spał kawałami jak z rekawa, a że i ja znam mnóstwo dowcipów, nie nudził mi się w swoim towarzystwie.

Za dobre dowcipy Borys rewanżował się polówkami chleba. Prostokątne bochenki, cegielki, przekrawał wzdłuż, żeby za bardzo nie wypychały mojej wewnętrznej kieszeni futajki. Wystarał mi się o dorywcza pracę w chlebo-rzezie Zagotzierno, gdzie wydawałem pracownikom tego przedsiębiorstwa chleb na kartki.

Już trzeciego dnia wpadłem w kretesem. Chleb dostarczano prosto z pieca, parujący, a pracownicy odebrali go po kilku godzinach, bo było zebranie Bochenki zdążyły w tym czasie ostygnąć, straciły na wadze, zabrakło mi kilku kilogramów. Borys poratował mnie w biedzie, dostał brakujące bochenki i poradził, żebym poszukał sobie innego zajęcia. Pragnie, abym mógł mu nadal opowiadać kawały.

Nie wszyscy Polacy zdecydowali się na stałą pracę. Kilku od przypadku do przypadku rozładowywało wagony ze zbożem, a w wolnych chwilach jeździło do pobliskiego Stalina-badu na jeszcze większy bazar niż w Chanaka. Tam kupowali u zdemobilizowanych żołnierzy bluzy, spodnie i sznele, które po poprawkach wykonywanych przez żony z odpowiednim profitem sprzedawali na naszym targowisku.

Inni nastawili się na wzorzyste tkanki jedwabne, rozchwytywane przez Tadżyków szylających sobie z nich chałaty. Sprzedawcy je... w cenie kupna. Nie mogłem tego pojąć: to po co wydają na bilety kolejowe, trudzą się, tracąc czas, żeby nie z tych transakcji nie mieć?

Tajemnica wyjaśniła się. Kupiony dziesięciometrowy kupon jedwabiu spryszcza składali w jedenaście fald. Tadżycy nie nosili z sobą centymetra. Metr odmierzały przykładając koniec tkaniny do wyciągniętej ręki, a drugi do końca drugiego ramienia. A gdy ten „metr” był kam, kam krótszy, nie przejmowali się tym, placili i odchodził zadowoleni. Aż któryś z naszych wpadł i to haniebnie.

Polak polakom! się na jeszcze większy zysk. Kupił kupon trzynastometrowy i złożył go na piętnaście kawałków. Podszedł amator wzorzystego jedwabiu, wielkolud, o lapskach sięgających za kolana. Ujrawszy go, handlarz chciał zwinąć interes i uciec gdzie pieprz rośnie, ale Tadżycy przytrzymał go.

— Czemu twoja? Moja imiejet diengi, smatril! Czam pul? — zapytał o cenę i przyłożył kupon do ramienia: „metr” nie sięgnął mu nawet do połowy klatki piersiowej. — Karabczuk! (Złodzieju!) — rozwiścieklił się i byłby z pewnością poturbował nieszczerne kombinatora, na szczęście ten uciekł się do wybiegu.

— Poniemajesz, aka, odin człowiek imiejet bolsziju ruku, drugoj korotkiju. Ty poriadocznyj paren’, u tiebia choroszaja, dlinnaja rukal!

Udobuchany wielkolud bez szemrania zapłacił za piętnaście metrów i dołożył jeszcze lepieszki.

Nasi regularnie odwiedzali bazyry platkowe. Przychodzili całymi rodzinami, z dziećmi. I właśnie widok dzieciarni podsunął mi pomysł. Udzielałem korepetycji synkowi rabinowej we Lwowie? To czemu nie miałbym się zająć edukacją naszych dziewczynek i chłopców, którzy pisać i czytać

po polsku nie umieją, a ci co opanowali jako tako tę sztukę w Polsce w powszechnych szkołach, zdążyli już wszystko zapomnieć.

Rodzice byli zachwyceni.

— Bardzo chętnie! Nieraz myśleliśmy o tym, ale nie mogliśmy się na nikogo zdecydować. Zjawiał się pan jak objawienie!

Podzieliłem dzieciarnię na dwie grupy: na tych, co nieco liźnęli abecadą i pisownią, oraz tych, co jeszcze nie odróżniali liter. Niektórzy rodzice doszre zarabiali i nie żal mi było pobierać od nich pieniędzy, natomiast odmówiłem przyjmowania zapłaty od pracujących w ciężkich warunkach w „Zagotzierno”, kombinacie zbożowym. Dźwigał na plecach wory ziarna i za swą pracę, jak mi się żalił, lichy ich wynagradzano.

Lekcje odbywały się w naszym mieszkaniu lub na wolnym powietrzu. Z braku podręczników uczęszczał do szkoły wierszy, czytali z zapisanych przeze mnie kartek. Po lekcji wyciągałem się na łożu, dwa krzyżaki drewniane, deski i siennik. Słuchałem radiotelefonu, która nadawała pokrępowane wiadomości z frontów walk. Ofensywa niemiecka została zatrzymana na przedpolach Moskwy i Rosłowa, przeciwnie-tarcie wojsk radzieckich zadało pierwszą strategiczną klęskę Niemcom powodując załamanie się Blitzkriegu.

Uchylili się drzwi. Wszedł ojciec dwójka moich uczniów, tragarz z Zagotzierno. Uderzył mnie jego wygląd. Był najwyraźniej opuchnięty, ledwo się poruszał.

— Czy pan jest sam? — popatrzył konspiracyjnie dokoła.

— Tak... A o co chodzi?

Schylł się, odwiązał tasemki w kałesonach — i na podłogę posypała się pszenica! Nie zdążyłem ochłonąć z wrażenia, gdy uczynił to samo z drugą nogawką kałesonów, potem rozwiązał sznur w pasie i spod bluzy sygnęło jeszcze większą porcją ziarna.

— Pan nam pomaga, to i my pomożemy panu. Może pan to sprzedać, albo zmielić w młynie na mąkę.

Jakoś nie zdobyłem się na odmowę, nie kazałem mu zabrać pszenicy, poprosiłem tylko, żeby więcej nie narażał siebie i mnie.

omiek Marusi stał na uboczu dwóch głównych ulic. Na skrzyżowaniu znajdował się sklep warzywno-owocowy. Prowadził go dwaj bracia. Bekow. Tadżycy. Jeden był ożeniony z Żydówką z Odessy. Po tej samej stronie, nieco dalej, wykupywaliśmy kartkowy chleb, naprzeciwko mieścił się Piontiele z bankiem, klub, gdzie odbywały się potańcówki, szkoła, po lewej stronie czajchana, pełna zawsze Tadżyków popijających zieloną herbatę. Na prostopadłej ulicy miały swe siedziby: stolówka, Wojenkomat, Zagotzierno, Ralspółkom, jakby nasza rada narodowa, nieco dalej gdzie bieleły się wysokie góry bawelny, naturalnego bogactwa Tadżykistanu, rozlewał się Chitoprowyj zawór. Bawelna po rosyjsku to chłtopok, po tadżycku — pachwa. W sięgających kilkunastu metrach wysokości kopiec przekopywano korytarze, żeby biały puch nie zajął się ogniem od promieni słońca. W pobliżu stacji kolejowej funkcjonowała skrzętnie o-mijana przez nas jednostka milicji, obok był szpital z przychodnią lekarską i — bania, gdzie na zmianę kapali się mężczyźni i kobiety.

Gdy Polki po raz pierwszy przekroczyły próg łaźni, doszło tam nieomal do paniki. Tadżycy od okresu pokwitania starannie usuwają sobie zarost z całego ciała, z wyjątkiem głowy. Nawet malutkim dziewczynkom goły się brwi zastępując je czarnymi kreskami henny. Toteż łatwo można sobie wyobrazić co się działo w bani na widok naszych kobiet obficie owłosionych w najwstydliwszych miejscach. Młoda mężatka, w ślicznie splecionych warkoczach, chwyciła za rękę jedną z Polek i pokazując na jej łono zawołała z nie tajoną zgrozą i ciekawością:

— A kaka choziarn smozet tuda-sluda?!

Ja również doznałem sensacyjnego odkrycia, gdy przyszła na nas, mężczyzny, kolej wyparzenia się. Jakis Tadżycy mikre postury, kurdupeł, po biczu parowym polewał się zimną wodą, a to co dyndało mu u kolan porażało mnie.

— Posmotril! — złapałem za rękę leżącego o-bok mnie, w kłębach pary, babaja, siwowosego starca. — Czto eto za bezobrazije? Taki mały aka, a jaki ma interes! Ogier mniejszym plodzil trefakil!

Babaj uśmiechnął się wyrozumiale, potarmosił brodę i uraczył mnie pyszną opowieścią.

— Widzisz, to było tak. Kiedy ziemia już się zaledniła, mężczyźni, a zwłaszcza kobiety, podnieśli krzyk dlatego jeden ma tylko tyle, a drugi dwa razy więcej. Bo upodobania były różne, niektórym te długie zawadzały, innym przeciwnie. Wtedy Allah kazał swym sługom poobcinać wszystkim mężczyznom te interesy, zawiesił je na sznurze i powiedział: „Teraz każdy może sobie wybrać, co mu odpowiada”. Mężczyźni rzucili się do sznura i poczęli iza-pać co było najbliższe ich rąk. I tak tym najniższym dostały się te najdłuższe, a wysokim — najkrótsze. Oto masz wytumaczenie tej zagadki — wskazał na niskiego Tadżyką, który owinął przęcieradłem zmierzal do szatni.

Babaj, jak się jeszcze wiele razy przekonałem, zawsze miał na wszystko gotową przypowieść, nieczym nasz niezapomniany Horacy Sa-frin, choć nigdy w Stanisławowie nie był. A ja na podstawie mego odkrycia w bani też wysnułem filozoficzny wniosek, że mężczyźni są jak motyle: jeden mo tyle, a drugi mo tyle...

Fragment przygotowywanego do druku pamiętnika „Raz, dwa, wzięli!” z pobytu autora w Związku Radzieckim w latach wojny.

Za tydzień

Lapież żółwie, gubię wielbłądy